

SEAN U. MOORE
tom 47

CONAN I SZALONY BÓG

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN AND THE GRIM GREY GOD
PRZEKŁAD: STANISŁAW SAWICKI

Dla Raven z miłością,
za wczoraj, dziś i jutro

Specjalne podziękowania dla Catherine C.
i Sprague de Camp, strażniczek ognia

PROLOG SZAKAL Z ACHERONU

Przez dziewiętnaście wieków Święte Miasto Nithia pozostawało niezdobyte. Każdy, kto chciałby nim zawładnąć, miał przed sobą dziewięciodniową podróż wśród rozpalonych słońcem wydm pustynnego piasku. Piesza wyprawa byłaby samobójstwem. Tylko trzykroć w historii miasta armie konne pokonały pustynię dochodząc do wysokich, wzniesionych z białego marmuru murów Nithii i zatrzymały się przed masywną mosiężną bramą. Jednak utrudzeni najeźdźcy za każdym razem musieli odejść, gdyż prowadzenie oblężenia na jałowej nithijskiej pustyni okazywało się niemożliwe. Woda i żywność znajdowały się tylko za murami grodu, gdzie legendarne Siedem Fontann Ibisa nawadniało dające obfity plon ogrody i karmiło mieszkańców.

Lecz dzisiaj ani pustynia, ani zbudowane z mosiądzu i kamienia fortyfikacje nie uchroniły Świętego Miasta. Powalone wrota, zgniecione niczym pergamin w garści okrutnego boga, leżały na ulicy z białego marmuru. W pobliżu widniały w beładzie ciała stu doborowych nithijskich wojowników; nieskazitelna niegdyś biel marmurowego bruku splamiona była krwią wypływającą z ich okropnych ran. Ślady unurzanych we krwi butów zwycięzców i kopyt ich koni wyznaczały purpurową ścieżkę od powalonej bramy do centrum miasta, gdzie wznosiła się największa świątynia, jaką znał ówczesny świat.

Zdobywcy wrót jak nieuchronna fala śmierci zalali ulice miasta. Przeszukiwali każdy budynek, żaden mężczyzna, żadna kobieta ani dziecko nie uniknęło rzezi. Dwa tysiąclecia przeżyte bez wojny i w izolacji spowodowały, że pokojowo nastawieni Nithianie nie potrafili walczyć. Nikt nie zdołał uniknąć okropnego losu, mury, które do tej pory stanowiły ochronę, teraz stały się pułapką. W porannej masakrze kilkuset bezlitosnych jeźdźców zamieniło Święte Miasto w przerażający grób dziewięciu tysięcy wyznawców Ibisa.

Przed południem ucichły przepelnione bólem krzyki ostatnich ofiar. Słysząc było tylko odgłos równomiernych uderzeń ogromnego tarami o marmurowe wrota świątyni, ciężkie sapanie pracujących przy taranie mężczyzn i surowe rozkazy ich dowódcy, który siedział dumnie na swym rumaku. Szyderczy uśmiech upodobniał go do szatana. Zbroczony krwią od stóp do głów, z płonącymi złowrogim ogniem oczyma otoczonymi czerwonymi obwódkami, bardziej przypominał diabła niż człowieka. Uniósł swój długi na cztery stopy, zakrzywiony miecz z czarnej stali i wykrzykiwał rozwścieczony, oczekując z niecierpliwością, kiedy bariera ustąpi, by mógł dalej szerzyć śmierć.

Jego ostry, okrutny głos przypominał szczekanie szakala i dlatego ludzie, którzy ośmielali się szeptać o jego czynach, zwali go Szakalem z Acheronu. Nikt nie odważył się wypowiedzieć tego imienia w jego obecności — w rzeczy samej, w ogóle niewielu przemawiało do niego, chyba że na jego rozkaz. Tylko najodważniejsi z mężczyzn mieli śmiałość spojrzeć mu prosto w twarz. Jeśli nie spodobał mu się ton czyjegoś głosu lub gdy wyczuł nawet najmniejszy brak szacunku dla swojej osoby, zabijał winowajcę natychmiast. Naprawdę nazywał się Dhurkhan Czarnomicznik. Już samo imię napelniało serca ludzi strachem i nienawiścią. Ogromne przedramiona Szakala były grubsze od tydek silnego mężczyzny; barkami górował ponad głowami wysokich mężczyzn. Czarnomicznik miał nadprzyrodzone zdolności zmuszania innych do uległości, był Głównym Komendantem Armii Acheronu i bratem strasznego Xaltotuna — czarnoksiężnika, który swą mocą przewyższał każdego z dwudziestu stygijskich magów.

Czarnomicznik rzucał przekleństwa i wymachiwał okrytą kolczatką pięścią w kierunku

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

swych ludzi, jego głos ciął jak bicz. Jeden z żołnierzy pracujących przy taraniu zatrzymał się, by otrzeć pot kapiący z brwi, czym zakłócił rytm pracy pozostałych. Niemał w tej samej chwili jego głowa spadła z tryskającego krwią karku i stoczyła się dudniąc po marmurowych schodach. Czarnomiecznik natychmiast rozkazał innemu żołnierzowi zająć miejsce zabitego. I na nowo dwadzieścia grzbietów pochyliło się do pracy, naprężone mięśnie i wysiłek wyciskały z mężczyzn ciężkie oddechy i jęk. Światło żółto-zielonej aureoli otaczało ciemne żelazo głowicy taranu. Sam Xaltotun nasycił metal potężnymi zaklęciami, które rozbiły już niejedne wrota. Iskry sypały się spod żelaza uderzającego o kamień, a masywne drzwi drżały w futrynie.

— Solnarusie! — ryczał Czarnomiecznik strząsając czerwone krople ze swego miecza. — Twój koniec jest bliski, ty tchórzliwy pastuchu kwiczącego stada Ibisa! Szalony Bóg będzie mój!

Jego szatański śmiech odbijał się echem od kamieni martwego miasta, a taran uderzył ponownie.

Za ustępującym marmurowym portalem, w wewnętrznym sanktuarium świątyni siedmiu Nithijczyków oczekiwało na swój los. Sześciu z nich klęczało spokojnie, z twarzami zwróconymi ku zachodowi, śpiewając cicho. Atłasowe szaty w łagodnym kolorze gołębiej szarości, prosty obrzędowy strój dostojnych kapłanów Ibisa, okrywały mężczyzn od ogolonych głów po nagie stopy. Tylko ręce mieli odkryte, z dłońmi przyłożonymi płasko do podłogi i końcami palców skierowanymi przed siebie.

Za nimi stał Solnarus, Kapłan — Król Nithii. Jego obszerna szata podobna była do habitów pozostałych kapłanów, ale w odróżnieniu od klęczących miał zsunięty kaptur. Twarz i strój Solnarusa tworzyły plamy bladej szarości, a nawet bieli. Wpadające przez kryształowy dach świątyni światło czyniło spokojną twarz Kapłana — Króla jeszcze bielszą. Nie każdy mógłby znieść jej blask.

Solnarus wpatrywał się w słońce tak, jakby ten ciepły blask dodawał mu sił. Jak na mieszkańca pustyni miał wyjątkowo jasną cerę. Jego twarz i skóra czaszki były gładkie jak u młodego mężczyzny, choć minął prawie wiek, odkąd się urodził. Kapłani — Królowie Nithii pochodzili od królów Atlantydy, którzy żyli trzy razy dłużej niż zwykli ludzie.

W oczach Solnarusa uważny obserwator mógł dostrzec mądrość zgromadzoną przez stulecie życia. Tęczówka w lewym oku Kapłana — Króla błyszcząca odcieniem błękitu tak głębokim, jak lazur nieba. Tęczówka prawego oka promieniała niczym polerowany bursztyn. Kontrastujące z bezbarwnym otoczeniem oczy Kapłana — Króla wywoływały trwogę, a jednocześnie niemal rzucały urok.

Solnarus, tak jak pozostali kapłani, śpiewał wolno i rytmicznie. Podniósł ręce wysoko i osunięte rękawy odsłoniły wątle, białe jak alabaster ramiona. W dłoniach trzymał wydrążoną kulę, o cienkich kryształowych ściankach, wypełnioną drobnym białym piaskiem. Nagle przestał śpiewać.

— Dopełniło się — westchnął.

Rozległo się trzaskanie stawów, gdy sześciu kapłanów podnosiło się rozprostowując zgięte plecy i zastałe kolana. Nie było po nich widać zmęczenia, choć klęczeli i śpiewali od wschodu słońca. Odrzucili kaptury odsłaniając poważne twarze i ze złożonymi dłońmi obrócili się do Kapłana-Króla.

— Dotyka nas boska moc — powiedział cicho niski, baryłkowaty kapłan zwany Milviusem. Spoglądał załamany ku środkowi sanktuarium, na jedyny przedmiot, jaki znajdował się w całej świątyni. — Czy wolą Ibisa jest, by szczęki Szakala rozszarpały naszych ludzi?

Pięciu kapłanów odstaąpiło od Milviusa, zadziwieni przyglądali mu się z zapartym tchem.

— Obłąkanie — wyszeptał jeden z nich. Solnarus uniósł brew.

— Może to nie Ibis nas skazuje, Milviusie — powiedział półgłosem. Szurając gołymi stopami po podłodze przeszedł do przedmiotu budzącego zainteresowanie Milviusa. Kapłan — Król trzymając ostrożnie piaskową kulę spoglądał posępnie w twarz Szalonego Boga.

Jego statua, spoczywająca na podłodze świątyni od dwóch tysiącleci, była jedynym reliktem, jaki łączył Nithian z ich atlantydzkimi przodkami. Według legendy bóstwo zostało po mistrzowsku wyrzeźbione z matowej, srebrzystej, wielkiej jak dwie ludzkie głowy perły. Statua, kształtami przypominająca siedzącą ropuchę, zimnymi, nieruchomymi oczyma odwzajemniała spojrzenie Solnarusowi.

Kapłan — Król wzdychając pokiwał głową.

— Milviusie. Nie potępiam cię za twoje niespokojne myśli. Może to, czego strzeżliśmy od stuleci — to, co odegrało rolę w ostatecznym upadku Atlantydy...

Złowieszczy huk zagłuszył resztę jego słów. Dochodzące od drzwi wejściowych echo

niosło się pod wysokimi sklepieniami korytarza i niczym grzmot zmaćiło ciszę panującą w wewnętrznym sanktuarium świątyni.

Solnarus zmarszczył brwi, na jego gładkim czole wystąpiły bruzdy.

— Zaprawdę, Milvusie, możliwe jest, że Szalony Bóg napiętnował nasz los. Lecz poprzysięgliśmy na Ibisa, że będziemy go bronić.

Pięciu kapłanów z powagą pokiwało głowami. Następnie spojrzeli z dezaprobatą na Milviusa.

— Ta statuetka ma diabelską moc — powiedział jeden z nich.

— Moc Chaosu — wyszeptał inny.

— Jest przeklęta.

— Zakazana — dodali dwaj inni potrząsając głowami.

Stojący z pokornie opuszczoną głową Milvius podskoczył na odgłos przerażającego trzasku. Drżącymi, drobnymi, niemal pajęczymi palcami potarł brodę. Jeszcze raz spojrzął smutnym wzrokiem na perłową figurkę i zwrócił się twarzą do korytarza, by widzieć mających wkrótce wypełnić świątynię barbarzyńców.

— Solnarusie, drzwi się rozpadają! — wyszeptał drżąc ze strachu.

— Uspokój się, Milvusie — rzekł Kapłan — Król. Ton jego głosu był dla słuchających kojący jak balsam przyłożony do bolesnej rany. Opuścił wzrok na kulę, którą trzymał w dłoniach. — Wiecie, że jeśli zwyciężymy, Czarnomiecznika spotka los wielekroć gorszy niż nas. Pokona go jego własny miecz; nasze miasto będzie ostatnim, jakie zgniecie jego but. Nasza ofiara wznieci wiatr, wiatr, który rozpędzi chmury Acheronu, zanim zdążą pograżyć cały nasz świat w plugawych mrokach.

— Jeśli zwyciężymy — wypowiedział drżącym głosem Milvius. — A jeśli nie zdołamy powstrzymać go przed zdobyciem tego — wskazał na statuetkę — to wtedy kto go powstrzyma?

Brwi Solnarusza znów były ściągnięte.

— Nikt, Milvusie. Jesteśmy ostatnią nadzieją na ratunek. — Przygnębiony przerwał na chwilę. — I wiedz jedno: żaden kapłan, żaden czarownik — być może, że nawet żaden bóg — nie może zniweczyć mocy, jaką siły nieczyste obdarzyły Szalonego Boga. Starożytni bogowie zła nasycili tę figurkę własną energią. Gdyby Atlantydzii nie wyrwali jej swym pradawnym wrogom, zanim ci zdążyli z niej skorzystać, świat już od dawna byłby jednym wielkim piekłem.

— Powinni byli to zniszczyć — powiedział Milvius i zadrżał, gdy taran ponownie, z ogłuszającym hukiem, uderzył w drzwi.

— Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie próbowałby tego dokonać, nawet gdyby mógł. Wszak czytałeś, Milvusie, wersety z Jedenastej Księgi Eibona. „Nikommu, ani mężczyźnie, ani kobiecie nie wolno uszkodzić statuetki, nic nie może jej naruszyć. A gdyby świat ją zniszczył, zakłęci w niej starożytni bogowie odrodzą się i ich stare złe moce znów pograżą ziemię w mrokach”. — Solnarus potrząsnął głową. — Te i inne ustępy nie dawały mi spokoju od dnia, w którym zostałem strażnikiem Szalonego Boga. Długo zastanawiałem się nad ich znaczeniem...

Huk pękających kamieni zagłuszył słowa Kapłana-Króla. W korytarzach rozległ się szatański śmiech Czarnomiecznika.

Oczy Milviusa powiększyły się ze strachu, pot spływał mu po nosie i skąpy wał na okrywające go szaty.

— Nadchodzi Szaka!

Czarnomiecznik wjechał do przestronnej świątyni rycząc niczym opętany gigant. Z jego rozkazu wszyscy żołnierze podążali w pewnej odległości za swoim dowódcą. Wpadł do sanktuarium i raptownie wstrzymał rumaka. Odgłos tupiących kopyt rozbrzmiewał jak przyspieszone bicie kamiennego serca.

Solnarus uczynił krok do przodu, spokojnymi dłońmi obejmował szklaną kulę. Jego twarz była gładka, sucha i pogodna jak w każdy inny dzień. Uśmiechnął się lekko do Czarnomiecznika.

— Solnarusie — zawołał z pychą zwycięzcy w głosie komendant Acheronu. — Uklęknij przed swoim panem, ty beczący baranie Ibisa! Mój miecz długo czekał na twoją krew.

— Tym razem posunąłeś się za daleko i sam siebie skazałeś na klęskę. Powinieneś być przyjechać tutaj ze swym bratem! Zaiste, bez czarnej magii Xaltotuna nie pokonałbyś pustyni ani nie zdobył bramy Nithii. Nie, Szakalu! Twój miecz już nigdy nie odbierze życia niewinnym ludziom.

Czarnomiecznik chichocząc zsiadł z konia. Zrobił to z niewiarygodną jak na tak olbrzymiego człowieka zwinnością. Teraz kroczył ku Solnarusowi, który stał nieporuszony.

Pozostali kapłani stali obok Solnarusa i z niepokojem spoglądali na zakrwawiony, długi na cztery stopy, zakrzywiony miecz Czarnomiecznika.

Komendant Acheronu uniósł ramiona nad głowę i trzymając miecz oburącz wymierzył zabójczy cios. Głowy dwóch nithijskich kapłanów uderzyły głucho o marmurową podłogę świątyni, a z ich ściętych karków trysnęła krew. Ci, którzy przeżyli, nie zdążyli się nawet poruszyć, zanim trzech następnych padło pod ostrzem miecza. Szakal uderzył raz jeszcze uciszając lament przerażonego Milviusa. Ostra stal przemknęła przez żebra drobnego kapłana, przecięła kręgosłup i rozcięła łopatki dzieląc jego tułów na dwie części.

Czarnomiecznik rozszarpał górną część zwłok Milviusa, wyciął serce i nadział je na ostrze miecza. Szelmowsko szczerząc zęby uniósł błyszczący organ do ust i odgryzł ociekający krwią kawałek. Oblizał usta i splunął dużą ilością krwi w twarz Kapłana-Króla.

— Ty zdiecinniały staruchu — warknął wciąż przeżuwając. — Teraz, gdy Szalony Bóg należy do mnie, nic się już przede mną nie uchowa. Moje wojska zaleją ziemię zwycięską falą krwi. Wkrótce potężny Acheron weźmie w garść cały ten świat i uciszy skowyt takich żałosnych słabeuszy jak ty. — Przełknął i głośno mlasnął ustami.

Solnarus nie odpowiedział. Krew pomordowanych kapłanów zaczęła wsiąkać w dotykający podłogi skraj jego obryzanej szaty, lecz stał nieporuszony, nie spuszczać wzroku z twarzy Czarnomiecznika. Jedyne oczy Kapłana-Króla zdradzały poruszenie, oko niebieskie błyszczało jak lód, zaś oko pomarańczowe płonęło niczym rozżarzona bryła węgla. Czarnomiecznik zniemacka wykonał pchnięcie. Jego miecz mknął przez powietrze z szybkością atakującego węża. Solnarus uniósł swą kulę tak, że znalazła się na drodze miecza. Jej kruche szkło rozprysło się na ziarenka piasku. Nie zatrzymany miecz najeźdźcy wbił się w szyję Kapłana-Króla i odciął mu głowę. Ciało kapłana upadło do przodu, lecz z szyi, skąd powinna była trysnąć krew, wysypał się piasek. Jego ścięta głowa stała pionowo, podniesione oczy patrzyły wyzywająco na zadziwionego Szakala.

— A więc to koniec, Szakalu... — z ust Solnarusa wypływał tubalny, drwiący głos. — Rozbiłeś Kulę Dusz... każde ziarno piasku to dusza, niewinne życie, przerwane przez twój zaczarowany miecz. Piekło już czeka na ciebie, Szakalu z Acheronu...

W furii, rycząc jak bestia, Czarnomiecznik zdeptał okutym w żelazo butem czaszkę Kapłana-Króla zamieniając ją w kupkę startych na miał kości i piachu. Klął i złorzeczył tratując ciało, póki nie stało się bezkształtną kupą mięsa w niczym nie przypominającą człowieka. Zrobił dwa szybkie kroki i statuetka znalazła się w zasięgu jego jęki. Sięgnął po nią łapczywie.

Nagle w świątyni zawył huraganowy wiatr. Wpadające przez kryształowe sklepienie światło zanikło, jak gdyby słońce przestało świecić. W górze słychać było przypominające dudnienie deszczu stukanie w dach, wrzaski ludzi Czarnomiecznika wdzierają się do wnętrza. Podczas gdy acheronński komendant rozkoszował się swą zdobyczą, krzyki żołnierzy osłabły do przytłumionego szepotu i po chwili ucichły zupełnie.

Szakal wzniosł wypolerowaną perłową statuetkę wysoko w górę.

— Szalony Bóg należy do mnie!

Rozlegający się z góry przeraźliwy trzask zagłuszył okrzyk radości Czarnomiecznika. To dach załamywał się pod ciężarem nagromadzonego na nim piasku. Na stojącego z szeroko otwartymi oczyma czarownika spadały ostre jak nóż odłamki grzebiąc go w piaskowym grobie. Jego okrzyk śmierci zginął w porywistej, przeraźliwie wyjącej burzy piaskowej, która całkowicie pochłonęła świątynię, marmurowe mury obronne i stojące w ich obrębie domy. Srogie wiatry szalały przez dwadzieścia trzy dni, pogrążając Święte Miasto Nithii w istnym morzu piasku. Żadna z wysokich wież ani jedna strzelista iglica z mosiądzu nie pozostały widoczne.

Tak oto Mosiężne Miasto spoczęło ukryte na trzy tysiące lat, pogrzebane pod rozprażonymi wydmami, które pewnego dnia stały się wschodnią pustynią Shemu... ukryte, lecz nie zapomniane. Któregoś dnia szalejące wiatry miały odsłonić ukryte w piasku tajemnice, i ludzie raz jeszcze mieli szukać Szalonego Boga.

I ROZMOWY W „DEZERTERZE”

„Dezterter”, ciesząca się najgorszą sławą gospoda w Messancji, leżała na przedmieściu, pośród skupiska zaniedbanych budynków. Tu kończyła się ulica Kupiecka, która brała początek w najruchliwszym porcie stolicy Argosu. Przy porcie ulica była szeroka, brukowana kamieniem, i dobrze utrzymywana z podatków ściąganych przez króla Milo. Lecz w miarę jak skręcała, rozgałęziała się i wila przez największe miasto portowe pośród wszystkich

hyboryjskich królestw, zwęzła się do wąskiego paska ziemi, gdzie, zamiast braku, leżały śmieci, i któredy wędrowały jedynie stada szczurów. Okoliczni mieszkańcy nazywali to miejsce Uliczką Piratów, jako że ci, którzy się tam zapuszczali, bardziej nawykli do drewnianego pokładu niż do drogi z ubitej ziemi. Byli to żeglujący rabusie: krępi, ciemnowłosi Argosańczycy; szczupli, śniadzi Zingaryjczycy i smagli, czarnobrodzi Shemici. Gromadzili się w ciemnych, umebLOWANYCH drewnianymi sprzętami kątach, i Ignęli do stołów niczym skorupiaki do kałłuba statku. Sześciu najodważniejszych messantyjskich przemytników ucztowało, zając przypiekane na rożnie baranie udźce i popijając tłusty posiłek kufłami gęstego, mocnego piwa. Smagły kothijski zabijaka, głaszcząc swe czarne wąsy, obserwował gości wzrokiem drapieźnika. Spocony shemicki kapitan siłował się na rękę z Zingaryjczykiem, podczas gdy wystraszony, pokryty tatuażami Nemedianin zbierał zakłady od członków załóg rywali.

Oczywiście, pijaństwo i hazard nie były jedynymi bezceństwami, jakimi rozkoszowali się goście w „Dezserterze”.

W tłumie poruszały się skąpo ubrane dziewczki z tuzina krain. Kiedy podawały gościom piwo, wino i półmiski z parującym mięsem, ich biodra kołysały się prowokująco. Młode, kuszące ciała przyciągały wiele spojrzeń, choć twarze większości dziewczyn były przygnębione i znużone. Gospoda wabiła mężczyzn, którzy lubili nieokrzesane, krzepkie dziewczoje. Oczywiście, żadna szanująca się dziwka nawet nie zbliżyłaby się do miejsca o reputacji „Dezsertery”.

Trzeba by odwiedzić lochy więzienne, żeby zobaczyć gorsze typy zgromadzone w jednym pomieszczeniu. Mimo to ciżba zachowywała się spokojnie — wielu spośród obecnych łotrów było zaciekłymi rywalami na morzu, ale gospoda stanowiła dla nich teren neutralny. Tutaj wszyscy bawili się hucznie, wydając swe łupy na alkohol, hazard i dziwki.

Dziś wieczorem było tłoczniej niż zwykle, gdyż po miesiącach spędzonych na morzu zesła na ląd załoga niesławnego „Jastrzębia”. Imię jego kapitana, pirata, wywoływało strach, przeklinali je wszyscy kupcy w tym regionie świata. A teraz ten osławiony łajdak o niebieskich oczach i długich, czarnych włosach, olbrzym z zamrzniętych wzgórz Cymmerii, Conan, siedział przy największym stole w gospodzie. Otaczała go jego załoga — zbieranina łotrów i szumowin. Pierwszy oficer właśnie zakończył sprośną historyjkę i wszyscy śmiali się do rozpuku.

— Na Croma, Rulvio, najbardziej doświadczona dziwka zarumieniłaby się słysząc twoje słowa. — Conan śmiał się głośno i poklepywał po plecach wielkiego jak niedźwiedź Argosańczyka.

Pieniące się argosańskie piwo wylewało się Rulwiowi ze skórzanego worka, spływało po owłosionej klatce piersiowej i wsiąkało w szerokie, długie do kolan, jedwabne spodnie. Pierwszy oficer, nie zwracając na to uwagi, jednym haustem wypił resztę piwa, po czym odbiło mu się głośno. Dźwięk ten przywodził na myśl odgłos nadchodzącej burzy.

Conan zawołał o więcej piwa. Odchylił się do tyłu i klepnął kształtny tyłek Rubinii, najponętniejszej z postługujących dziewczek. Dziewczyna zachichotała i odeszła, wszyscy mężczyźni, jacy byli w pobliżu, odwracali głowy za jej kołyszącymi się biodrami i tym, co się kryło pod skąpą, luźną sukienką. Conan z wilczym apetytem napawał się tym widokiem. Później duszką wypił następne piwo.

— Więc mówicie, kapitanie — zagadnął Rulvio — że mamy dość łupów, żeby przez dwa tygodnie bawić się w Messancji?

— Owszem — przytaknął Conan. — Zresztą „Jastrzęb” — i tak potrzebuje kapitalnego remontu, a ta banda pijaków — ruchem głowy wskazał na swych tępych marynarzy — oprócz żeglowania i rabunku nie nadaje się do niczego. A po dzisiejszym przyplynie gotówki chłopcy mają za co płać się w rozpuście.

— Sam zamierzam pływać w morzu piwa — powiedział Rulvio chichocząc.

— Najpierw porozmawiajmy o czymś poważnym, na osobności — oznajmił Conan i wskazał zadymiony kąt w drugim końcu gospody.

Znaczna część załogi rozpoczęła już swe hulanki na dobre. Jedna grupa grała w kości, kilku trzymało na kolanach dziewczki, wielu przyłączyło się do innych gości, by posłuchać nowin i nawzajem okłamywać się opowieściami o swych przygodach. Conan i Rulvio popatrzyli z rozbawieniem na kamratów i przeszli do jednego z wielu słabo oświetlonych zakamarków nędznego wnętrza gospody.

— Bóg Bel sprzyja złodziejom, którzy trwonią swe łupy, co? — rzekł Rulvio. Uśmiechając się szeroko, odsłonił zęby, krzywe jak jego nos — a ten był złamany więcej razy, niż jego właściciel mógł spamiętać.

Conan uniósł krzaczastą brew.

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

— Gdyby tak było, Bel nie ceniłby sobie nikogo bardziej niż ciebie, Rulvio. — Niebieskie oczy Cymmerianina błysnęły nagle tak, jakby argosańskie piwo nie przyćmiło jeszcze jego umysłu. Zniżył głos i pochylił się do ucha Rulvia, ozdobionego zwisającym dużym złotym kolczykiem w kształcie koła. — Dużośmy razem przeszli, przyjacielu. Przed laty, gdy zingaryjska galera o mało nie posłała nas na dno, ty powaliłeś mnie na pokład i nadstawiając własną nogę, uchroniłeś mnie przed strzałą. Jestem twoim dłużnikiem. Rulvio wzruszył ramionami.

— Gdybyś nie zgładził dwudziestki tych zingaryjskich świń, które wdarty się na nasz pokład, to teraz cała nasza cholerna załoga gnęłaby w brzuchu boga Dagona. Nie! Między nami nie ma żadnego długu, Conanie. Przed tobą służyłem pod Borusem, a jeszcze wcześniej pod Gonzagiem i żaden z nich nie był takim kapitanem jak ty.

Conan przyjął komplement milczeniem. Wymagał wiele od swych ludzi, lecz także wynagradzał ich sporą częścią każdej zdobyczy. Mimo wszystko niełatwo mu było wyróżnić dług krwi. Poza tym do tego, o czym teraz myślał, mógł potrzebować pomocy niezłomnego wojownika, takiego jak Rulvio.

Agrosańczyk zmarszczył brwi.

— To piwo zmało mi umysł, Conanie, inaczej zorientowałbym się wcześniej. Dlaczego zesłiliśmy na łód tutaj, w mieście, w którym obowiązuje prawo, a nie na Wyspach Baracha, gdzie łotry takie jak my witani są z otwartymi ramionami?

— Przysięgnij na Bela, że nie powtórzysz nikomu tego, co ci powiem.

Rulvio przysięgnął, jego przekrwione oczy napotkały posępne spojrzenie Conana.

Cymmerianin wyjął z wykonanej z miękkiej skóry, misternie zdobionej kamizelki poskładany arkusz pergaminu. Położył go na stole i przybił pokrytą bliznami pięścią.

— Znalazłem to w pelerynie na tym małym zingaryjskim statku, który dzisiaj zdobyliśmy.

— Cóż, przynajmniej znalazłeś coś, czego chłopcy nie roztrwonili — ciężko westchnął Rulvio. — Bel wie, że zanim wzejdzie słońce, przepijemy wszystko, co zdobyliśmy w tej wyprawie. Nie będę zrzędził na temat ładunku, ale miałbym coś do powiedzenia, gdybyśmy złapali tę świnię, która uciekła nam na szalupie i zabrała ze sobą szkatułę.

Conan machnął ręką, jakby chciał odsunąć na bok narzekania pierwszego oficera.

— Nie mogliśmy go ścigać — przeklęty wiatr ustał. Ten głupiec Voralo podjął pościg naszą szalupą. On i jeszcze trzech ludzi straciło życie. — Wspomnienie wywołało ogień gniewu w oczach Conana; „Jastrząb” ostatecznie dopłynął do dryfującej szalupy i znajdujących się na niej martwych ciał, lecz ich zabójca umknął, przypuszczalnie znalazł schronienie w pobliskiej Messancji. Gardło każdego z mężczyzn nosiło głęboką, biegnącą z góry na dół ranę. Takich ran nie widział jeszcze nawet Conan. Rozmyślał chwilę przygryzając wargę, po czym spojrzał na siedzącego po drugiej stronie stołu Rulvia i rzekł: — Ale jeszcze możemy dużo zyskać na tej wyprawie. Słyszałeś kiedyś legendy o Mosiężnym Mieście?

— Ach! — Rulvio parsknął śmiechem. — Myślałem, że nie jesteś tak głupi, by w nie uwierzyć. W każdym cholernym mieście stąd do Turanu jest kanciarz, który wciska ludziom fałszywe mapy wskazujące drogę do Mosiężnego Miasta. Nie mam wątpliwości, że znalazłeś jedną z nich — są pospolite jak wszy w brodzie żebraka.

— Wiem, że tak jest — przyznał Conan, przybierając pochmurną minę. Gdy był jeszcze naiwnym młodzieńcem, wiele razy stracił pieniądze kupując fałszywe mapy, które miały go zaprowadzić do skarbów. — Ale ta jest inna. Takiej jeszcze nie widziałem. W trakcie moich wędrówek nauczyłem się trochę o starożytnym piśmie runicznym. Na tej mapie są zapiski...

— Przerwał, gdyż nadchodziła Rubinia. Zgięta w łokciu ręką obejmowała wielki gliniany dzban.

Rulvio odwrócił wzrok od Conana. Wpatrzył się w pełne piersi Rubinii, która, pochylona nad stołem, napełniała kufle. Ponętny biust napinał cienką tkaninę jej głęboko wyciętej tuniki. Kiedy skończyła, Argosańczyk odprowadził ją wzrokiem.

— Kapitanie, daj sobie spokój ze zwariowaną wyprawą w poszukiwaniu tego cholernego Mosiężnego Miasta. Dlaczego nie spędzisz wieczorów, hulając z nami, a nocy w łóżku z tą dziewczką, póki „Jastrząb” nie będzie gotowy do wypłynięcia? Jesteśmy wilkami morskimi i polujemy na morzu — a nie w zakurzonych wnętrzach jakichś pogrzebanych w ziemi ruin.

— Jak zwykle mówisz mądrze, Rulvio. Zapewne Rubinia odciągnęłaby na jakiś czas moje myśli od tej mapy. Ale uważam, że warto poświęcić tydzień albo dwa i wybrać się na pustynię Shem, gdzie według tych zapisków znajduje się miasto. Chodź ze mną, jeśli chcesz. Jeżeli wolisz zostać tutaj, pójdę sam. Może nawet tak byłoby lepiej. W twojej obecności chłopcy nie narobili by sobie zbyt wiele kłopotów.

— Nasi chłopcy? — Rulvio mrugnął. — Och, przecież tacy wytworni dżentelmeni, jak oni, z pewnością będą przestrzegać wszystkich miejscowych praw i uszanują każdy cholerny

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

zwyczaj. — Wskazał na grupę dziesięciu rozkrzyczanych, nietrzeźwych kanciarzy, którzy przestali rzucać kości i zaczęli okładać się pięściami. — Fenzini, ty barani łbie! — zawołał. — Graj obciążonymi kośćmi z uczciwymi ludźmi, a nie ze swoimi cholernymi kompanami! — Burcząc z dezaprobatą, zwrócił się ponownie do Conana. — Muszę położyć temu kres, zanim któremuś wgniotą czaszkę. — Wstał z drewnianej skrzynki, która służyła mu za krzesło i, naciągając splecione palce, strzelił kostkami, po czym chwiejnym krokiem odszedł ku bijącym się marynarzom.

Conan pokiwał głową. Rulvio nie zaskoczył go brakiem entuzjazmu wobec wyprawy na pustynię Shem. Niemniej chciał sprawdzić, czy mapa mogła otworzyć przed nim skarbiec, który od wieków zaprzętał umysły poszukiwaczy szczęścia. Wiele razy samotnie zdobywał skarby, z których rzekomego istnienia inni się naśmiewali. Poza tym dobrze wiedział, że po kilku dniach hulanki i tak by się znudził. Mając za sobą miesiące spędzone na morzu, z radością myślał o podróży, której trasa wiodła przez krainę bujnych winorośli, jaką częściowo był Shem. Gdyby natrafił tam na bogactwa, przekazałby „Jastrzębia” Rulwiowi, a sam żyłby jak król. Porzuciłby rozbójniczy tryb życia i nie byłoby już tak, jak teraz, gdy po kilku dniach uciech przez następne trzy albo cztery tygodnie musi żyć w wyrzeczeniach. Wsunął pergamin za kamizelkę, uniósł do góry kufel i pił, dopóki go nie opróżnił. Potem, uśmiechając się szeroko, wstał od stołu i dołączył do okładających się pięściami i kopniakami piratów; w bijatyce brali już udział wszyscy goście. Odchylił się przed lecącym w jego kierunku glinianym dzbanem, uniknął kiepsko zadanego ciosu i zaczął wyciągać swych ogłupiałych marynarzy jednego po drugim z gąszczu bijących jak cepy kończyn.

II

NOCNY PRZYBYSZ

Przechodzące przez cienką powłokę chmur światło księżyca migotało na pomarszczonej powierzchni wody. Z doków Messancji dochodziło łagodne pluskanie. Argosańska stolica, uznawana przez wszystkich, oprócz rywalizujących z Argosańczykami Zingaryjczy — ków, za królową hyboryjskich portów, spała cicho pod kocem nocy. W ciemnościach między zachodem księżyca a wschodem słońca nawet najęźszy hulaka chrapał w swej koi, albo leżał wyciągnięty na bruku w alejce. Wielu spało z twarzą na brudnej podłodze w jakiejś gospodzie czy zajezdzie.

Pomimo wielu odrapanych budynków Messancja cieszyła się sła — wajednego z najbezpieczniejszych miast. W regularnych odstępach czasu sumienni wartownicy patrolowali nawet najciemniejsze ulice. Samotna kobieta mogła bez obaw chodzić tu nocą. Oczywiście, to bezpieczeństwo miało swoją cenę. Prawo króla Milo przewidywało surowe kary dla tych, którzy zlekceważyliby godzinę policyjną. Sprawnie działające sądy Messancji nie pobiły nikomu, kto chodził ulicami po godzinie policyjnej, chyba że ktoś posiadał odpowiednie dokumenty.

Bez wątplenia niektórzy przedsiębiorczy wartownicy przyjmowali pieniądze zamiast dokumentów. Koralo, którego warta właśnie się zaczęła, był jednym z nich. Jego misternie utkana srebrnoniebieska peleryna wyróżniała go jako dowódcę straży w południowo-wschodniej części miasta. W ciągu czternastu lat sumiennej służby zarobił więcej niż niejeden kupiec przez całe życie. Rozsmakował się także w drogich winach z Kyros, uprawiał hazard i wpadł w olbrzymie długi oraz nabrał ochoty na pewne egzotyczne uciechy cielesne, które kosztowały o wiele więcej niż najrzadsze gatunki najlepszych win. Ilekolwiek złota by zebrał, to i tak wszystko wymykało mu się między tłustymi palcami.

Po ekscesach ostatniej nocy Korala bolała jeszcze głowa i brzuch. Jego nastrój był tak samo okropny jak smak w ustach. Prowadził swój trzyosobowy oddział na rutynowy patrol do miejsca nazywanego Nabrzeżem Przemysłowców. Był to najbardziej wysunięty na południe i wschód port w mieście, dzielnica leżąca najdalej od centrum Messancji. Statki, przywożące rozmaite i często nielegalnie zdobyte towary, zawijały do południowo-wschodniego portu w nadziei, że uda im się umknąć uwadze pracowitych królewskich poborców podatkowych. W typowy dzień na molu panował ruch jak w ulu.

Lecz o tej porze nocy nawet przemysłowcy już spali. Zafascynowany przyglądał się więc nadpływającej małej łódce. Jej jedyny pasażer wiosłując szybko lecz bardzo cicho, kierował łódkę ku ciemnemu molu. Tam, w mroku, wyczekiwał komendant i zastanawiał się, co skłoniło tego człowieka do tak oczywistego naruszenia prawa. Żadnej jednostce nie wolno było przybić do brzegu w nocy, chyba że obecny był przy tym inspektor ładunku.

I wtedy Koralo zobaczył żelazny kufer. Natychmiast zapomniał o bólu i z jeszcze większym zainteresowaniem przyglądał się nadpływającej łódce. Mówiło się, że kapitanowie

pirackich statków mieli zwyczaj przemycać do Messancji swe najcenniejsze łupy w taki właśnie zuchwały sposób. To mogło być to, czego tak bardzo pragnął Koralo: szansa na spłacenie długów i życie w zbytku. Jego ludzie, których starannie sobie dobrał, wymagając zwierzęcej siły połączonej z bezgraniczną głupotą, nigdy nie zorientowaliby się, że „skonfiskowany” kufer nie trafił do królewskiego magazynu.

Kiedy dziób łódki uderzył lekko o stare drewniane molo, umysł Korala wypełniony był wizjami przelewającego się wina i uległych, ponętnych piękności. Przybysz, mocując się z ciężkim kufrem, zszedł na ląd. Był wysoki, odziany w luźną opończę w kolorze ciemnego indygo, która rozpyłyła się w mrokach nocy. Kaptur skrywał mu twarz, a jego kroki nie czyniły hałasu. Opończę przepasał sznurkiem, do którego uwiązał szmacianą sakiewką. Widać było, że nie ma przy sobie żadnych innych rzeczy, zwłaszcza broni. Koralo uśmiechnął się. To będzie łatwe. Komendant, podobnie jak jego strażnicy, miał na sobie nabijane brązowymi ćwiekami skórzany kaftan i hełm, które w zupełności wystarczały, by zatrzymać nóż czy ostrze miecza. Przybysz starannie sprawdził molo na całej jego długości i kluczem wiszącym na noszonym na szyi sznurku otworzył kufer. Zajrzał do środka i na chwilę zamarł w bezruchu, jak gdyby zaskoczyła go jego zawartość. Przeklinając pod nosem, zamknął kufer, po czym wrzucił go do wody i ruszył w kierunku brukowanej ulicy. Szybkimi krokami szedł prosto ku zacienionej alejce, w której czekali na niego strażnicy.

Oczy Korala zwróciły się jak u drapieźnika. Z dobrze naoliwionej pochwy wyjął miecz i szepnął coś do swych ludzi. Dwaj strażnicy naciągnęli kusze. W świetle księżycy doskonale widzieli cel. Trzeci dobył szerokiego miecza i, podążając za dowódcą, wyszedł na ulicę. — Stać! — warknął Koralo unosząc miecz. — Na rozkaz króla Milo... Niech to diabli! — zaklął, upuszczając oręż. Cienki, sześcioramienny metalowy przedmiot ugodził go w nadgarstek ręki, w której trzymał miecz. Gdyby dziwny pocisk zboczył choć odrobinę w którąkolwiek stronę, dosięgnąłby gardła komendanta.

Obcy rzucił raz jeszcze. Krew trysnęła z gardła strażnika, który stał obok Korala; mężczyzna padł na kolana i wydając z siebie przerażający głos, skonał.

Dwaj pozostali wartownicy wybiegli z alejki i wymierzyli kusze w przybysza. Jeden kusznik zginał, zanim zdążył wystrzelić; ostry jak brzytwa kawałek metalu przebił mu oko i ugrzązł głęboko w mózgu. Drugi zwołnił spust i przeklinał z niedowierzaniem, widząc jak ręka intruza z nadludzką szybkością uderzyła w strzałę zmieniając tor jej lotu; strzała pomknęła dalej po kamiennej nawierzchni. Chwilę później ten strażnik też był już martwy. Koralo wycofał się do alejki.

Mężczyzna w opończy podbiegł do przodu i chwycił porzuconą kuszę. Jednym płynnym ruchem założył strzałę i wystrzelił w uciekającego Korala, który zatoczył się i upadł, nie wydając najmniejszego jęku. Strzała przeszła mu czaszkę, zabijając go natychmiast. Jej zakrwawiony haczykowaty grot wystawał spomiędzy jego szklistych oczu. Przybysz metodycznie przechodził od strażnika do strażnika i sprawdzał puls. Jednemu z nich z bliska strzelił w serce. Bez chwili zastanowienia posłał jeszcze jedną strzałę w oko Korala. Gdy obcy dobijał strażników, jego twarz pod kapturem nie zdradzała ani radości, ani niesmaku. Ust przybysza nie wykrzywił grymas, kiedy z ciał zabitych wydobywał małe, lecz zabójcze narzędzia walki. Nawet nie zmrużył oka, gdy mieczem rozciął czaszkę jednego z kuszników i wyjął tkwiącą w niej metalową gwiazdę. Jeszcze ciepłe ciała wrzucił do zatoki. Pracował niezwykle szybko i sprawnie, nie tracił czasu na ocieranie spoconego czoła albo łapanie oddechu.

W rzeczy samej, gdyby Toj Akkhari nie oszczędzał czasu i sił, nigdy nie osiągnąłby wysokiego, cenionego tytułu Mistrza Assasynów w Zambouli. Gdyby martwi mogli mówić, to dwa tysiące głosów potwierdziłyby jego szybkość i bezwzględność. Tej nocy działał jeszcze szybciej niż zwykle. I tak zjawił się spóźniony na tajne spotkanie u Jade. Toj miał usposobienie spokojne jak bezwietrznie morze, ale teraz rozzłościł się. Przez sługusów króla Milo stracił cenny czas, a Jade czekała. Gdyby nie śpieszył się tak bardzo na umówione spotkanie, usłyszałby te niekompetentne psy na tyle wcześnie, żeby w ogóle ich ominąć. Toj wolał unikać takich zbiorowych zabójstw, lecz jeden pozostawiony przy życiu strażnik mógł sprowadzić setkę następnych, co jeszcze bardziej zwiększyłoby jego opóźnienie. A nawet zamboulański Mistrz Assasynów nie miał odwagi przyjść na rozmowę z Jade zbyt późno.

Spotkanie było zaaranżowane przez kuriera po tym, jak Toj zdobył coś, za co Jade gotowa była zapłacić okazałą cenę. Zapłatą miała być Czerwona Żmija, broń, której Toj szukał od lat. Ponoć ów sztylet wzorowany był na rogu węża—demonia i zaczarowany śmiertelnymi zaklęciami przez Jasnowidzów z Góry Yimsha, mistrzów czarnej magii, którzy należeli do strasznego Czarnego Kręgu. Moce sztyletu uczyniłyby Toja najgroźniejszym Assasynem,

jakiego znała historia.

Toj przemykał się przez labirynt ciemnych alejek między powalonymi budynkami. Gdy dotarł do centrum dzielnicy magazynowej, wyostrzone zmysły ostrzegły go, że z ukrycia ktoś go obserwuje. Oczekiwał tego. Na skrzyżowaniu skręcił w wąską, brudną uliczkę. Kamienie, z których zbudowane były stojące przy niej domy, kruszyły się na drobne kawałki. Kiedy podszedł do jednego z małych, niechlujnych budynków, drzwi otworzyły się. Zaczynające się za progiem drewniane schody prowadziły na dół, do środka domostwa. Toj przełknął suchą bryłę, jaka zebrała mu się w gardle, wziął głęboki oddech i zaczął schodzić na dół. Słabe światło księżyca nie oświetlało schodów do końca. Toj nie był tym zaskoczony. Wszyscy złodzieje i zamachowcy wiedzieli, że Jade odbywa spotkania tylko pod osłoną ciemności. Nikt z żywych nie widział jej twarzy. Tak przynajmniej mówili ludzie. Jade była bardzo ostrożna, rzecz całkiem zrozumiała u osoby posiadającej więcej bogactw niż niejeden hyboryjski król i kontrolującej osobliwe imperium obejmujące dwanaście królestw, od Aquilonii po Zingarę.

Toj usłyszał pod sobą charakterystyczny trzask. Schody zawały się, zamieniając korytarz w stromy zsyp. Assasyn był na tyle sprytny, że nie stracił równowagi, lecz podeszwy jego butów ślizgały się po naoliwionym drewnie, co nie ułatwiało mu zadania. Chwilę później dotarł do końca zsypu i wypadł na podłogę. Instynktownie zrobił kilka koziółków, żeby zmniejszyć siłę uderzenia i szybko się podniósł. Płaska rękojeść wyważonego noża wysliznęła się z umocowanej przy nadgarstku pochwy i spoczęła w jego dłoni. Był to jeden z pięciu noży, jakie miał ukryte pod ubraniem: W prawej ręce trzymał kilka sześcioramiennech rzutek, na których wciąż była krew zabitych strażników.

Ashhadu salib muhadana. Głos był cichy i nienaturalny, lecz mimo to surowy i władczy.

— Jade? — wyjąkał Toj, ale szybko odzyskał spokój. — Ashhuadu an la muhadan ilaha salib. — Przeszedł na dialekt znany tylko niektórym złodziejom i zamachowcom. W innych okolicznościach użyłby mniejszej liczby słów, zastępując je tajemnymi ruchami głowy, oczu, palców i rąk. Jednak z uwagi na ciemności, w jakich się znajdował, musiał się ograniczyć do słownej formy tego języka.

— Tutaj broń nie będzie ci potrzebna — powiedziała rozbawiona Jade. Przez chwilę panowała niezręczna cisza, którą przerwały następne słowa... teraz już bez nuty humoru. — Miałeś być o zmroku, majnun!

Na rzuconą obelgę Toj pociągnął nosem i spróbował wytłumaczyć się ze spóźnienia.

— Miałem kłopoty w podróży, Jade. Kilkanaście mil od portu barachańscy piraci z „Jastrzębia” zajęli i zatopili mój statek. Uciekłem szalupą i musiałem wiosłować do Nabrzeża Przemysłowców. Na szczęście „Jastrzęb” mnie nie ścigał, ale za to czterech głupich strażników królewskich opóźniło jeszcze bardziej moje przybycie. — Przesunął dłonią po rękojeści noża. Pomimo zapewnień Jade nie wypuszczał broni z ręki.

— Słyszałam o twoim spotkaniu z Koralem i o tym, że nie będzie już zostawiał pieniędzy na moich stołach gier i w domach uciech. Nieważne. Czy masz to, co miałeś przynieść?

— Tak — skłamał Toj. Ze złością zauważył, że zaczynają mu się pocić dłonie. — Powiem ci, gdzie to ukryłem, a gdy dostanę Czerwoną Żmiję.

— Rozumiem — wolno odparła Jade. — Twój brak zaufania obraża mnie. Ale próżno szukać honoru między złodziejami i zamachowcami... nieprawdaż?

Toj milczał. Czy wiedział, że stracił mapę? Nie, nawet jej szpiegdy nie mogli tego wykrzyć. Mimo to przeklinał swoją głupotę; zdecydował, że zapłaci zingaryjskiemu kupcowi za podróż statkiem do Messancji, sądząc, że będzie szybsza i bezpieczniejsza niż droga wiodąca przez rojący się od bandytów Shem. Kufer był tylko przykrywką; mapę wskazującą drogę do Mosiężnego Miasta ukrył w podszewce brudnej peleryny, która w czasie podróży leżała pod jego koją. Lecz w ciemnościach, zaskoczony nagłym atakiem „Jastrzębia”, włożył do wodoodpornego kufra nie tę pelerynę i opuścił statek, zabijając kilku marynarzy, którzy stanęli mu na drodze.

Jednak Jade w żaden sposób nie mogła odkryć jego błędu. Jeśli Toj był obserwowany od przybycia do mola, jej szpiegdy mogli widzieć, jak wrzuca kufer do wody. Wówczas mogli go wydobyć i odkryć, że jest pusty. Toj musiał jednak spróbować.

Jade przerwała krępującą ciszę.

— Ty i twoi Assasyni splugawiliście naszą profesję. Jesteście niewiele lepsi od zwykłych rzeźmieszków, takich co za grosz zabiliby nawet swych przyjaciół.

— Ty i twoi złodzieje kradniecie złoto i drogie kamienie, zwykłe świecidełka. Moi zamachowcy i ja kradniemy życie... czyż dla każdego człowieka jego życie nie jest największym skarbem?

Jade zaśmiała się. Jej śmiech był ostry i groźny.

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

— Jesteś nikczemny, ale cię potrzebuję. Wiem, że tylko ty potrafisz tak dobrze zabijać i nie masz ani krzty sumienia. Dlatego daję ci szansę przeżycia.

Kiedy mówiła, Toj poczuł bolesne ukłucie w udo, jakby ugryzła go osa. Odwrócił się z nożem w dłoni, lecz mrok — który tyle razy był jego najlepszym sprzymierzeńcem — tym razem obrócił się przeciw niemu.

— Po co to oburzenie, Jade? Czy wątpisz, że...

— Jesteś śmiały, przychodząc tutaj bez mapy w rękę i żądając zaklętego sztyletu, który ukradłam z podziemnego skarbcza Świątyni Seta w Luxurze. Owszem, mam Czerwoną Żmiję. Teraz muszę wiedzieć... czy obejrzałeś mapę mistrza?

— Nie pozwoliłaś mi do niej zaglądać — odrzekł zamachowiec. Pod spokojnym głosem skrywał się rosnący niepokój. Jade wynajęła go do zabicia właściciela mapy: iranistańskiego Mistrza Cechu Złodziei z Anshan. Głupiec uparcie odmawiał oddania mapy.

Oczywiście, kiedy Toj wyjął mapę z szaty zabitego mistrza i zbiegł z Anshan, przyjrzał się niestarannie porysowanemu pergaminowi. Jednak on żył z zabijania, a nie z tłumaczenia obcojęzycznych bazgrołów.

— Mapę...

— ...ma Conan — przerwała mu ostro Jade — Cymmerianin, kapitan „Jastrzębia”.

Zamierza jutro rano rozpocząć z tą właśnie mapą poszukiwania Mosiężnego Miasta. Chyba jednak zabrakło ci trochę szczęścia, kiedy uciekałeś przed jego piratami i ich kordelasami.

Toj był złany potem, jego zdenerwowanie stało się coraz bardziej widoczne.

— Niemożliwe, Jade? — wyjąkał niepewnie.

Na kamiennej podłodze, tuż obok Toja, rozległ się brzęk metalu.

— Weź Czerwoną Żmiję — powiedziała Jade. — Jest twoja.

— Ale... — Tojowi słowa uwięzły w gardle, jednak po chwili odzyskał panowanie nad sobą. — Ach! Mam zabić Conana i odzyskać mapę. Pewnie, że tak. Obiecuję, że to będzie zrobione... zanim wzejdzie słońce!

— Tak szybko? Nie sądzę. Widzisz, wiem co nieco o niewiarygodnych wyczynach Conana, choć nasze drogi nigdy się nie zeszły. Tylko ktoś tak silny jak ten cymmerijski diabeł i mający tyle szczęścia co on, może dotrzeć do Mosiężnego Miasta i odzyskać to, co od wieków leży ukryte pod piaskiem. Powiem ci coś na wypadek, gdybyś sam chciał się tam udać: zapisane jest, że nad miastem ciąży straszna klątwa. Każdy, kto do niego wejdzie, padnie ofiarą choroby, która powoli osłabia organizm człowieka. Nie ma na nią lekarstwa. Musisz więc czekać na Conana za miastem. Wtedy — jeśli będzie miał skarb — odbierz mu go i przynieś do mnie.

— Genialny plan, Jade. W takim razie będę za nim podążał do Mosiężnego Miasta.

Powiedz mi tylko, gdzie zatrzymał się na noc i...

— We wschodniej dzielnicy. W gospodzie „Dezserter”, gdzie łajdacy, tacy jak on, zwykli przepuszczają swe łupy. I nie myśl sobie, że możesz mnie oszukać. Gdyby Conanowi się nie powiodło, ja nie stracę nic. Ty natomiast możesz stracić wszystko. Jeśli nie wrócisz z perłową statuetką, która teraz leży zagrzebana w Mosiężnym Mieście, umrzesz.

Toja obleciał strach. Z trudem panował nad głosem. Nie chciał, żeby uczucie, którego właśnie doznał, wyszło na jaw.

— O czym ty mówisz, Jade? O truciznie? Znowu rozległ się śmiech, ostry i okrutny.

— Ja, zwykła złodziejka, miałabym próbować otruć Mistrza As — sasynów? Dobre sobie.

Nie zdołałabym. Twój nektar ze złotego lotosu jest doskonałym antidotum na każdą wymyśloną przeze mnie truciznę. Nie, to ukąszenie, które poczułeś, zadała ci swymi maleńkimi szczękami królowa żuka kalb.

Jest podobna do ciebie, to swego rodzaju zamachowiec, choć nie tak szybki jak straszny Toj. I jest maleńka, nie większa niż czubek igły. Teraz przedziera się przez twoje ciało i będzie pełzać wzdłuż kości w poszukiwaniu serca. Będzie się wic w twoich wnętrznościach i tuczyć kosztem twojego organizmu. Musisz wiedzieć, że królowa kalb zakłada gniazdo w sercu swojego żywiciela. Tam składa jaja, z których wylęgają się tuziny młodych. Potomstwo najpierw będzie małe. Ale później okaże się, że jest... żarłoczne. Kiedy przyniesiesz mi statuetkę, powiem ci, jak powstrzymać królową kalb przed zbudowaniem gniazda. Tylko ja wiem, jak cię uchronić przed powolną śmiercią w męczarniach.

Toj zupełnie stracił panowanie nad sobą. Wpadł w panikę.

— Skąd mam wiedzieć, że dotrzymasz słowa, Jade? Dlaczego miałbym zdobywać statuetkę? Przecież i tak jestem już martwy!

— Ach, Toj, nic nie rozumiesz. Nie dałam ci słowa, gdyż jak oboje wiemy, że obietnica złożona przez złodzieja jest mniej warta niż dym na wietrze. Uważasz, że moja oferta nie jest lepsza od pewnej śmierci? Gdy księżyc wejdzie w następną pełnię, królowa kalb skosztuje

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

mięsa twojego serca. Doznasz cierpień, które będą trwać tygodniami, zanim wylęgną się młode. Kiedy zuczki... dorosną, będziesz wić się z bólu w męczarniach tak okrutnych, że zaczniesz błagać, aby cię zabić. Tylko ja mogę cię przed tym uchronić. Nie, Toj, znam cię zbyt dobrze. Będziesz robił to, co ci każe — nie dla mnie, dla siebie.

Toj zakrzuszył się. Jego twarz przybierała odcień purpury.

— To nie będzie łatwe — ciągnęła Jade. — Inni mogą próbować powstrzymać Conana... Jeśli pierwsi zdobędą perłową statuetkę, twoje sztuczki okażą się bezużyteczne. Nie tylko my wiemy, że Mosiężne Miasto zostało odnalezione. Moi szpiedzy dostarczają mi informacji, które bardzo mnie martwią. Jeśli ktoś będzie zagrażał Conanowi, masz go usunąć! I dopilnuj, żeby temu Cymmerianinowi się powiodło, nawet jeśli ktoś inny miałby dokończyć tego, co żuk kalb właśnie zaczął.

— Kto jeszcze szuka figurki, Jade? — spytał gorączkowo Toj. — Muszę wszystko wiedzieć. I wyjaw mi sekret żuka kalb teraz! Przysięgam, że już nigdy nie będę próbował cię oszukać! Albo powiesz mi teraz, albo nigdzie nie pójde!

Jedyną odpowiedzią na błagania Toja była cisza.

Chwilę później pierwsze promyki nowego dnia spłynęły po schodach i oświetliły małą, okrągłą komnatę. Głos Toja odbijał się echem od bezokiennych ścian z szarej cegły. Pomieszczenie było puste. Zapadnięte schody znów znajdowały się na swoim miejscu. Drżącą ręką podniósł szkarłatny sztylet. Trzymając swą nową broń ostrożnie, niemal z czcią, owinął ją w prowizoryczny pokrowiec z kawałka tkaniny. Następnie umieścił sztylet obok pęcherza z nektarem złotego lotosu, który trzymał pod ubraniem za skórzanym pasem przepasującym mu klatkę piersiową.

Toj uspokoił się. Marszcząc brwi, wyczuł palcami małą, mrowiącą rankę na nodze.

Przełknął żółć, która wbrew jego woli zebrała mu siew gardle i wybiegł po schodach szukać Conana... człowieka, którego miał zabić.

III

„BRAĆ GO ŻYWCEM!”

Conan jak szalony galopował przez step. Strugi potu spływały mu po szyi. Jego długie czarne włosy unosiły się jak proporczyk na wicherze. Wiatr, niczym niewidzialny bicz, smagał go po twarzy. Otarł zażawione oczy, przez ramię spojrzął za siebie i przeklął siarczyście. Myślał, że jego wspaniały rumak zostawi pościg daleko z tyłu, lecz ścigający go zbójce powoli zmniejszali dystans. Conan już nic więcej nie mógł wycisnąć z konia, biedne zwierzę pędziło najszybciej jak mogło. Pościg rozpoczął się w południe, dzień po tym jak Conan wyjechał z Messancji. Chcąc uniknąć ruchliwych szlaków handlowych, skierował się na południowy wschód, ku stepom północno-zachodniego Shem.

Podążał zapomnianym, porośniętym chwastami traktem, który przebiegał przez peryferie ludnych miast — państw krainy Shem. W tutejszych okolicach za jego głowę wyznaczona była nagroda. Gdyby został schwytany, za swą przeszłość, niedyskrecję i nieposzanowanie shemickiego prawa mógł trafić do lochu, a może nawet pod topór kata. Lecz kiedy z porośniętego drzewami wzgórze wyłoniła się liczna grupa jeźdźców, natychmiast zaczął żałować, że zdecydował się podróżować po bezdrożach. Bandyci tropili go z uporem Piktów przechodzących próbę krwi. Dlaczego ścigali samotnie podróżującego człowieka?

Gdyby pędzących za nim rozbójników było tylko pół tuzina, staranowałby ich niczym wielki wóz do przewożenia ciężkich ładunków. Niestety, banda tak duża jak ta, bez wątpienia naszpikowałaby go strzałami, zanim zdążyłby umoczyć miecz w ich krwi. Shemici uchodzili za doskonałych łuczników. Conan wiedział, że shemiccy jeźdźcy preferowali krótkie łuki, gdyż były szybkie i łatwe w użyciu, choć swym zasięgiem i siłą rażenia ustępowały kuszom i doskonałym, długim łukom hyrkanijskim. Ale dla człowieka ze strzałą w brzuchu nie jest ważne, z jakiej broni do niego strzelano.

Conan przeklinał, że zdecydował się jechać bez hełmu i kolczatki. Jego prosty strój składał się ze skórzanej kamizelki — nieco przybrudzonej i noszącej ślady krwi po niedawnej bójce w „Dezerterze” — i luźnych jedwabnych spodni zwężonych tuż nad sandałami. U szerokiego pasa wisiął miecz, który podskakiwał w rytm końskich kroków. Przez cienką kamizelkę jego bok ocierała rękojeść sztyletu o trójkątnym ostrzu.

Cymmerianin przepatrywał rozciągające się przed nim trawiaste pagórki, szukając terenu, gdzie mógłby się skryć. Nagle na grzbiecie jednego ze wzniesień zauważył dwójkę jeźdźców. Byli jeszcze bardzo daleko. Conan, choć miał sokoli wzrok, ledwie mógł dostrzec, że pędzą przed siebie. Ha! Więc ci panowie za nim zapewne ścigają kogoś innego. Przyjrzał się uważnie porośniętej trawą ziemi i odnalazł głębokie, leżące w pewnej odległości od siebie,

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

ślady końskich kopyt, pozostawione przez przejeżdżającą tędy parę jeźdźców. Gdyby nie myślał tyle o pościgu, zauważyłby te znaki o wiele wcześniej. A może to życie na morzu przytępiło jego traperski zmysł?

Jeśli rozbójnicy ścigali tę dwójkę, to mógł ich z łatwością uniknąć. Conan skręcił z drogi wiodącej na wschód i popędził na południe. Według jego rozeznania, przed porą obiadową powinien był dotrzeć do wielkiej, płynącej wijącym się korytem na wschód, rzeki Asgalun. Rzeka przepływała przez Kyros i Ghazę, miasta — państwa sławne z dobrego wina. Uśmiechnął się szeroko. Kilka kielichów ghazyjskiego wina na pewno lepiej ugasi pragnienie niż chlupiące w skórzanym worku bełty z „Dezertera”.

Koń zarżał i stanął dęba. Conan wypadł z siodła i spadł głową w dół na kępę ciernistych chwastów. Z jego twarzy zniknął wszelki ślad uśmiechu. Konia spłoszył olbrzymi wąż, który teraz pełzał w jego kierunku przez wysoką trawę. Po ciemnopurpurowych łuskach i czarnej obwódce Conan rozpoznał śmiertelnie niebezpieczną krwawą żmiję.

— Na Croma i Badba! — wykrzyknął Cymmerianin i, ratując się przed kopytami spłoszonego wierzchowca, rzucił się w bok. Tuż przed sobą miał szeroko otwartą paszczę węża, jego rozdwojony język pojawiał się i zniknął między groźnymi jak miecz kłami. Conan przebił trójkątną czaszkę żmii i wbił w ziemię sztylet z nadzianą nań głową. Wąż miotał się z wielką siłą, ale barbarzyńca wyjął z pasa miecz i obciął nim szkarłatną głowę gada. Następnie wyszarpnął sztylet z przebitej czaszki i, nie podnosząc się z ziemi, zaczął się czołgać przez wysoką trawę. Miał nadzieję, że pościgi nie zwróci na niego uwagi i pojedzie dalej. Tętent końskich kopyt słychać było coraz bliżej. Pewnie nie zauważyli, jak wypadł z siodła i nadal pędzili za uciekającym koniem.

— Jest tam! — krzyknął jeden z jeźdźców. — Bani, Vulso, Shua! — Odłączcie się i weźcie go żywcem! Reszta, wy psy, za mną! I nie ociągać się, bo księżniczka nam ucieknie! Conan przykucnął i podglądał przez chwasty. Patrzył, jak się rozdzielają. Jego oczy zamieniły się w wąskie szparki. Te shemickie świnię zaraz nauczą się, jaką głupotą jest próbować schwytać Cymmerianina. Kiedy zbliżyli się na rzut kamieniem, Conan zerwał się na równe nogi wydając wilczy pomruk. W jednej ręce trzymał miecz, a w drugiej sztylet. Chrząknął zdziwiony widząc, że nie byli to zwykli bandyci.

Miał przed sobą trójkę asshuri, wojowników cieszących się reputacją najgroźniejszych shemickich najemników. Nawet rycerze z Aquilonii, choć niechętnie, mówili o nich z szacunkiem.

Jeźdźcy podjechali klusem, rozdzielili się i otoczyli go z trzech stron. Od miedzianych nitów, jakimi nabite były ich skórzane kaftany, odbijały się promienie słońca. Pierwszy z wojowników puścił wodze i zsiadł z konia. Przyglądał się uzbrojonemu Conanowi, który stał spokojnie. Wzrok garbatonosego asshuri przesunął się z rozpalonych niebieskich oczu Conana na jego mocno umięśnione ramiona i błyszczącą w słońcu broń. Następnie shemicki wojownik opuścił rękę z gęstej, kruczoczarnej brody, i wysunął z pochwy szeroki miecz. Conan skrzywił się, bo zauważył, że wykonany ze złota łęk siodła jego przeciwnika ma kształt głowy jastrzębia. U asshuri żelazna głowa jastrzębia oznaczała dziesięciu zabitych w walce, brązowa dwudziestu, srebrna pięćdziesięciu, a złota... stu i więcej zabitych. Pozostali dwaj asshuri ciągle siedzieli na koniach i nie zbliżali się do Conana. Ich rynsztunek był zbyt ciężki, by mogli ścigać go pieszo, gdyby chciał ratować się ucieczką. Wojownik, który zsiadł z konia, podszedł bliżej.

Chytrze, pomyślał Conan. Czeka, kiedy rzucę w niego sztyletem. Liczy, że chybię albo że ochroni go zbroja. Wtedy pozostali dwaj odbiorą mi miecz i już będę ich. Cymmerianin szanował wroga, który nawet nie próbował tchórzowskiej sztuczki i nie żądał od Conana, by się poddał. O tak, to był wojownik, któremu wiele odniesionych zwycięstw dało wiarę we własne siły.

Panowała przygniatająca cisza. Asshuri postąpił o krok do przodu.

Conan rozpoczął walkę. Wykonał półskręt i cisnął sztyletem wprawiając go w ruch obrotowy, ale nie rzucał w stojącego mężczyznę. Ostrze sztyletu przeszło przez kaftan jednego z jeźdźców i po rękojeść zanurzyło się w jego brzuchu. Ugodzony zawył z bólu, spadł z siodła i wił się w trawie. Z jego rany obficie wypływała krew.

Conan zwrócił się twarzą do pieszego asshuri. Wojownik natychmiast wszedł do akcji, ciężkie ubranie nawet w najmniejszym stopniu nie spowolniło jego ruchów. Zabrzęczała stal mieczy; Vulso sparował morderczy cios Conana. Nie tracąc sił na okrzyk wojenny czy wyzwiska, wyprowadził groźny kontratak.

Conan zacisnął zęby. Shemita w najwyższym stopniu zasługiwał na złotego jastrzębia. Z niewiarygodnym talentem parował każde potężne uderzenie Conana. Precyzyjne cięcia i pchnięcia dowodziły, że asshuri po mistrzowsku opanował rzemiosło wojenne; przedłużał w

ten sposób walkę i męczył przeciwnika. Ataki Vulsa koncentrowały się nie na Conanie, lecz na jego mieczu. Cymmerianin mógł tak walczyć do zachodu słońca i nie opadłby z sił. Jednak, oczywiście, znajdował się w kłopotach. Przede wszystkim niepokoił go drugi jeździec, który właśnie się zbliżał. Otoczony barbarzyńca zmienił taktykę i zaczął cofać się w kierunku leżącego na plecach Shemity, który przestał już się ruszać.

Asshuri ani nie przyspieszył, ani nie zwolnił ataku. Coś podejrzewając, zmrużył oczy, ale ciągle z przyprawiającą o zawrót głowy szybkością pracował mieczem. Im dłużej walczył, tym bardziej złożony stawał się jego styl. Nawet Conan nie nadążał za wszystkimi pchnięciami, podwójnymi zwodami i ripostami. Na te sztuczki Cymmerianin odpowiadał swoimi, jego •stał migotała w słońcu. Ruchy Conana były czysto intuicyjne; jedynie dzięki swej niezrównanej szybkości i zwinności mógł stawiać opór mistrzowi asshuri.

— Vulso, mam go! — krzyknął nacierający na Conana jeździec.

— Bani, nie! Kazano wziąć go żywcem! — odrzyknął Shemita z haczykowatym nosem.

Conan ugiął kolana i skoczył do tyłu. Przerzucił miecz do lewej ręki i z wnętrzości powalonego asshuri wyjął zakrwawiony sztylet. Wojownik zatrząsał się i cicho jęknął.

Wierzchowiec Baniego pędził z wyciągniętą głową w kierunku Conana. Dosiadający go asshuri wychylił się z siodła i wysoko uniósł miecz, przygotowując się do zadania druzgocącego ciosu.

Conan zmuszony był rzucić sztyletem z bardzo niedogodnej pozycji, w jakiej się znalazł przemieszczając się do tyłu. Żyłki na jego ramieniu odznaczały się jak sznury. Cienkie ostrze z odgłosem pluśnięcia zanurzyło się w oku Baniego. Rzut był tak silny, że sztylet przeszedł przez mózg, przebił czaszkę i na długość dłoni wystawał z tyłu głowy. Wojownik osunął się z siodła i wyzionął ducha, zanim spadł na murawę.

Conan z powrotem przerzucił miecz do prawej ręki i z zachowaniem ostrożności ruszył ku pozostałemu na polu walki przeciwnikowi.

— Nic z tego! — syknął Vulso. — Mieliśmy cię pojmać żywego. — Jego oczy płonęły z wściekłości.

— Tak mówi pies do lwa? — odwarknął Conan. — Prędzej spalisz się w piekle, niż pokonasz Cymmerianina...

Rozwścieczony Vulso rzucił się do przodu. Jego miecz gwizdał w powietrzu i z szybkością strzały atakował Conana.

Conan spodziewał się takiej reakcji. Zatrzymał się na ułamek sekundy, by zadać cios, który miał przeciąć na pół ciało asshuri. W tej samej chwili poczuł w nodze przeszywający, ostry ból. To umierający Shemita, który za nim leżał, zdołał go ugodzić mieczem w łydkę.

Zraniony Cymmerianin zachwiał się i z wściekłością machnął mieczem, nie trafił jednak na nic prócz powietrza. Gdyby nie wykonał szybkiego uniku w bok, przy którym omal nie pękł mu kręgosłup, asshuri nadziałby go na swój miecz. Stracił jednak równowagę i upadł ciężko na ziemię u stóp Vulsa.

Kopiąc na oślep, Vulso trafił barbarzyńcę w brodę z taką siłą, że głowa Conana odchyliła się do tyłu. Miecz asshuri już opadał na odsłonięte gardło.

Jednak Conanowi udało się dosięgnąć swojego miecza i znów zadzwoniła stal. Przetoczył się i z dzikim okrzykiem poderwał na nogi. Nie zwracał uwagi na ostrze, które wciąż tkwiło w jego zakrwawionej łydce. Rozwścieczony, z furią zranionego tygrysa, rzucił się na Vulsa. Potężne uderzenie wytrąciło Shemicie miecz z ręki, następane przecięło jego kaftan i z rany w tułowiu zaczęła wypływać krew.

Asshuri padł na ziemię pod nogi Conana i wyrwał tkwiący w jego łydce miecz. Z rany na nowo trysnęła krew. Barkiem uderzył Cymmerianina w kolano, czym powalił go z nóg.

Teraz obaj mężczyźni walczyli, przewalając się jeden przez drugiego. Porzucili swe miecze, które w walce wręcz były bezużyteczne. W szaleńczym zapamiętaniu okładali się pięściami nie zwracając najmniejszej uwagi na tryskające krwią rany. Ale kaftan i hełm chroniły Vulsa przed potężnymi jak uderzenia młota ciosami Conana, podczas gdy Cymmerianin odczuwał pełną moc nabijanych miedzią rękawic asshuri.

Conan jedną ręką chwycił gardło Vulsa. Shemita siedział na nim, ale Cymmerianin ugiął w kolanie zdrową nogę, uniósł ją do góry i zepchnął z siebie przeciwnika. Sprytny Shemita kopnął Conana w zranioną nogę i znów skoczył na niego, wbijając mu kolano w brzuch. Teraz to Vulso zaciskał śmiertelny uścisk na gardle swego przeciwnika.

Oslabiony utratą krwi, odczuwając brak powietrza w płucach, Conan wiedział, że opuszczają go siły. Nie zdołał już uwolnić od ręki asshuri. Ramiona opadły mu na trawę... I pod palcami wyczuł odciętą głowę krwawej żmii. Miał szczęście, że jego dłoń nie była pokaleczona! Z gardła wydobywał mu się bełkot, gdy resztką sił rozgniała czaszkę węży o otwartą ranę w boku Vulsa. Gruczoły jadowe żmii pękły i śmiertelna trucizna dostała się do

organizmu asshuri.

Twarz i oczy Vulsa spurpurowiały i, choć już drżał w agonii, ciągle jeszcze nie przestawał wbijać kciuków w tchawicę Conana. Jednak chwilę później ciałem Shemity wstrząsnęły dzikie konwulsje. Z brody spływała mu wydobywająca się z ust zmieszana z krwią piana. Podniósł do góry wzrok i padł do przodu. Już nie żył.

Niestety, jad wywołał skurcz mięśni. Sztywne palce wciąż trzymały gardło Conana w uścisku śmierci.

Cymmerianin zebrał resztki sił, jakie jeszcze były w jego ciele, i spróbował się poruszyć. Udało mu się tylko wypuścić z ręki głowę węża. Słychać było zbliżające się konie, ale to ledwie do niego docierało. Czyżby to pozostali asshuri, tak szybko? Nic go to już nie obchodziło. Widział wszystko jak przez mgłę, niemoc owładnęła ciężkie jak ołów kończyny. Nawet rwący ból w łydce ustał. Zanim przed oczami zrobiło mu się ciemno, uśmiechnął się jeszcze smutno.

Jego przeciwnik pierwszy przekroczył bramy piekieł.

IV

PAN ZMARŁYCH

W żółtym świetle zmierzchu, który zwiastował mającą zaraz zapaść nad północną częścią pustyni stygijskiej noc, wolno posuwała się dziwna karawana. Od Gór Taia na północno-wschodniej granicy Stygii po Harakht — starożytne, przeklęte miasto Boga—Jastrzębia — głęboki odcień nieba był jedyną piękną rzeczą na tych bezludnych wydmach. Człowiek przy zdrowych zmysłach omijał tę część pustyni z daleka. Tędy to, między Stygią a Shemem, płynęły najmętniejsze wody wielkiej rzeki Styks.

W innych krainach rzeki przynosiły ze sobą życie, ale na tym odcinku szerokiego, czarnego Styksu nie było nic prócz śmierci. Pod powierzchnią wody pływały potwory zbyt straszne, by je nazywać. W czarnych odmętach kryły się obłęd i śmierć. Wzdłuż jej brzegów zamieszkiwały bestie obrzydliwe i żarłoczne: krokodyle tak wielkie, że jednym kłapięciem mogły połknąć całego człowieka, różnej wielkości węże, których ukąszenia sprowadzały gorączkę i śmierć, oraz wszelka inna pełzająca gadzina. W pobliżu, wypatrując słabych, chorých i umierających ofiar, czaiły się szakale i padlinożerne ptactwo.

Mimo to karawana posuwała się w spacerowym tempie wzdłuż południowego, stygijskiego brzegu strasznej rzeki, jakby czyhające w rzece niebezpieczeństwa były podróżnikom zupełnie obojętne. Na czele orszaku szło sześć par wielkich koni, okrytych ciężkimi, obszywanymi złotem kapami. Poruszały się równo, choć nie niosły jeźdźców i nie miały na sobie uzd ani lejców. Zaprzęgnięte były do dużej karety bez okien, tak wysokiej, że z powodzeniem mógł w niej stanąć wyprostowany człowiek. Jej czarne drewniane ściany, przyozdobione wymyślnymi znakami, kształtem przypominały sarkofag.

Powóz toczył się z wolna na czarnych drewnianych kołach, które wrzynały się głęboko w piaszczystą ziemię.

Za tym osobliwym pojazdem w trzech równych rzędach maszerowało trzydziestu dziewięciu uzbrojonych mężczyzn. Wojownicy zakuci byli w zbroje. W promieniach zachodzącego słońca wypolerowane pancerze płonęły czerwonym ogniem. Wielkie hełmy spoczywały na zdobnych metalowych kryzach; wzory wyrzeźbione na pancerzach i tarczach były takie same jak te z czarnego powozu. Uzbrojeni byli w oburęczne miecze, jednak każdy z nich niósł swą potężną broń w jednej ręce. Ostrza skierowane były do góry, w każdej chwili gotowe do walki. Nad nimi, na dachu powozu, jechało jedenastu łuczników z olbrzymimi naciągniętymi i załadowanymi kuszami. Ich kolczugi i żelazne czepki wykonane były z takiego samego wypolerowanego metalu co zbroje piechurów.

Zwyczajna karawana w takim oporządzeniu nie przetrwałaby nawet jednego dnia w nieprzyjaznym pustynnym klimacie, lecz ta wędrowała już od siedmiu dni. Nie zatrzymywała się po drodze nawet na chwilę.

Każdy, kto ujrzał karawanę, przecierał oczy i spoglądał raz jeszcze. Mądry człowiek pokiwałby głową i szybko się oddalił, sądząc, że to omam spowodowany zapadającym zmrokiem albo jakaś dziwaczna zjawia. Człowiek, mający więcej odwagi niż rozsądku, gdyby patrzył zbyt długo, zobaczyłby coś, co złamałoby mu ducha i pogrzyżyło w koszmarach po dzień śmierci.

Pod kolorowymi uprzężami szły pozbawione organów, ścięgien, mięśni i skóry końskie kości. Taki sam widok przedstawiały szkielety łuczników. Swymi szkaradnymi ruchami nieudolnie udawały żywych, nikczemnie ignorując prawa natury. Wolny, miarowy marsz oddziały również budził podejrzenia. Pod hełmami nie było głów żywych mężczyzn, lecz

straszące czarnymi oczodołami czaszki.

Tak daleko na zachód herbów widniejących na karcie i zbrojach nie widziano już od siedmiuset lat. W odległej epoce zdobyły one pałace, gobeliny, i inne przedmioty, należące do królów–bogów z Amentet. Ostatni król szatańskiego imperium, Dumahk, przed wiekami poległ w wielkiej bitwie pod Khyfą. Okrutni Khyfyjczycy, wszyscy wierni wyznawcy Mitry, zapowiedzieli, że zdziesiątkują ludzi Dumahka i niczym lawina zwałili się ze swego górskiego królestwa, przekraczając najdalej wysunięte na południe granice Shemu. Obrońcy Amentet walczyli z poświęceniem; wojna była długa i ciężka. Lecz Dumahk i jego żołnierze ulegli. Dziś pośród rozrzuconych kamieni w ruinach amentyjskich miast mieszkały już tylko jaszczurki.

Jedynie córka Dumahka uniknęła śmierci, ratując się ucieczką na wschód, do Nebthu. Wyjeżdżając z Amentet, zabrała z zasobnego skarbcza biblioteki wiele zwojów papirusu. Później czytała je swym synom, a oni swoim dzieciom. Mimo to większość potomków Dumahka nie interesowała przeszłość i wyjechali do innych miast, szybko zapominając o swym dziedzictwie. Zwoje stały się bezużyteczne i oddano je do wielkiej świątyni w Nebthu, gdzie zaopiekowali się nimi kapłani Seta.

Lecz nie wszyscy chcieli zapomnieć o przeszłości rodu. Choć minęły wieki od upadku Dumahka, jeden z jego obecnie żyjących potomków wciąż marzył o przywróceniu Amentet dawnej wielkości.

Ostatni wyznawca wiary swego praprzodka nazywał się Tevek Thul. Leżał teraz w swojej czarnej karcie i rzucał się niespokojnie w półśnie.

Śniło mu się potężne królestwo, jakim był Amentet za swych najlepszych lat, kiedy z ofiarnych ołtarzy płynęły strumienie krwi, a królowie — bogowie sprawowali władzę absolutną. Tevek znał wiele wydarzeń z dziejów Amentet. Z początku oglądał tylko ilustracje w starych księgach, później, z ciekawości, zaczął uczyć się znaków runicznych, jakimi opisane były obrazki.

Kapłani z Nebthu nauczyli Teveka podstawowych znaków, kiedy miał sześć lat; byli olśnieni łatwością, z jaką chłopiec opanowywał hieroglify. Potomek Dumahka pochłaniał pisma jak wygłodniały człowiek jedzenie. W ciągu dwóch lat prześcignął swych mistrzów. W czasie niespokojnej drzemki umysł Teveka powracał do dni młodości, zanim odkrył Tablice Epithura, klucz do potęgi niezbednej, by odbudować amentyjskie imperium. W tamtych czasach nie był świadom istnienia tablic, wiedział tylko o papirusowych zwojach, które stanowiły największy skarb jego przodków.

Wiele czasu spędzał w katakumbach, gdzie zagłębiał się w lekturę spoczywających tam starożytnych ksiąg Amentetu. Przez lata pozostawał w podziemiach poznając historię swych przodków. Ciemne krypty i stęchłe grobowce Nebthu stały się domem Teveka; jego skóra zaczęła źle znosić promienie słoneczne. Nie szkodziło mu tylko światło kaganka. Unikał kontaktów z ludźmi, gdyż odrywały go od studiów. Jedzenie i wodę przynosili mu kapłani, ale nawet oni nie chcieli się z nim spotykać. Rodzina go wydziedziczyła, on jednak wcale się tym nie przejmował. Miał ich za zdrajców, uważał, że powinni być pozbawieni wszelkich praw do dziedzictwa Dumahka.

W końcu natknął się na kilka zwojów, oddzielonych od pozostałych. Nie były znane nikomu, nawet córce Dumahka; świadczyły o tym nienaruszone woskowe pieczęcie. Czytało się je bardzo trudno, jak gdyby piszący umyślnie stawiał znaki niewyraźnie. Te właśnie zwoje sprawiły, że Tevek opuścił podziemia.

To, co wyjawiały, przyspieszyło bicie jego serca. Według tychże ksiąg Dumahk, niepewny zwycięstwa nad Khyfyjczykami, ukrył gliniane tablice, na których zapisana była wiedza magów z Amentet. Zwoje, choć ciekawe, nie zawierały sekretów czarnej magii. Były one jedynie kroniką wydarzeń z dawnej przeszłości.

O wiele bardziej wartościowe informacje znajdowały się w zapomnianej stolicy Dumahka, w podziemiach rozpadającej się świątyni, skryte w najgłębszym z grobowców.

Tevek porzucił studia w Nebthu i udał się w wędrówkę do ruin dawnej stolicy. Kierował się mapami i opisami zamieszczonymi w starych księgach. Podróżował nocą, a za dnia skrywał się przed słońcem. Nie męczyły go trudy podróży. Przyzwyczajony był do długich przerw między posiłkami; pogrążony w fascynującej lekturze, czasami pościł całymi dniami, bo choć był szczupłej budowy ciała, po swych przodkach odziedziczył silny organizm. Starszy człowiek nie przeżyłby tego, przez co przeszedł Tevek, kiedy wydobywał gliniane tablice. Gdy wchodził do ruin Amentet, był czarnowłosym młodzieńcem o gładkiej twarzy. Wychodził niedołężny i pomarszczony jak stuletni starzec. W jego długich siwych włosach pozostało zaledwie kilka czarnych kosmyków. Nie przejmował się jednak tym, że na zawsze utracił młodzieńczą urodę. Gdyby nie wydobył z ruin tych tajemniczych tablic, nigdy nie

doszedłby do władzy, jaką dzisiaj posiadał.

Drzemiąc, Tevek wywołał magiczny wzrok. Leżąc z zamkniętymi oczami spoglądał w ciemne oczodoły swych powstałych z grobów poddanych, przyglądał się wszystkim, jednemu po drugim. Mieli przed sobą pustą drogę; tylko żółtostne palmy, wątle krzewy i poszarpane przez wielbłądy chwasty porastały ten teren. Na horyzoncie widać było mury Harakht.

Jedynie ci, którzy po mistrzowsku, tak jak Tevek, opanowali nekromantyczne zaklęcia, posiadali dar magicznego widzenia. Stygijscy kapłani, a także i czarownicy z innych stron, twierdzili, że znają tę najczarniejszą z magicznych tajemnic, lecz Tevek uważał ich za szarlatanów nie mających pojęcia o nekromancji. Budzący postrach Jasnowidzowie z Góry Yimsha ani też najpotężniejsi ze stygijskich magów nigdy nie osiągnęli jednej dziesiątej mocy, jaką on teraz posiadał. Tevek wyuczył się na pamięć treści Epithurskich Tablic, na których zebrane były tajemne zaklęcia spisane na przestrzeni wieków od upadku Pythonu po wschód Acheronu. Zapamiętał wszystkie zaklęcia, a pamięć miał niezawodną, zatrzymał tylko trzy tablice, pozostałe zniszczył, żeby nikt inny nie mógł już z nich skorzystać.

Leżąc w hebanowej karcie Tevek uśmiechał się lekko. Nawet samozwańczy książę stygijskich czarnoksiężników, którego miał zamiar wezwać, nigdy nie zdoła odnaleźć zaklęć zapisanych przez od dawna już nieżyjących arcymagów. Nie, węzowe oczy wielkiego Thoth–Amona obejrzą tylko trzy z tablic. Tevek nie zamienił ich w gruz, gdyż były na nich przepisane fragmenty z Kodeksów Eibonu, dzieł, o których pochodzeniu ludzie już dawno zapomnieli. Dzieł, których książę czarnoksiężników szukał od dziesięcioleci.

Tevek już raz spotkał się z Thoth–Amonem. Choć zdarzyło się to wiele lat temu, w Nebthu, wciąż dobrze pamiętał ten dzień. W powietrzu wokół Thoth–Amona unosiła się złość. Sama jego obecność wywołała przerażenie u dumnych kapłanów Nebthu. Tevek też odczuł jego lodowate spojrzenie. W związku z poszukiwaniami starożytnego tomu stygijski mag przesłuchiwał wszystkich mieszkańców Nebthu.

Thoth–Amon wierzył, że jeden z jedenastu Kodeksów Eibonu zawiera klucz do obalenia przeklętego boga Mitry, który prześladował Seta. Tevek przeczytał księgi ebońskie dwa razy i niewiele się z nich dowiedział. Napisane były oryginalnym językiem poetyckim, a koncentrowały się na tworzeniu i niszczeniu bożków, zwracały szczególną uwagę na ikony, które czas już dawno zamienił w proch. Dziwne, że te właśnie księgi cieszyły się taką sławą. Thoth–Amon był najwyraźniej źle poinformowany, zmarnował tylko czas szukając tych bezcennych tekstów w Nebthu. Upadek Mitry zadowoliłby Teveka, ale Thoth–Amon chciał też nawrócić jego wyznawców i zmusić ich do poprzysiężenia wierności Setowi. Tevek wolał zadać im cierpienie i śmierć. Chciał w ten sposób pomścić zabicie swych przodków.

Z tego powodu Tevek miał zamiar przekazać Thoth–Amonowi trzy zachowane tablice. Zabił więc sępa i ponownie tchnął w niego życie, by służył mu za posłańca do stygijskiego czarnoksiężnika. Na pięć dni przed przybyciem karawany sęp odleciał z kawałkiem pergaminu. Następnego dnia Tevek we własnej osobie miał zawitać do Oazy Khajar, gdzie potężny lecz niedorzeczny Thoth–Amon mieszał bulgoczący na ogniu czarodziejski gulasz. To, że musiał szukać pomocy — zwłaszcza u tego zarozumiałego maga — bardzo drażniło Teveka. Lecz panowanie nad światem umarłych nie dawało mu władzy nad żyjącymi. A on spiskował przeciw żywym... przeciw temu czczącemu Mitrę motłochowi, który opanował Khyfę.

Zbyt długo potomstwo zabójców króla Dumahka, winne zniszczenia tak kiedyś potężnego Amentetu, pozostawało bezkarne. Tevek miał dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość.

Do ostatniego mężczyzny, kobiety i dziecka, wszyscy Khyfyjczycy będą cierpieli i umrą.

V

W LOCHU ROZPACZY

Conan ocknął się i natychmiast poczuł dobrze znany smród. Większość lochów więziennych, jakie odwiedził, a przebywał w wielu, była stęchłymi, brudnymi i śmierdzącymi śmietnami. Wzdychając, uniósł głowę z twardej kamiennej podłogi i obiecał sobie, że będzie dopuszczał się przestępstw tylko w tych królestwach, które były na tyle cywilizowane, by budować więzienia nad ziemią i sprzętać je przynajmniej raz na kilka lat.

W oddali słychać było czyjś jęk. Później rozległ się przerażający krzyk, który zagłuszył pisk biegających po lochu szczurów. Conan wyjął z włosów olbrzymiego karalucha i rozgniół go o podłogę. Rozdrażniony, próbował bez skutku dotknąć ścierpniętej, obolałej łydki. Połączone ciężkim łańcuchem okowy krępowały mu szyję, nadgarstki i kostki,

pozwalające tylko na małe, powolne ruchy. Na szczęście łańcuch nie był przykuty do ściany ani podłogi. Mógł więc, choć z trudem, przejść wokół swej mrocznej celi.

Jednak kiedy się podniósł, ranna łydka odmówiła posłuszeństwa. Nie mogąc rozprostować kolana zmuszony był skakać na jednej nodze jak klaun. Jego palce napotkały na dwóch ścianach grube kraty, pozostałe dwie były z kamienia, znajdował się w narożnej celi.

Dochodzący krzyk cichł przechodząc w ciężki szloch. Przed każdym jękiem słychać było ciche, ale charakterystyczne syczenie. Ten odgłosy i towarzyszący im mdlący śwąd przypiekanego ciała mówiły Conanowi, co działo się w celi tortur.

— Masz już dość, ty psie? — zawarczał ostry głos.

Jedyną odpowiedzią był głośny, ciężki oddech i cichy jęk.

— Głupcze, wcześniej czy później i tak to dostaniemy! Lepiej, żeby to było szybko, póki jeszcze masz jedno oko. A teraz gadaj, gdzie schowałeś diadem Jej Wysokości albo wpakuję ci to żelazo w drugie oko!

— Proszę... nie. Ona nie miała go na sobie. Nie... O, Mitro, litości!

Conan zadrżał słysząc w ciemnościach głośne syczenie. W żyłach gotowała mu się krew, bo biedny więzień wrzeszczał jak grzeszna dusza w piekle. Choć tortury nie były mu obce, okrucieństwo i tchórzostwo kata wywoływały odrazę. Przerażliwe chichotanie oprawcy wzniecało w nim ogień gniewu, ale w swojej bezsilnej złości mógł tylko zacisnąć pięści. Nagle wrzask ucichł. Biedak stracił przytomność albo umarł. To drugie mogło być dla niego lepsze.

Conan nie marnował czasu na zastanawianie się, dlaczego jego samego asshuri po prostu nie zabili. Bez wątplenia czekały go tortury albo śmierć, a może jedno i drugie. Jednak ciągle żył, był ranny, lecz nie martwy. Jego porywaczom zależało, by wziąć go żywcem, a to stwarzało pewne możliwości.

Trzasnęły ciężkie drzwi i słychać było przybliżające się kroki. Wątle, migoczące światło pochodni rozjaśniło długi więzienny korytarz. Cela Conana znajdowała się na końcu. Twarz człowieka niosącego pochodnię była niespotykane szpetna, a jego klatka piersiowa owłosiona bardziej niż u jaka. To, i jego długie ramiona nasuwały przypuszczenie, że jest bliższym kuzynem mały niż Shemity. Oczywiście, byli i tacy, którzy uważali, że między jakimkolwiek Shemity a małą człekokształtną nie ma zbyt wielkiej różnicy.

Palce tej odpychającej bestii zaciskały się na gęstych włosach człowieka, który albo zemdłał, albo już nie żył. Conan spojrzął na wypalone oczy i zalaną krwią twarz, makabryczne dzieło kata. Małpokoształtny Shemity włókł się przez pół korytarza ciągnąc za sobą bezwładne ciało rudowłosego mężczyzny. Następnie wrzucił więźnia do otwartej celi, trzasnął ciężkimi drzwiami, zabezpieczył je żelazną belką i odszedł głośno tupiąc. Kiedy zniknął, znów zapanowała ciemność.

Chwilę potem Conan niemal podskoczył, bo w celi naprzeciwko usłyszał cichy szepot.

— Na Croma! — wymamrotał nie dowierzając, że mógł zobaczyć lub usłyszeć współwięźnia.

— Crom jest zimnym bogiem ponurej Cymmerii. A ty, Cymmerianin, znalazłeś się w Shemie? — Chrapliwy głos kobiety zdradzał rozbawienie, zaskakujące w mrocznym więzieniu. Choć mówiła językiem Shemitów, dawało się wyczuć obcy akcent, najprawdopodobniej zamoryjski.

— Jestem Conan. A ty wiesz skąd pochodzisz i jak się nazywasz?

— Jestem Kylanna... Z Zamory — dodała wzdychając.

Conan zmarszczył brwi. O ile mu było wiadomo z podróży po tym kraju, Kylanna należała do rodziny królewskiej. Stanowiła więc dla tych czarnobrodych szakali łup ich życia. Lecz byli głupcami trzymając ją w tej parszywej dziurze. Fuknął z oburzenia.

— W lochach asshuri w Shemie zamoryjska księżniczka jest jeszcze rzadszym zjawiskiem niż Cymmerianin!

— Mój ojciec, Tiridates, wysłał mnie do Shemu pod eskortą stu żołnierzy — wyjaśniła. — Doszły go słuchy o przymierzu między Shemem i Koth. Obawia się, że królestwa te połączą się i zaatakują jego kraj. W Shushan miałam poślubić księcia i przypieczętować przymierze między Zamorą a Shemem. Lecz ci shemiccy bandyci urządzili na nas zasadzkę u podnóża Gór Ognia.

— Tylko stu żołnierzy? — wykrzyknął Conan z niedowierzaniem. — Tiridates zawsze był zapijaczonym głupcem... ale na starość ma rozum wiejskiego idioty!

Kylanna nie odpowiedziała.

— Na Croma, dziewczyno — bąknął zmieszany barbarzyńca. — Nie chciałem cię urazić.

W każdym razie stu jego żołnierzy na pewno dałoby sobie radę ze zwykłymi rozbójnikami. Ciebie pojмали asshuri, elitarni wojownicy. Bez wątplenia, jakiś pomniejszy władca stara się

nie dopuścić do przymierza między Zamorą i Shemem. Kręci się tutaj tylu spiskujących magnatów, co much przy kupie łąjna. Wszyscy oni powinni stanąć do walki na polu bitwy, jak mężczyźni, i rozstrzygnąć te sprawy raz na zawsze. Tylko tchórzliwa świnia mogła porwać dziewicę i pchnąć ją w to ohydne miejsce.

— Nie mógł mi dać więcej żołnierzy — odparła z oburzeniem. — Obawiając się, że zamachowcy mogliby zabić moje siostry, przeniósł większość rodziny z pałacu w Shadizar do warowni w Arenjun. Możliwość z Koth zrobiliby wszystko, żeby zapobiec małżeństwu między królewskimi domami Shemu i Zamory. Musiał wysłać wielu ludzi do garnizonu w Arenjun, by strzegli jego rodziny. Podając do tego zagrożenie ze strony samego Koth...

— Nieważne — przerwał Conan. Polityka męczyła go bardziej niż największy wysiłek fizyczny. W Cymmerii najlepszym politykiem był ostry miecz. — Czy ten człowiek, którego torturowali, należał do twojej eskorty?

— Kapitan Tousalos. — Jej głos łamał się jak gdyby próbowała powstrzymać łzy. — Kiedy zaatakowali nas Shemici, kapitan podzielił oddział na trzy części i rozjechaliśmy się w różnych kierunkach. Inni... — szepnęła drżącym głosem i zamilkła.

— Z pewnością nie żyją — szorstko dokończył Conan. — Do dziś nie słyszałem, by asshuri brali jeńców. Ale zdaje mi się, że nie jesteśmy ich pierwszymi gośćmi. Torturowali cię już?

Wydawała się zaskoczona tym bezceremonialnym pytaniem. Dopiero po chwili odpowiedziała przygnębionym szeptem.

— Tortury? Mnie, księżniczkę, mieliby wziąć na tortury?

— Jeśli zażądali okupu od Tiridadesa, to może cię oszczędzą.

— Więc bądź cicho i nie przysparzaj mi nowych zmartwień! — Jej głos podniósł się o oktawę. — To prawda, co mówią o twoim narodzie. Jesteście dzikusami, nieokrzesanymi barbarzyńcami! Wasze serca są zimne jak wzgórza, które zamieszkujecie! Poniżasz mojego ojca i mówisz do mnie tak, jakbym była jakąś wiejską dziewczką. To ciebie powinni torturować. Takie niebezpieczne chamy jak ty zasługują, by gnść w więziennych lochach!

Conan mrugnął z niedowierzaniem. Zaskoczył go ten potok jadowitych słów. Po prostu był z nią bezpośredni. Nie miał zwyczaju kłaniać się i czapkować każdemu, kto nosił tytuł.

Zacunku nie dostaje się z urodzeniem, trzeba sobie na niego zasłużyć. Mimo to uznał, że zachował się wobec niej bezdusznie. Miesiące spędzone na morzu pośród nikczemnych piratów odcisnęły na nim swe piętno. Pominąwszy jej królewskie urodzenie, Kylanna była tylko przerażoną dziewczką uwięzioną w pułapce przemocy i podstępów. Ponadto, wpojony Conanowi w młodości surowy kodeks honorowy nie pozwalał krzywdzić niewinnych, a zwłaszcza kobiet. Nie zastanawiając się dłużej powiedział więc poważnym tonem:

— Przysięgam na Croma, boga mojego narodu, że cię uwolnię z tego miejsca. Niech mnie piekło pochłonie, jeśli tego nie dokonam.

— Szlachetna obietnica w ustach kogoś takiego jak ty — zadrwiła Kylanna. — Jestem pewna, że wypowiadałeś je setki razy, ale nigdy nie dotrzymałeś słowa.

Conan powstrzymał ciętą ripostę. Nie przyniosłoby to nic dobrego; umocniłoby tylko złą opinię, jaką o nim miała. Tu potrzebne były czyny. Gdyby trzeba było, zaniósłby ją do Arenjun, a łupy zbierałby w drodze powrotnej. Rulvio i chłopcy poczekałoby kilka tygodni. Na Croma, czekaliby nawet miesiące, gdyby potrzebował tyle czasu.

Conan osunął się na podłogę. Chciał dać zdrowej nodze chwilą odpoczynku i zachować siły. Kiedy już siedział, do głowy przyszła mu straszna myśl. Mapa! Co, jeśli po trzykroć przekłęci asshuri odebrali mu mapę? Przynajmniej nie zabrali kamizelki. Łańcuchy ograniczały mu ruchy, ale zdołał przeciągnąć palcami po prawym boku. Dobrze! Szew nie był naruszony. Najprawdopodobniej mapa wciąż spoczywała między dwiema warstwami skóry.

Odetchnął z ulgą zadowolony, że schował złożony pergamin w ukrytej kieszeni kamizelki.

Z końca korytarza dobiegł zgrzyt zawiasów i na kamieniach zadudniły buty. Nadchodził szpetny oprawca. Ciężkim krokiem przeszedł przez cały korytarz i w przymocowanym do ściany uchwycie zatknął pochodnię. Cymmerianin spojrzał pożądliwie na wiszącą u szerokiego pasa nadzorca obręcz. Kołysały się na niej dwa klucze.

Cuchnący potwór ominął Conana i otworzył drzwi do Kylanny. Wszedł do celi. Serce barbarzyńcy biło coraz szybciej. Nawet w migającym świetle pochodni widać było, dlaczego księżę Shushan upodobał sobie córkę Tiridatesa. Pukle jasnych włosów otaczały jej nieskazitelną twarz o białych, różanych ustach. Oczy, w których tańczył nefrytowy ogień, mogły oczarować serce każdego mężczyzny. Cienka, skąpa tunika uwydatniała piękne kształty i opinała pełne piersi. Gdy Shemita wchodził do celi, jej długie, zgrabne i nagie do połowy uda zdrząły. Asshuri nie skrępowali jej tak, jak Conana.

Owłosiony diabeł zdarł z Kylanny tunikę i przyglądał się z pożądaniem nagiemu ciału.

Intencje tego wieprza były jasne. W Conanie wzbierał bezsilny gniew.

— Cur! — zawołał. Jego głos rozbrzmiał jak ryk rozwścieczonego lwa. — Tylko ją dotknij, a własnymi rękoma wyrwę z ciebie serce i rzucę szczurom na pożarcie!

Ohydna głowa na potężnym, mięsistym karku obróciła się w stronę Conana.

— Cha — zachichotał strażnik. — Czcze pogrożki wypowiedziane przez człowieka, który już jest martwy. Dziś wieczorem czeka cię stryczek, psie. Ho, ho! Za pieniądze, jakie dostaniemy za schwytanie ciebie, jutro będę ucztował jak pan, a ty będziesz dyndał na sznurze. A teraz zamknij się i patrz, jak prawdziwy mężczyzna zadowala kobietę. Później wymienimy ją na złoto Tiridatesa.

Kylanna piszcząc cofała się w głąb celi. Strażnik przycisnął ją do ściany i usiłował rozpiąć swój pas.

Krew w żyłach Conana była gorętsza od rozpalonej lawy. Szarpnął krępujące go łańcuchy. Nawet wysiłki trzech zdrowych mężczyzn nie dorównałyby sile, z jaką naprężył muskuły, spod kajdan popłynęły strugi krwi, jednak stalowe ogniwa nie pękły pod naporem żelaznych mięśni. Jego wysiłek był daremny. Tylko przecinak i wielki młot mogły przerwać masywne kajdany.

— Conan! — zawołała błagalnie Kylanna, a w tej samej chwili o kamienną podłogę z brzękiem uderzył metalowy przedmiot.

Cymmerianin patrzył jak oniemiały na klucze, które leżały tuż u jego stóp. Nie tracił czasu na zastanawianie się, w jaki sposób Kylanna je zdobyła, gdyż strażnik pchnął ją na podłogę i mamrocząc coś bez sensu wychodził z celi. Conan przez chwilę szamotał się z kajdanami. Najpierw wybrał niewłaściwy klucz, ale natychmiast naprawił ten błąd i w mgnieniu oka uwolnił się ze stalowych więzów.

Shemita już wypadał na korytarz, ale Conan w tej samej chwili ręką włożoną między kraty w drzwiach do swojej celi przekręcał klucz w zamku. Choć nie było to łatwe, ugiął zeszywniałe kolano i przeklinając bolącą łydkę kuśtykał jak kulawy żebrak. Używając obydwu rąk silnie pchnął drzwi prosto w twarz strażnika. Ten warknął, uśmiechając się przy tym drapieźnie, i trzasnął drzwiami zamykając Conana w celi. Conan natarł barkiem na kraty i drzwi znów się otworzyły. W ręce trzymał obciążone obręczami łańcuchy. Kiedy tylko wydostał się na korytarz, asshuri zaciśniętą pięścią uderzył go w brzuch. Słabszy człowiek z pewnością nie wytrzymałby takiego ciosu, ale mięśnie brzucha Conana były twarde jak stal. Zaryczał przeraźliwie i potężnym uderzeniem ciężkim łańcuchem roztrzaskał czaszkę, asshuri. Krew i mózg rozbryzgały się po korytarzu. Conan zdjął ze ściany pochodnię i zawołał na Kylannę, zanim jeszcze staniający się strażnik padł na podłogę. Księżniczka w pośpiechu próbowała okryć się strzępami szaty, ale zaraz z grymasem na twarzy przeskoczyła nad zwłokami Shemity.

Conan, nie zwracając uwagi na tryskającą z rozbitej głowy krew, pochylił się nad ciałem; miał nadzieję, że znajdzie sztylet albo jakąś inną broń, jednak strażnik nie był uzbrojony.

— Trzymaj to — powiedział do Kylanny podając jej pochodnię. — Ten hałas na pewno zaraz tutaj sprowadzi więcej asshuryjskich psów. Chodź za mną, szybko!

— O, nie panie — krzyknęła oburzona. — Ty pilnuj, a ja uwolnię kapitana Tousalosa i poszukam innych. — Mówiąc to, wyrwała mu klucze. Jej sarkazm nie wywarł na Conanie najmniejszego wrażenia. Zauważył on jedynie, że Kylanna całkowicie pozbierała się już po spotkaniu z obrzydliwym Shemitą. Ta dziewczyna jest albo twarda, albo wyniosła — pomyślał — albo jedno i drugie. Oszczędzając ranną nogę, Conan pośpieszył ku jednemu wyjściu, ciężkim drewnianym drzwiom wzmocnionym żelaznymi okuciami. Księżniczka natomiast zaglądała do każdej celi, ale weszła tylko do tej, w której leżała ofiara tortur.

— Tousalos, wstawaj! — w mroku rozchodził się gorączkowy szept Kylanny. — Kapitanie? Och, na Bela, nie! — Kylanna szlochając wyszła z celi. — Nie żyje — powiedziała patrząc w podłogę.

Conan pokiwał głową.

— Tego się obawiałem. — W jego głosie było tyle współczucia, na ile było go stać. — Jeśli będziemy dłużej zwlekać z ucieczką, to bez wątpienia zaraz spotkamy się z nim w piekle. Musimy uciekać, szybko!

Odebrał jej klucze i włożył jeden z nich do zamka. Za drzwiami były wąskie schody prowadzące na dół, do słabo oświetlonego korytarza. Kiedy schodzili po schodach, Kylanna chwyciła wyciągniętą dłoń Conana, a on uśmiechnął się leciutko. Na dole nie zastali nikogo, paliła się jedynie pojedyncza, przymocowana do ściany pochodnia. Przeszli przez pomieszczenie wypełnione narzędziami tortur, a potem przez obrzydliwą, przypominającą norę kłitkę, która mogła być mieszkaniem strażnika. Obok brudnego słomianego siennika leżały kupki zwęglonych szczurzych kości; w powietrzu unosił się nieznośny smród.

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

Tym samym kluczem Conan otworzył następne, okute żelazem drzwi w końcu korytarza. Lekko je uchylił i zdziwiony rozejrzał się dookoła. Byli w forcie otoczonym palisadą. Więzienie okazało się pozbawionym okien kamiennym pudłem wybudowanym na powierzchni. Na błotnistej ziemi stało jeszcze kilka drewnianych budynków. Ta mała osada zapewne służyła asshuri za bazę. Kiedy oczy Conana przywykły do światła poranka albo zmierzchu, bo nie wiedział, jaka jest pora dnia, nie dostrzegł ani jednego z porywaczy. Chciał szybko wykorzystać sprzyjający im los, lecz nie uważał za stosowne działać bez zachowania ostrożności. Odwrócił się do Kylanny i przyłożył palec do ust. Następnie wskazał najbliższe ogrodzenie i zaczął się skradać w tamtym kierunku. Dziewczyna odłożyła pochodnię i poszła za nim. Oprócz niezliczonej ilości śladów końskich kopyt i kilku odcisków butów asshuri, w osadzie nie było innych znaków życia. Słyszając jakieś odgłosy w jednym z małych drewnianych budynków, Conan odwrócił się nerwowo. Szybko się jednak uspokoił, gdyż było to tylko rżenie niespokojnego konia.

Ruszyli w kierunku tych odgłosów i weszli do drewnianego baraku. Kylanna podążała tuż za Conanem. Wciąż trzymał w swej olbrzymiej garści jej drobną dłoń. Teraz było jasne, że odgłosy dochodziły ze stajni. W powietrzu unosiła się dobrze mu znana, gryząca woń słomy przemieszanej z końskim nawozem, a przy jednej z trzech ścian stało wypełnione wodą koryto. Cztery konie — trzy z nich osiodłane — na widok obcych zaczęły nerwowo przebierać kopytami.

Conan nachmurzył się. To nieoczekiwane dobrodziejstwo wzbudziło jego podejrzenia. Coś musiało się stać, inaczej asshuri nie zostawiliby obozowiska bez straży. Kylannę napastowano w lochu chyba właśnie dlatego, że asshuri byli nieobecni i nie mogli zadbać o jej bezpieczeństwo. Wątpił, by prawdziwi wojownicy na to pozwolili i narazili na szwank swój cenny skarb. Cymmerianin uważał, że nie należy zwlekać z ucieczką, gdyż w innych budynkach mogli przebywać ranni albo śpiący wojownicy. Gdyby pojawili się przekłęci asshuri, uzbrojony tylko w łańcuch z kajdanami miałby marne szanse. Trzeba wsiadać na wierzchowce i uciekać, zanim wyschnie studnia szczęścia.

— Pojedziemy na wschód — wyszeptał. Nie znał tych okolic, ale widział, że słońce na horyzoncie wznosi się coraz wyżej. Ze swym wrodzonym wyczuciem kierunków świata nie potrzebował nic więcej, by wiedzieć, w którą stronę jechać.

Sposzone zwierzęta nie pozwalały podejść do siebie. Jednak Conan znał się na koniach i łatwo sobie z nimi poradził. Kylanna niespokojnym wzrokiem patrzyła na rumaki, chociaż siedziała w siodle i trzymała wodze jak wytrawna amazonka. Conan zauważył, że na każdym koniu — wszystkie były dobrze utrzymanymi wierzchowcami pełnej krwi — do siodła przymocowano juki, linę i worek z wodą. Asshuri byli w stanie gotowości bojowej. Dziwna para, przez nikogo nie zaczepiana, klusem przejechała bramę fortu. Conan zamknął wrota i rozejrzał się po porośniętej trawą okolicy. Osada leżała w dolinie otoczonej stepem i z rzadka zadrzewionymi wzgórzami. Przez łąki nie prowadziła żadna ubita droga; sprytni asshuri przyjeżdżali do fortu zawsze z innej strony. Z daleka oko ludzkie nie mogło dostrzec najmniejszej oznaki istnienia obozu. Któremu z shemickich miast — państw asshuri złożyli przysięgę wierności? Conan uznał, że wkrótce i tak się tego dowie.

Kiedy ich konie wspięły się na leżące od wschodniej strony wzgórze i stanęli na szczycie, Conan spojrzął w dół na żyzną, zieloną krainę, roztaczającą się jak wzrokiem sięgnąć. Rozpoznał ten obfitujący w winorośl krajobraz. Co więcej, już wcześniej widział charakterystyczny herb Kyros, zdobiący masywne bramy miasta, od którego dzieliło ich tylko pół mili.

Kyros! Z jego winogron wytwarzane były najlepsze i najdroższe wina. Królewska rodzina Kyros gromadziła wielkie bogactwa i rosła w siłę dzięki uprawom z tych dolin. Tak jak inni królowie zatrudniali uzbrojonych mężczyzn do strzeżenia ich pałaców i skarbów, tak władca Kyros wynajmował oddziały asshuri do pilnowania jego winnego imperium. Zapewne Kyros, tak jak i Koth zależało, by nie doszło do przymierza między Zamorą i największym miastem-państwem we wschodnim Shem.

Conan ze złości zmarszczył brwi. Kiedy był jeszcze w Messancji, wyprawa po skarb zapowiadała się tak przyjemnie. Nie spodziewał się żadnych intryg ani podstępnych sztuczek, które teraz zaprzętały jego umysł. Celem wyprawy miały być tylko łupy. No, może liczył się z tym, że trzeba będzie upuścić komuś trochę krwi, gdyby jakiś łajdak stanął mu na drodze. Lecz okazało się, że w swej wędrownicy na wschód napotyka zbyt wiele przeszkód.

Cymmerianin skrzywił się i obrócił konia.

— Teraz musimy jechać na pomoc — poinformował Kylannę.

Dziewczyna była zajęta poprawianiem podartego stroju. Udało jej się nieco przykryć ciało.

— Na północ, do Koth?

Conan skinął głową.

— Tak. Będziesz mogła posłać gońca do twego ojca, żeby po ciebie przyjechał. Pojadę z tobą do Hanshali, wsi przy gościńcu wiodącym przez kothyjskie wzgórza. Osadę kontrolują handlarze i kupcy. Będziesz bezpieczna, musisz jedynie wynegocjować cenę za eskortę do Arenjun. Może być, że zapłacisz tylko za przejazd z jedną z karawan jadących z Argos do Zamory.

— Tam, w więzieniu, nie chciałam mówić o tobie tak źle — Kylanna wydawała się lekko zmieszana — ale nie znasz całej historii. Kiedy nasz oddział zmierzał do Shushan, przy moim siodle oprócz prowiantu było coś jeszcze. Król potajemnie wysłał wraz ze mną wielki skarb, miało to być moje wiano. — Przerwała, jakby zastanawiając się, czy zdradzić sekret. Cymmerianin czekał cierpliwie. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Księżniczka przełknęła ślinę i mówiła dalej.

— To był Diadem Zakhrafy, najpotężniejszej ze wszystkich dostojnych kapłanek Zathy. Conan uśmiechnął się szyderczo. Goszcząc w gospodach Zambouli często słyszał opowieści o losach diadem.

— Ha! Diadem zaginął wiele lat temu, kiedy kezankijscy górale zajęli świątynię w Yezud. Gdyby się odnalazł, Tiridates nie powierzyłby go ochronie zaledwie setki ludzi.

Kylanna potrząsnęła głową.

— Nie chciałam, żebym zwracała na siebie uwagę. A diadem nie zaginął, lecz został skradziony. Mój ojciec... nabył go od nemedyjskiego złodzieja, który w jego miejsce podłożył doskonałą kopię. Stało się to, zanim jeszcze świątynia została spalona.

— Niemożliwe! Taki złodziej nie istnieje. Nawet ja... żaden człowiek nie mógł się tam dostać. Cztery tysiące górali poległy, nim pierwszy ujrzał wnętrze świątyni.

Kylanna znów potrząsnęła głową.

— Owszem, możliwe — dla Taurusa z Nemedii. Mogę ci to powiedzieć, bo on chyba już nie żyje. Zaginął przed laty, ale wcześniej zdobył diadem.

— Taurus! Spotkałem go dawno temu, w Shadizar... ale on nie zaginął. Poszło go do piekieł ukąszenie diabelskiego pająka. — Conana przeszły ciarki na wspomnienie krótkiej lecz owocnej współpracy z Taurusem. Dziwnym zrzędzeniem losu obydwaj, tej samej nocy, chcieli okraść wieżę czarnoksiężnika Yara. Nie wiedzieli, że za drzwiami czai się jadowity strażnik. Conan już nigdy nie spotkał tak wytrawnego złodzieja. Jeśli ktoś wykradł świecidełko Zakhrafy, to mógł to zrobić tylko sprytny Nemedyjczyk.

— Znałeś go? — Ze zdziwienia szeroko otworzyła oczy. — Cóż, pewnie w jego zawodzie trzeba było zadawać się z różnymi zbirami.

Conan uniósł brwi, ale nic nie odpowiedział na obelgę. Kylanna westchnęła.

— Taurus był przyjacielem mojego ojca, jednym z niewielu, którzy traktowali mnie dobrze. Tiridates często zatrudniał go do zadań wymagających szczególnych umiejętności. Kiedy byłem dzieckiem, przywoził mi z dalekich krajów różne błyskotki!

— Ach tak, co za poczywy łajdak. Pewnie zasługiwał na więcej szacunku niż którykolwiek z królów Zamory — zadrwił Conan. Chociaż nie ufał Kylannie, był jednak przekonany, że jej historia zawierała odrobinę prawdy. Wszak okrutny asshuri torturował kapitana Tousalosa, żeby dowiedzieć się, gdzie jest diadem. — A co z diademem?

— Ukryliśmy go po drodze. Zdradzę ci to miejsce, kiedy dostarczysz mnie bezpiecznie do bram Arenjun. Powiem ojcu, że diadem ukradli Shemici.

Nozdrza Conana rozděły się.

— Nie będę czekał, wasza wysokość — rzucił gniewnie. — Musisz mi to powiedzieć teraz; możemy go odzyskać, zanim dotrzemy do Arenjun.

Kylanna oburzyła się. Ze splecionymi rękoma spoglądała na Conana.

— Dziś uchronię cię przed okrutnym losem — stwierdziła takim tonem, jakby próbowała przekonać samą siebie. — Jestem ci za to wdzięczna, choć możesz myśleć inaczej. Jednak skąd mogę wiedzieć, czy mnie nie porzucisz, kiedy wyjawię ci tajemnicę?

— Na Istar! — wycedził przez zęby Conan. — Ty przewrotna dziwko! Jeśli mi nie ufasz, to sama go sobie szukaj! A teraz paraduj półnaga stąd do Arenjun.

— Więc dobrze — jęknęła załamując ręce. — Tousalos wrzucił diadem do stawu u podnóża Grobowca Szatana, szczytu w najbardziej wysuniętej na zachód części Gór Ognia.

— Dokładnie na północ — wymamrotał głośno myślący Conan. — Najkrótsza droga prowadzi przez pomocne wzgórza Kyros i pola Ghazy. Niełatwa trasa, nawet jeśli asshuryjskie psy nie będą nam deptać po piętach. Na Croma, powinniśmy uciekać, a marnujemy czas na czczej paplaninie. Jedź za mną, i to szybko, jeśli chcesz uchronić swój królewski tyłek od dalszych upokorzeń!

Rżenie konia Conana zagłuszyło ognistą ripostę. Oczy dziewczyny płonęły, kiedy

poganiała konia do galopu. Bez trudu dotrzymywała kroku swojemu towarzyszowi.

VI

TROPICIELE I CZAROWNICY

Toj wyszedł ze swej kryjówki na dachu więzienia asshuri. W głowie kłębiły mu się różne myśli. Nie chcąc pozostawić odcisków stóp w miękkiej ziemi zeskoczył na niski płot, jakim ogrodzona była stajnia i stapał ostrożnie po wąskiej drewnianej belce. Blisko ogrodzenia stał koń..

Assasyn wspiął się na słup ogrodzenia i wskoczył w siodło. Miał przed sobą niełatwe zadanie: pościg za dziewczyną i Cymmerianinem za dnia mógł go zdradzić. Z drugiej strony bał się, że znów zgubi Conana. I tak miał szczęście. Gdyby asshuri zabili Conana, nie mógłby zdobyć perłowego bóstwa, a wtedy Jade nie zniszczy żuka kalb.

Na początku śledzenie Cymmerianina było łatwe. Dzięki swej traperskiej sprawności, Toj bez trudu podążał za Conanem przez całą drogę od Messancji do wschodniej granicy Argosu. Ale wciąż nie mógł dojść do siebie po wydarzeniach dwóch ostatnich dni. Najpierw był pościg asshuri i pojmanie Conana. Toj nie chcąc się zdradzić utrzymywał duży dystans i znalazł się zbyt daleko, by pomóc Conanowi w ucieczce. Nie zdecydował się też na pomoc, kiedy dwudziestu asshuri transportowało Cymmerianina. Począł, aż zapadła noc i, omijając strażę, zakradł się do fortu. Nie musiał długo podsłuchiwać, żeby dowiedzieć się, gdzie jest pojmany. Kiedy wspinał się na dach więzienia, do obozowiska przyjechała dziwna kobieta. Spotkała się z asshuri, który miał na sobie generalskie dystynkcje. Ukłonił się jej i pokornie kiwał głową słuchając poleceń wydawanych szorstkim głosem. Ku niezadowoleniu Toja stali zbyt daleko, by mógł ich dosłyszeć. Toj nie wierzył własnym oczom, kiedy kobieta rozebrała się pozostawiając na sobie tylko tunikę, pomazała się błotem, potargała włosy i weszła do budynku. Generał rozkazał zgolić brodę jednemu z zabitych przez Conana asshuri i ubrać zwłoki w szaty zamoryjskiego żołnierza.

— Niech kat zaczyna jak tylko barbarzyńca się przebudzi — powiedziała. Tym razem znalazła się na tyle blisko, że jej słowa dobiegły uszu Toja.

— Tak jest, pani. Odjedziemy przed wschodem słońca.

— Wiedz, że on zabije twój kata.

— To bez znaczenia, pani. Ten pies nie jest asshuri. To zwykły shemicki morderca, którego uratowałem przed toporem kata w Kyros. Ten bydlak nic nie wie.

— Więc niech tak się stanie. Jego krew spłynie na twoje ręce, Arostrio.

Toj leżał na dachu i ubolewał, że kobieta udaremniła jego plan uwolnienia Conana.

Cymmerianin musi dotrzeć do Mosiężnego Miasta, zanim żuk kalb złoży swe zabójcze jaja.

Ciekawość zmusiła go do pozostania na dachu i obserwowania, co zrobi kobieta. Poza tym, gdyby asshuri mieli zabić barbarzyńcę, to już by to zrobili.

Zamachowiec widział, jak zbóje osiodłali kilka koni i wraz z karym ogierem kobiety wprowadzili je do stajni. Z pomieszczenia, nad którym leżał, dobiegły go przytłumione jęki. W tym czasie cały oddział asshuri zgromadził się przy bramie i odjechał.

Wkrótce potem z budynku wyszli Conan i kobieta. Kobieta zmieniła głos i zachowanie.

Przywodziła na myśl aktorkę przybierającą coraz to inne role w jakimś niemożliwym do zrozumienia dramacie.

Nawet teraz Toj nie mógł pokusić się o przypuszczenia, jaki będzie finałowy akt tej sztuki.

Z łatwością, jednym ruchem ręki, mógł się pozbyć kobiety, ale gdyby to uczynił, zdradziłby swoją obecność. Uznał więc, że będzie lepiej jeśli sprawdzi, dokąd prowadzą ich ślady. Na razie nieznajoma nie stwarzała problemów, a Jade ostrzegła go, że „inni” też będą szukać perłowej statuetki. Toj postanowił zabić kobietę, jeśli będzie przeszkadzać Conanowi.

Stwierdził, że najlepiej byłoby to zrobić pod osłoną nocy, kiedy Cymmerianin będzie spał.

Zamachowiec miał ze sobą środki, które nie pozostawiłyby śladów zabójstwa.

W rzeczy samej, zarzucony na plecy worek z cienkiej skóry wypełniony był zmyślnymi przyrządami, rzadkimi truciznami i ziołami. Było tam też kilka żywych istot, z których każda zadawała śmierć na tysiąc sposobów. Może do uśmiercenia jej użyłby vendhiańskiego białego skorpiona — chociaż nie, czaszka węża byłaby lepsza. Albo mógł ugodzić śpiącą kobietę w szyję zatrutą igłą, wydmuchniętą przez rurkę z zembabuańskiego bambusa. W tym celu nosił mały słoiczek z najsilniejszą trucizną: proszkiem z zaszuszonego khytyjskiego czarnego muchomora wymieszanego z jadem stygijskiej kobry cesarskiej. Szczypta tej mikstury była śmiertelna jak zanurzony w sercu ofiary sztylet.

Tajemnicza nieznajoma umarłaby po krótkiej chwili nie wydając najmniejszego dźwięku.

Następnie nakłułby jej twarz kłami z czaszki węża. Rana — i wykręcone, opuchnięte ciało —

wskazywałyby na ukąszenie jadowitej żmii. Conan by nic nie podejrzewał. Zadowolony z tego planu, Toj podążył śladami Conana i kobiety. Byli już tak daleko, że ich nie widział, ale z łatwością odczytywał trop.

Assasyn, nie przyzwyczajony do jazdy konno, wiercił się w siodle. Ciągłe rozmyślał o tej wścibskiej kobiecie. Jakiegokolwiek były jej zamiary wobec Conana, stanowiła wielką przeszkodę. Najbliższej nocy jej udział w sztuce dobiegnie końca. Musi umrzeć.

Kilkaset mil na południe od Kyros, leniwie płynąca rzeka Styks omijała miasto Harakht, gdzie ciemnolicy Stygijczycy odziani w szaty bursztynowego koloru zawadzili dziwne antyfony i bili pokłony przed olbrzymimi posągami Boga–Jastrzębia. Haraktyjscy strażnicy nie wpuszczali cudzoziemców; w obawie przed szpiegami nawet Stygijczycy, którzy pragnęli przekroczyć bramę miasta, byli poddawani szczegółowym przesłuchaniom. Wielu przeszukiwano, a strażnicy przy bramie odsyłali każdego, kto nie był oddanym wyznawcą Boga–Jastrzębia lub Seta.

Takie działania skazały wielu ludzi na śmierć, gdyż nie licząc przekłętą Styksu i jedynej oazy, najbliższa woda znajdowała się o dzień drogi od miasta. Mimo to ludzie omijali oazę, nawet ci, których suche, pełne piasku gardła od dni nie zaznały smaku wody. Podróżujący po tych pustynnych terenach traktowali poważnie wypowiedane szeptem, i tylko za dnia, ostrzeżenia. W nocy nikt nie miał odwagi mówić o tym, jaki los spotkał śmiałków, którzy weszli do strasznej Oazy Khajar.

Były rzeczy gorsze niż śmierć z pragnienia... wiele, wiele gorsze. Thoth–Amon, książę czarnoksiężników, obchodził się okrutnie z tymi, którzy naruszyli jego terytorium.

W pełni zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, Tevek skierował swe kościste rumaki do oazy. Nie czuł najmniejszego strachu przed zbliżającym się spotkaniem. Przypuszczał, że Thoth–Amon już wiedział, że nadjeżdża. Nekromanta rozluźnił magiczny uścisk, w jakim trzymał ożywione szkielety, ziarenka kontroli przesypywały się między jego palcami. Konie i wojownicy padli na piasek zamieniając się w beładne kupki kości.

Tevek odetchnął głęboko. Po przerwaniu psychicznego kontaktu ze swymi poddanymi kręciło mu się w głowie. Odczekał chwilę, aż minie uczucie utraty orientacji. Kiedy łączność ze szkieletami była już nawiązana, ożywienie ich nie wymagało dużo energii, jednak zerwanie połączenia miało swoją cenę. Im dłużej trwał kontakt, tym trudniej było go przerwać. Ktoś niedoświadczony mógł stracić przytomność na cały dzień. Ale Tevek użył ledwie kropli z głębokiej studni nekromantycznej energii, jaką władał. Wołał pozostawić tu swoje sługi, gdyż Thoth–Amon mógł błędnie ocenić jego intencje. Być może wiadomość wysłana przez sępa — zombi do niego nie dotarła; Tevek nie otrzymał jednak potwierdzenia. Z utęsknieniem wyczekiwał ponownego spotkania z mistrzem Seta. Tym razem to Thoth–Amon miał się odnosić do niego z szacunkiem. Odszukał swój prezent — trzy gliniane Tablice Epithura — i włożył je pod złudnie kościste ramię. Następnie otworzył klapę w podłodze powozu i stanął na piasku tam, gdzie zaczynało się terytorium Thoth–Amona. Noc ostudziła już nagrzaną za dnia powietrze i piasek pustyni. Tevek czuł pod gołymi stopami chłodną ziemię. Łagodny wiatr szeptał między liśćmi palm i marszczył wodę w czarnej, ponurej sadzawce. W zionącej śmiercią powierzchni stawu nie odbijały się ani gwiazdy, ani księżyc, a szalejące w nim wiry nadały mu pozór żywej istoty. Pomimo powiewów wiatru w oazie panowała przygnębiająca cisza. Ani jedna jaszczurka nie biegła po piasku, nic nie pływało w sadzawce, w górze, na palmach, nie siedział nawet jeden ptak. W środku oazy stał masywny, odpychający gmach. Zbudowany był z olbrzymich bloków piaskowca, czerwone ściany od zewnątrz wygładził wiatr, wszystkie krawędzie były zaokrąglone. Tevek nie potrafił odgadnąć, ile wieków miała ta budowla i ile burz piaskowych przetrwała.

Nekromanta wciągnął głęboko powietrze. Rozkoszował się miłym mu zapachem młdej nicozemności, jaki rozchodził się od ogromnego budynku i unosił nad sadzawką. Nigdy najmniejszy nawet robak Mitry nie zbeczczył tego tchnącego śmiercią miejsca; powietrze przepełnione było niemal namacalnym złem. Tevek rozumiał, dlaczego Thoth–Amon tak rzadko wyjeżdżał z tej wygodnej posiadłości. Z tych samych powodów on sam nie lubił opuszczać swojej nekropolis.

Idąc ku wejściu do gmachu zdał sobie sprawę z dziwnej atmosfery pustki panującej wokół. Zatrzymał się i przymknął oczy. Skoncentrował się, by sprawdzić, czy w pobliżu nie leżą pogrzebane ludzkie szczątki. Z wprawą zapuścił palce swego umysłu w twardo ubity piach. Szukał coraz dalej i głębiej, ale nic nie znalazł. Tak jak się obawiał, pod pałacem ani w piasku wokół niego nie było żadnych trupów. Zmarszczył brwi. Nie dość, że miejsce nasyczone było

złem, to jeszcze brakowało grobowców, które utrzymywały przy życiu umysł i ciało nekromanty. Spodziewał się, że pod tym kamiennym gmachem znajdzie katakumby, ich brak zaniepokoił go. Wyczuł tylko niewyraźny posmak padliny w piasku na dnie głębokiej sadzawki, ale nie mógł jej zobaczyć. Woda niweczyła jego dar spektralnego widzenia. Tevek otworzył oczy i oczekiwał z niecierpliwością, aż powróci mu normalny wzrok. Nawet jeśli tylko przez chwilę korzystał ze spektralnego widzenia, potem na moment ogarniała go ślepota. Kiedy znów zobaczył zarys cienistej oazy, ruszył wzdłuż brzegu sadzawki i śmiało wszedł na ogromny megalit. Mroczne wejście do budynku wyglądało jak otchłań paszczy prowadzącej prosto do gardła piekieł.

Nekromanta spojrzął na symbole wyryte nad drzwiami, na masywnym półokrągłym sklepieniu. Nawet on, dobrze obeznany z wieloma starodawnymi i zapomnianymi stylami pisma nie widział znaków podobnych do tych. Ale z łatwością domyślił się, czemu służą. Thoth–Amon zastawił czarodziejską pułapkę i chwycił lub uśmiercał tych, którym tajemna wiedza kapłanów Seta była obca. Tevek wysunął rękę z obszernego rękawa i zaczął kreślić w powietrzu magiczny znak Seta. Pokazali mu go kapłani z Nebthu, ale używał go rzadko. W powietrzu zajaśniały zielone linie, zupełnie jakby Tevek rysował fosforyzującym rysikiem po niewidocznej tablicy. Za jego plecami, w czarnej sadzawce, zawrzało. Woda z piaszczystego dna podniosła się do góry. Z jej olbrzymiej masy zaczęły szybko rozwijać się dwa podobne do ramion odrosty, na wierzchołku rosła bulwiasta wypukłość. Tułów potwora błyszczał i pulsował jak zdeformowane serce. Nawet kropla wody nie spadła na ziemię, zatrzymywana przez coś w rodzaju lśniącej skóry. Ku nekromancie wyciągnęły się ręce tak olbrzymie, że każda z nich mogłaby z łatwością zgnieść człowieka. Tevek nakreślił paznokciem ostatnią linię znaku. Woda w sadzawce opadła tak samo szybko, jak się uniosła. Nie licząc leniwie falującej powierzchni, nie było śladu po przemianie. Tevek obejrzał się przez ramię. Przez krótką chwilę czuł obecność trupów, druzgocząco silny impuls, jak ten, którego doznał przy starożytnej zbiorowej mogile w dzielnicy świątyni w Luxurze. Kapłani przez wieki wrzucali tam, ciągle do tej samej jamy, zwłoki złożonych w ofierze ludzi. Pod ciężarem świeżych ciał ugniatała się skruszała masa na dnie, kości pękały i zamieniały się w proch. Tevek był pełen uznania dla kapłanów za dobrze obmyślany proces.

Jeszcze raz spojrzął na sadzawkę. Teraz wiedział już, że mętne wody skrywały olbrzymie złoża ludzkich szczątków. Bez wątpienia Thoth–Amon złożył Setowi tysiące ofiar w podzięce za potężną magiczną moc.

Tevek wszedł do pustego przedsionka i po kamiennych schodach zszedł na dół. Cichy odgłos jego stóp niczym szept odbijał się echem od gładkich, wytartych kamieni. Nie potrzebował latarki; wystarczyło proste zakłęcie i z jego oczu trysnął czerwony blask przebijając welon ciemności. Kiedy znalazł się w holu, był już głęboko poniżej poziomu pustyni.

Do ścian z jednolitego kamienia przymocowano poskręcane jak wąż drażki, na których wisały lampki. Rozchodziło się od nich złowróżbne, zielone światło. Tevek uznał, że nowe oświetlenie jest lepsze i pozwolił, by czerwony blask ustał. Przed nim, przez przestrzenny hol, ciągnęły się dwa rzędy monolitycznych kolumn. Zagadkowe znaki, podobne do tych znad drzwi wejściowych, pokrywały okrągłe filary od podłogi po sufit.

Na drugim końcu sali wznosił się prosty, wyrzeźbiony z błyszczącego bazaltowego kamienia tron. Tevek podchodził do tronu z wyciągniętymi przed siebie glinianymi tablicami i uważnie przyglądał się temu, który na nim siedział.

Thoth–Amon nie postarzał się, od kiedy go widział po raz ostatni. Był tym samym roslym mężczyzną o mahoniowobrązowej cerze. Miał na sobie tylko szatę z białego Inu, która okrywała jego szerokie barki i dotykała obutych w sandały stóp. Tevek spoglądał chciwie na wykuty z miedzi, masywny pierścień Stygijczyka.

Ten przedmiot — jedyna ozdoba Thoth–Amona — wykonany był na podobieństwo węża, który trzykrotnie owijał palec i w ostrych kłach trzymał ogon. Pomimo miedzianego koloru znany był jako Czarny Pierścień, jako że sam Set obdarzył go czarnymi mocami, by wspomóc wybranych przez siebie mistrzów. Pod sarkofagiem Ptah–nefera, pochowanego w Nebthu starożytnego poprzednika Thoth–Amona, Tevek znalazł brązową tablicę, z której wyrytych runów poznał tajemnicę Czarnego Pierścienia.

To właśnie ten wyryty w brązie tekst zachęcił Teveka do odwiedzenia Thoth–Amona. Przeczytał tam, że każdy czarnoksiężnik może wykorzystać pierścień w obranym przez siebie celu. Ptah–nefer szczegółowo opisał dzieła dokonane za pomocą tego starożytnego talizmanu, oraz sposoby wyzwania jego mocy. Tevek miał nadzieję, że dzięki pierścieniowi uda mu się zdobyć i osiąść kontrolę nad przedmiotem, który jego marzenia o zemście zamieniłby w rzeczywistość. Tym przedmiotem była statuetka Szalonego Boga.

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

Dopiero niedawno dowiedział się, gdzie jest bóstwo. Wiedział też, że aby wykorzystać jego niszczycielską moc, trzeba znać trzy z sześciu słów, jakie tworzyły pełne i prawdziwe imię boga. Dostojni kapłani Ibisa znali tylko trzy wyrazy; pozostałe trzy były zapisane w pochodzącej jeszcze z czasów Acheronu starożytnej księdze najczarniejszej magii. Znając wszystkie sześć słów można było bóstwo zniszczyć — tego bez wątplenia próbowali dokonać kapłani Ibisa. Ale ktoś, kto poznał pełne imię, mógł osiągnąć o wiele więcej — mógł wykorzystać potężną moc bóstwa. Czyż istniał lepszy sposób na ukaranie robactwa z Khyfy i na pozabawienie go wszelkiej nadziei? Tym razem nawet Mitra by ich nie uchronił!

Za pomocą Czarnego Pierścienia Tevek mógł odkryć wszystkie sześć słów. Znał zaklęcie zmuszające do przemówienia tych, których nie było już wśród żywych. Nawet zmarłych przed wiekami można zmusić do odpowiedzi na pytania. Zabieg ten wymagał jednak ogromnej ilości magicznej energii. Tevek nie posiadał jej tyle, by rzucić zaklęcie na od dawna nieżyjącego kapłana Ibisa. Mogło mu się to udać tylko dzięki Czarnemu Pierścieniowi.

Na widok pierścienia serce maga забиło mocniej. Wyobraził sobie, że ma go na swym palcu. Wkrótce zgniecie khyfyjskie świątynie Mitry w proch i ukaże potomków bezcześcicieli Amentet.

— Witam, potężny Thoth–Amonie — powiedział Tevek chrypliwym głosem. Zaskoczyło go uczucie suchości w gardle.

Ciemnoskóry olbrzym nie odezwał się. Jego muskularne ciało spoczywało nieruchomo.

Szeroko otwarte oczy, czarne jak tron, na którym siedział, wydawały się martwe.

— Thoth–Amonie? — powtórzył przybysz, tym razem głośniejszym głosem. Przełożył tablice do jednej ręki i uniósł kaptur odkrywając swą mizerną, ospowatą twarz. W odróżnieniu od Thoth–Amony, skóra i oczy nekromanty były blade, żółto–szare. Najbledszy z odcieni błękitu barwił jego usta. Szokująco białe włosy sięgały mu poniżej ramion; koniec prosto obciętej brody w połowie szyi wywijał się do przodu.

W szmaragdowym blasku lampek Tevek wyglądał jeszcze bardziej widmowo.

Nie było widać, by osłonięta prostą szatą klatka piersiowa Thoth–Amony podnosiła się lub opadała.

Tevek głośno odetchnął. Zapewne Stygijszyk uwolnił swe ka, które opuściło ciało udało się na wędrówkę po bezimiennym królestwie dusz. Jeśli tak było istotnie, to przybysz mógł czekać jeszcze bardzo długo. „Niech i tak będzie” — wymamrotał i usiadł na kamiennej podłodze. Kiedy siadał, leżąca na wierzchu tablica wysunęła mu się z ręki, upadła i rozbiła się o czarną posadzkę. Zdenerwowany Tevek zaklął i z przygnębieniem przyglądał się glinianym kawałkom.

Z nieruchomych ust Thoth–Amony wydobył się głuchy jęk. Na początku był cichy, tak jakby dochodził z oddali, ale z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy. Bezwładne przed chwilą dłonie zacisnęły się w pięści. — Ai kon–phog, yaa! — Jego głos przeszył salę niczym ostry atak mrozu.

Kiedy echo zamilkło, znów zapanowała cisza. Tevek odłożył na bok dwie pozostałe tablice, uniósł się z podłogi, klasnął w ręce i w myślach zaczął przygotowywać się do obrony, tak na wszelki wypadek.

Wydawało się, że stygijski mag już doszedł do siebie. Jego czarne oczy, teraz ożywione, obejrzały przybysza od głowy po palce u nóg. Nawet wzrok węża nie byłby tak zimny i drapieżny. W końcu przemówił. „Tevek Thu!” W jego silnym, czystym głosie było coś szeleszczącego, jak odgłos pełznących węży.

— Tak, Najgroźniejszy panie. Wybacz mi, że cię niepokoję, ale sprawa najwyższej wagi zmusiła mnie żebym...

— ...żebyś zakończył swe marne życie — śpiewnie dokończył Stygijszyk. — Co ty wiesz o sprawach najwyższej wagi, ty głupawy grabieżco mogli? Co? Lekceważąco machnął ręką, tą, na której miał miedziany pierścień.

Teveka przeszył dreszczyk emocji.

— Nie chciałem cię urazić, Mocarny. Czy mój skrzydlaty posłaniec nie uprzedził cię?

— Mój strażnik zniszczyłby każdego posłańca. I ciebie też powinien był zniszczyć. Twoja niezręczność obróciła w niwecz najwyższej wagi magiczną operację. Przez wiele twoich miesięcy nikt nie przeszkadzał mi w pracy. Moje ka przeglądało akashyckie księgi... — Thoth–Amon zirytowany przerwał. Ton jego głosu był zimny i ostry jak wykonany z lodu sztylet. — I wszystko na nic.

— „Twoich” miesięcy? — Tevek sceptycznie odnosił się do opowieści o mocach Thoth–Amony, ale może jednak go nie doceniał. Mimo to zrobił krok przed siebie i przemówił śmiało. — Najgroźniejszy panie, oto składam przed tobą dwie gliniane Tablice Epithura. Jadowite oczy Thoth–Amony łypnęły na rozrzucone na podłodze pozostałości po rozbitej

tablicy. Wykonał ruch ręką z pierścieniem.

— Trzy — mruknął i w tej samej chwili gliniane kawałki połączyły się odzyskując pierwotną formę. — Więc Tablice Epithura istnieją. Pokrętne Kodeksy Eibonu nie kłamały. Tym razem daruję ci życie. Odejdź i nigdy się tu więcej nie pokazuj, bo cię zgmiotę jak żerującą na padlinie muchę, którą zresztą jesteś.

Tevek uniósł brew i zdecydował, że porzuci pełen szacunku ton, jakim się do tej pory zwracał do Thoth–Amona. Nie podróżował tak daleko tylko po to, żeby go skopano jak bezpańskiego psa.

— Przed laty gorączkowo szukałeś tych tablic! Przyniosłem ci je i oczekuję teraz nagrody.

— Już jedną dostałeś. Wynocha! — W czarnych oczach Stygijczyka płonęły zimne, zielone ogniki.

— Natychmiast odejdę, Najgroźniejszy Panie — syknął Tevek przez zaciśnięte zęby. —

Gdy tylko dasz mi swój pierścień. Zwrócę ci go po dwóch tygodniach.

Thoth–Amon zaśmiał się szyderczo. Jego głos, podobny zimowej zawierusze, gwizdał między kolumnami. Uniósł do góry muskularne ramię, pierścień migotał w zielonym świetle lampek.

— To wszystko? — zagrział pochylając się do przodu. — Chcesz przysługi? Zaraz ją dostaniesz! — Mówiąc to wyciągnął przed siebie rękę. Jego dłoń była zaciśnięta w pięść. Ze skierowanego w kierunku Teveka pierścienia wystrzeliły szmaragdowe płomienie.

Szaty nekromanty stały w płomieniach, jednak on sam zniknął; resztki ubioru tliły się na podłodze.

— Coś takiego! — Thoth–Amon ze zdziwieniem uniósł brew. Następnie na jednej z kolumn dostrzegł padający znad ubrania cień Teveka.

— Twoje sztuczki mnie nie dosięgną. — Głos Teveka był przytłumiony.

— Ba! Salonowy numer iluzjonisty z Keshattan — powiedział Thoth–Amon z pogardą.

Uniósł do góry ręce, dłonie były oddalone od siebie o szerokość ramion, palce poruszały się tak szybko, że nie było ich wyraźnie widać. Otworzył się przed nim wir przepastnych ciemności. Obracająca się z piekielnym gwizdem czarna trąba stawała się coraz większa. Cień Teveka zaczął wyciągać się ku jej środkowi. — Kiedy studnia dusz pochłonie twego marnego ducha, dołączysz do swych przodków! — z ironią zawołał Stygijczyk.

— Aepe, ton–theon, anlala lai gaia! Aepe! — zabrzmiały pełne przerażenia słowa Teveka. Wir wciągnął już koniec jego cienia.

— Nie! — warknął Thoth–Amon podrywając się z tronu. Klasnął w ręce. Na jego znak trąba skurczyła się i zniknęła, ale zanim to się stało, wydobyły się z niej dwa cienie. Unosiły się w powietrzu jak szare, mgliste chmurki. Po chwili przybrały ludzkie kształty i zbliżyły się do Stygijczyka.

— Za późno! — rozległ się zdyszany głos Teveka. — Umarli służą mnie, Stygijczyku, czy są kośćmi, czy duszami; cieleśnie i spektralnie — ja jestem ich panem! — Wypowiadał te słowa z trudem. Kości łatwo było zmusić do posłuszeństwa, ale bezkształtne formy mogły mu się wymknąć spod kontroli. Napięcie wyczerpywało go; nie mógł panować nad nimi zbyt długo.

Palce cieni po omacku badały ciało ciemnoskórego czarnoksiężnika. Jeden z nich zacisnął szare ręce na jego szyi, podczas gdy palce drugiego wbijały się w jego oczy. Thoth–Amon krztusił się i mrużył oczy. Odwrócił się od duchów–napastników, i przeklinając, wydobył z siebie kilka ostrych, gardłowych sylab. Wokół miedzianego pierścienia rozbłysła zielona aureola, zaczęła rozchodzić się po jego ręce i wkrótce okryła całe ciało. Pod jaśniejącą osłoną widać było wykrzywioną twarz Thoth–Amona; na szyi i skroniach wystąpiły mu żyły. Jego muskularne ciało drżało z wielkiego wysiłku.

Szmaragdowa aureola odepchnęła od niego cienie, które teraz były w nią swymi pięściami z mgły. Powłoka ugięła się, ale nie ustąpiła.

Cień Teveka z wolna materializował się, jego postać powoli stawała się coraz lepiej widoczna. Utrzymanie duchów w posłuszeństwie wyczerpało jego zasoby nekromantycznej energii i zmusiło go do opuszczenia spektralnej fortecy. Teraz, stojąc z zamkniętymi oczami, koncentrował się na cienistych sługach, które nieprzerwanie atakowały Stygijczyka.

Czarne oczy Thoth–Amona błyszczały z wściekłości. Puls na jego skroni bił z każdą chwilą szybciej. Okrywająca go osłona zaczęła się powiększać i odpychać duchy coraz dalej od niego. Rzucił tajemne zaklęcie; jego słowa zagrzmiały niczym piorun. Zielona aureola podzieliła się na dwie równe części. Teraz każda połowa atakowała jeden cień. Kiedy obydwie duchy zostały uwięzione w świetlistych kokonach, Tevek mocno zacisnął pięści wyciskając z mglistych istot okrzyk cierpienia.

Gdy zmniejszające się kokony osiągnęły rozmiar małych kulek jęki umilkły, Thoth–Amon

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

z powrotem zasiadł na tronie i zatarł ręce. Spoglądał w dół, na zwyciężonego Teveka Thula. Wyczerpany nekromanta opadł na kolana. „Pokonał mnie”, pomyślał z rezygnacją. Klęczał ze spuszczoną głową. Był zbyt słaby, by patrzeć na ogień, który miał zaraz buchnąć z Czarnego Pierścienia. Bezwład powoli opuszczał jego roztrzęsione członki. Stopniowo wracał mu spokój. Z jego tuniki wciąż unosiły się siwe smugi dymu. Zauważył, że zielony ogień nie zniszczył tkaniny. Podniósł swe szaty z podłogi.

— Wspaniale — zagrzmiął Thoth–Amon. Odzyskał już pełnię sił. — Wygląda na to, że chłopiec, którego kiedyś spotkałem w Nebthu, dużo się nauczył.

Tevek uniósł głowę i spojrzał w oczy Stygijczyka. Było w nich uznanie. Zakaszał i zmusił się, by powstać. Czekał na następne słowa swojego pogromcy.

— W twoim wieku — ciągnął dalej Thoth–Amon — dawałem sobie radę tylko z jednym duchem. — Nawet Jasnowidzowie z Góry Yimsha nie potrafiały wyciągnąć na ten ziemski padół cienia ze Studni Dusz. — Zapadła cisza. Przez chwilę nad czymś dumał. — Do czego potrzebny ci jest mój Czarny Pierścień?

Tevek przełknął ślinę.

— Do wycięcia w pień bezczeszczących Khyfę podłych wyznawców Mitry i odzyskania miasta, Najgroźniejszy Panie.

— To prawdziwie szlachetny cel — mruknął Thoth–Amon. — Kult przeklętego Mitry musi zostać wdeptany w błoto, żeby Ojciec Set mógł zająć należne mu miejsce. Ale na twoim palcu pierścień nie miałby mocy pokonania legionów Khyfy. Nie znasz jego działania. — Uśmiechnął się protekcyjnie. — Teraz muszę wracać do operacji, od której mnie oderwałeś. — W jego oczach, tym razem tylko na moment, znów pojawiły się ogniki. Najwyraźniej wybaczył, choć nie zapomniał, że Tevek mu przeszkodził.

— O, Potężny, nie pragnę używać pierścienia do czegoś tak prymitywnego jak walka z wojskiem.

Stygijczyk pokiwał głową i spojrzeniem pozwolił Tevekowi mówić dalej.

— Po cóż więc?

— Z pomocą pierścienia, ja — i tylko ja, nie odbieraj tego jako brak szacunku, Najgroźniejszy Panie — mogę wydobyć to, co od dawna leży pogrzebane na cmentarzu czasu. Wiedz, panie, że odkryłem, gdzie znajduje się Szalony Bóg.

Thoth–Amon chwycił poręcz tronu.

— Niemożliwe — wybełkotał. — Każdy mag z Pierwszego Kręgu próbował odnaleźć w swej szklanej kuli choćby ślad po Mosiężnym Mieście. Szukali jak ziemia długa i szeroka. Ibis skrywa je przed nami. Jak odnalazłeś Nithię?

— Nie odnalazłem, o Księżę Magów — odpowiedział Tevek. Czuł jak powracają mu siły, wraz nimi odzyskiwał pewność siebie. — Natrafił na nie zwykły Zamorańczyk. Był przemytnikiem, w Iranistanie handlował z kupcami z Khemi i Anshan.

— Słyszałem o Anshan. Mów dalej — rozkazał Thoth–Amon.

— W swej ostatniej podróży do Anshan natknął się na mosiężną iglicę świątyni Ibisa.

Odkryła ją silna burza piaskowa. Chociaż nie zdawał sobie sprawy, jak ważne jest to miejsce, narysował mapę i zaznaczył drogę. Mapę kupił od niego cech złodziei.

Thoth–Amon zmarszczył czoło.

— W drodze powrotnej z Anshan do Khemi, chcąc uniknąć stygijskiej kontroli granicznej, przemytnik przejeżdżał przez moje ziemie. Widział już mury Nebthu, kiedy dosięgła go śmierć. Nie zginął z mojej ręki. Zaatakowała go dziwna choroba. Komórki jego ciała traciły wilgoć i obumierały... A jego wnętrzności zamieniły się w piasek. Dowiedziałem się o tym, badając zwłoki. — Na białych ustach Teveka pojawił się chłodny uśmiech.

Thoth–Amon uniósł brew.

— Klątwa Solnarusa!

— W rzeczy samej. Podobnie jak ty, ja też przeglądałem Księżę Skelosa. Wiedziałem więc, że ten wysuszony człek zawędrował do Nithii. — Tevek poluźnił sznurek na wykonanej z garbowanej skóry młodej dziewczycy sakiewce i z chronionego magicznym zaklęciem woreczka wysypał na podłogę gruboziarnisty popiół. Chociaż wciąż był osłabiony po walce z Thoth–Amonem, miał już dość energii, żeby dokonać obrządku. Zrobił magiczny znak i skoncentrował się na drobnych granulkach, które powoli zaczęły się przemieszczać przybierając kształt ludzkiej czaszki.

Ciemnoskóry Stygijczyk kiwał głową. Końce palców jego rąk uderzały o siebie. Wyglądał tak jakby wiedział, do jakiej magicznej sztuczki przymierza się Tevek i niecierpliwie czekał na początek widowiska.

— Powiedz, jak się nazywasz — rozkazał Tevek. Jego głos wydawał się wzmocniony, jak gdyby wydobywał się z ust całego chóru. Przesłuchiwanie zmarłych bywało męczące. Trupy

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

nie mogły kłamać w żywe oczy, przynajmniej nie nekromancie z doświadczeniem Teveka, ale jeśli miały sposobność, wprowadzały przesłuchujących w błąd. Zmuszenie przemytnika do opowiedzenia o swych czynach kosztowało Teveka wiele wysiłku.

— Har...rab. — Odpowiedź czaszki brzmiała jak odległe echo, jak głos człowieka wołającego z dna głębokiej studni.

— Czy zanim umarłeś, widziałeś na pustyni mosiężną iglicę?

— Tak.

— Więc odkryłeś położenie miasta. — Do przesłuchania włączył się Thoth—Amon. — Muszę usłyszeć wszystko na własne uszy. Ten Harrab może cię zwodzić.

Tevek przełknął ślinę i pokiwał głową. Następnie skoncentrował wzrok na czaszce.

— Czy narysowałeś mapę drogi do tej mosiężnej iglicy?

— Tak.

— Co się z nią stało?

— Sprzedana.

— Komu ją sprzedałeś?

— Ib... har... am.

— Gdzie ją sprzedałeś?

— An... shem.

— Czy mapa była dokładna?

— Tak.

— Ibharam z Anshem — kim on jest?

— Mistrz... cech... złodzieje.

— Teraz spocznij, Harrabie. — Tevek uczynił magiczny znak i czaszka zamieniła się w kupkę prochu. Nekromanta wyjął z woreczka kawałek poskładanego pergaminu, ukląkł i starannie zebrał popiół. — Mosiężne Miasto leży na południowy wschód od Shushan, we wschodniej części pustyni Shem. Tylko z pomocą Czarnego Pierścienia mogę bezpiecznie wydobyć Szalonego Boga. Kiedy posiadę jego moce, Khyfa upadnie.

— Powiedziałeś, że tylko ty możesz zdobyć figurkę. Co powstrzymuje przed tym mnie?

— Na ciebie czyhają większe niebezpieczeństwa niż kłątwa Solnarusy — cicho odrzekł Tevek. — Przysięgałeś wierność Setowi. W starożytnych pismach Siptaha wyczytałem, że każdy wyznawca Seta wchodząc do miasta wzbudzi gniew Ibisa, który może zniszczyć perłowe bóstwo. Siptah napisał też, że kult przeklętego Ibisa sprawił, iż miasto chronione jest przed sługami Seta. Czy chcesz podjąć ryzyko? Czy Czarny Pierścień ochroni cię przed bogiem? Jeśli idzie o mnie, moje czyny często służą Setowi, ale ja nie składałem mu obietnic. Mam wielu bogów: Ereskigal, Heret—Kau, Nephthys, Serkethetyt, Ta'xet i Tanatos. Ciemna twarz Thoth—Amona zachmurzyła się, ale Stygijczyk nic nie odpowiedział. Zbyt wiele razy podejmowane przez niego próby zniszczenia kapłanów Ibisa zakończyły się niepowodzeniem, by nie doceniał mocy tego boga.

— Pozwól, Najgroźniejszy Panie, że podejmę poszukiwania — ciągnął nekromanta. — Czyż Set nie byłby zadowolony, gdyby jego wyznawcy powrócili do Khyfy? Przysięgam, że kiedy zdobędę Szalonego Boga, dziesięć tysięcy dusz czczącego Mitrę bydła z Khyfy zostanie złożonych w ofierze Setowi. Ich krew zbeczcześci khyfyjskie sanktuarium Ibisa i namaści kamienie nowej Świątyni Seta.

Kiedy Thoth—Amon słuchał słów Teveka, w jego czarnych oczach błysnęły zielone ogniki. Poważnie pokiwał głową, pochmurna twarz rozjaśniła się. Nie wstając z tronu pochylił się i dotknął ręką podłogi. Pierścień, niczym żywy wąż, odwinął się z jego palca i popęzł w kierunku Teveka.

— Czarny Pierścień jest twój, dopóki nie przywołam go z powrotem na swą rękę.

Tevek zmarszczył brwi i ukląkł, by przyjąć pierścień. Mały wąż owinał się wokół jego palca, szczękami chwycił ogon i znów stał się martwym przedmiotem. Nekromanta natychmiast poczuł, jak jego ciało i umysł przepelnia moc. Obezwładniające fale energii napływającej z Czarnego Pierścienia sprawiły, że jego wzrok tracił ostrość. Wydawało mu się, że stoi w lodowym palenisku, którego zamrożone płomienie lizały go niczym czarne języki, kłując, wszędzie, gdzie go dotknęły. Ból był obezwładniający. Wytężając siłę woli wypchnął ze swego umysłu cierpienie i wstał.

Przeszywający ogień ustąpił.

Tevek stał wyprostowany i patrzył na Thoth—Amona.

— Czarny Pierścień służy tym, których nie może pokonać — wymamrotał Thoth—Amon pod nosem. Pewnie przypomniał sobie, jak on sam wszedł w jego posiadanie. — Pamiętaj, Teveku Thul — upomniał czystym, silnym głosem. — Kiedy korzystasz z mocy Czarnego Pierścienia, wyzwalasz demona, który albo będzie ci służył, albo cię zniszczy. Niektóre

demony mogą okazać się zbyt potężne, byś sobie z nimi poradził. Wzywaj tylko te, nad którymi zapanujesz.

Tevek podniósł rękę i z uniesieniem spoglądał na pierścień. W jego żyłach wzbierały lodowate rzeki mocy. Czuł energię, którą będzie mógł wykorzystać do osiągnięcia obranego celu. Olśniony, zdał sobie sprawę, że ta energia zawsze w nim płynęła; to z jej strumieni czerpał swą nekromantyczną moc. Trudność z odprawianiem czarów polegała na tym, że wiele wysiłku kosztowało go odnalezienie tychże umykających prądów.

Mając pierścień nie potrzebował już tracić czasu na żmudne poszukiwania. Czary, które wcześniej musiały być poprzedzone wyczerpującymi przygotowaniem, teraz nie wymagały żadnych starań. Miedziane zwoje nie posiadały wewnętrznej mocy. Umożliwiały jedynie szybkie przywołanie nagromadzonej w człowieku energii. Zimne płomienie, które przed chwilą odczuwał nie emanowały z pierścienia... one wypełniały jego samego od zawsze, choć do tej pory nie zdawał sobie z tego sprawy.

— Tylko nie przyzwyczajaj się do tego klejnotu — ostrzegł Thoth–Amon. Nie możesz się ze mną równać, nawet kiedy nie mam pierścienia. — Stygijczyk wyciągnął przed siebie ręce i odsunął je nieco od siebie. W powietrzu między jego dłońmi pojawiło się widmo białej świecy. Na końcu knota zamigotał mały, czarny płomień.

— Świeca Śmierci? Nie, to niemożliwe! — z oburzeniem wykrzyknął Tevek. Od razu odgadł intrygę Stygijczyka. Przygotowanie zdradzieckiego zaklęcia zajmowało wiele dni, a Thoth–Amon rzucił je bez najmniejszego wysiłku, nie korzystając z pomocy pierścienia. Nawet Czarni Jasnowidzowie z Góry Yimsha, twórcy kłątwy, nie rzuciliby jej tak szybko. Tevek pracował kiedyś nad zagmatwanymi księgami zaklęć, ale ostatecznie porzucił studia uznając, że nie były one warte jego czasu. Najwidoczniej Thoth–Amonowi nie zabrakło cierpliwości i opanował zawartość ksiąg.

— Nie miej złudzeń, zuchwalcze — odpowiedział Thoth–Amon. W jego głosie była nuta satysfakcji. — Twoja dusza powoli się wypala. Tylko ja mogę to zatrzymać. Twój posłaniec dotarł. Użyłem swej wiedzy, by sprawdzić, jakiego odkrycia dokonasz. Kiedy ty podróżowałeś z karawaną szkieletów, ja pracowałem nad tym zaklęciem. Pozwoliłem ci wejść na me włości, żeby cię sprawdzić i dowiedzieć się, jakie są twoje intencje. Czy myślisz, że Thoth–Amon jest tylko zwykłym sługą Seta? Musisz się jeszcze dużo nauczyć, ty arogancki poganinie.

Po tych pełnych pogardy słowach rozległ się przerażający chichot. — A lekcja właśnie się zaczęła.

Tevek zacisnął zęby. Nawet za pomocą pierścienia nie mógł odwołać śmiertelnej kłątwy. Thoth–Amon przechytrył go.

— Jedź do Mosiężnego Miasta, zdobądź Szalonego Boga i przywieź go do mnie — rozkazał Thoth–Amon. — Wysyłam cię, gdyż na obdarzonych łaskami Seta istotnie czyhają tam niebezpieczeństwa. Ale nie wykorzystasz mocy bożka do zrealizowania twojego prostackiego, egoistycznego planu zemsty. Miałeś odwagę zapragnąć mojego pierścienia do podboju Khyfy? Równie dobrze mógłbyś próbować zabić kilofem komara. — Thoth–Amon patrzył zamyślony na płonącą między jego dłońmi świecę–widmo. — Kiedy wrócisz, masz mi oddać Czarny Pierścień i Szalonego Boga. Wtedy kult Mitry, Ibisa i każdego innego fałszywego bóstwka zniknie z tego świata na zawsze. Pocziesz się, że jeśli ci się powiedzie, Khyfyjczycy na pewno ucierpią — tak jak i wszyscy inni, którzy będą sprzeciwiać się Ojcu Setowi. Tylko przez wzgląd na niego pozwałam ci nosić mój pierścień. Tevek zastanawiał się nad skorzystaniem z mocy pierścienia. Zamierzał potężnym uderzeniem ognia zniszczyć zadowolonego z siebie Stygijczyka. Uznał jednak, że byłaby to bezsensowna utrata energii. Nawet gdyby Thoth–Amon zginął, świeca — jego, Teveka, świeca życia — i tak nie przestałaby płonąć.

Dopalenie się świecy oznaczało koniec jego żywota. Nekromanta patrzył przez zmrużone oczy. Czy świeca już się zmniejszyła? Ile czasu jeszcze pozostało, zanim kłątwa nieuchronnie się spełni? Marnował cenne chwile. Odwrócił się bez słowa i jak burza opuścił hol.

Odbijające się od kamieni echo diabelskiego śmiechu Thoth–Amona odprowadzało Teveka, gdy pośpiesznie wybiegał po schodach. Na zewnątrz budynku nekromanta nie tracił już czasu na oglądanie oazy. Nie zaczepiany, minął czarną sadzawkę i podniósł swój kościsty orszak. Khyfyjczycy będą cierpieć, powtarzał w myślach, podczas gdy rumaki wiozły go do Mosiężnego Miasta. Choć miało go wkrótce osiągnąć śmiertelne zaklęcie, myśl o upadku Khyfy napawała go szczęściem. Jego życie nie było wygórowaną ceną za zemstę na khyfyjskich mordercach. Miał też nadzieję, że może jeszcze się mu uda wynaleźć sposób na wyrwanie się ze śmiertelnej pajęczyny kapłana Seta.

Choć nad piaskami pustyni nie zapadła jeszcze noc, Tevek Thul odczuwał przenikający

chłód otaczającego go powietrza.

VII
VARHIA

Conan wywiózł Kylannę z Kyros. Nie zatrzymywali się po drodze i ich wyczerpane konie pokryły się pianą. Na ziemi Ghazy wjechali w południe. Dopiero wtedy stanęli przy małym strumyku. Wierzchowce z wyraźną rozkoszą pluskały się w zimnej wodzie. Conan zsiadł z konia, żeby rozruszać ranną nogę, która mu ścierpła podczas długotrwałej jazdy. Chciał też napełnić worki na wodę. Ale najpierw obmył twarz; woda spływała mu na klatkę piersiową i plecy. Od razu poczuł się lepiej.

Kylanna wierciła się w siodle. Ziewała i przeciągała się. Jedną rękę trzymała nad oczami, chroniąc je w ten sposób przed oślepiającym słońcem, i przyglądała się północnemu horyzontowi.

Conan patrzył rozbawiony, jak dziewczyna szuka bardziej wygodnej pozycji dla swojego kształtnego tyłka. Nie było wątpliwości, że następnego dnia będzie miała kłopoty z siadaniem. Przebyli kawał drogi; Cymmerianin narzucił zabójcze tempo, a jechali po trudnym terenie. Po półdniowym podskakiwaniu na galopującej bestii tylko najlepsi jeźdźcy nie mielioby bolesnych obrzęków od siodła. Conanowi to nie groziło, choć ranna noga wciąż bolała go po niedawnej bójce z asshuri. Kylanna w ogóle się nie skarżyła. Jej postawa zrobiła na nim wrażenie. Jak znał życie, księżniczki nie były przyzwyczajone do takich trudów. Zazwyczaj podróżowały na pluszowych poduszkach karet, a jeśli wierzchem, to tylko w miękkich siodłach! Oczywiście, cały czas usługiwali im służący. Najwyraźniej ta księżniczka była inna.

Aż dziwne, że w miękkim i krągłym ciele Kylanny kryje się taka wytrzymałość. Conan dyskretnie przesunął wzrok z jej łydki na nagie udo. Podziwiał długą, zgrabną nogę. Wilgotna tunika przykleiła się do pełnych piersi, które kołysały się łagodnie, gdy dziewczyna wytrząsała z włosów kurz.

— Gór jeszcze nie widać — z niezadowoleniem stwierdziła Kylanna. Odrzuciła włosy do tyłu, przykrywając nimi nagie, na ciemno opalone ramiona.

Conan, chcąc się ostudzić, znów chlusnął wodę na twarz. Na Croma, jej widok mógł doprowadzić krew w żyłach mężczyzny do wrzenia.

— Rzeczywiście, jeszcze nie. — Zaszło mu w gardle. Nie wiedział, czy to od upału, czy od myślenia o dziewczynie. Szlachetnie urodzona księżniczka głośno wyrażała swą opinię na jego temat. Wszelkie myśli o zaproponowaniu wynagrodzenia innego rodzaju niż pieniądze za dostarczenie jej do domu były więc daremne. I Conan, chociaż barbarzyńca, nie dopuszczał myśli o zmuszaniu jej do czegokolwiek. Cymmerianie byli dzikusami, ale nie zdobywali kobiet bez ich chętej zgody. Conan z żalem odwrócił wzrok od ponętnego ciała, przełknął wielki łyk wody i wskoczył w siodło. — Spędzimy noc w pobliżu Ghazy i jutro będziemy jechać na północny wschód, póki nie dotrzemy do granic Koth. Wtedy poszukamy diademu i odstawimy cię do Arenjun.

— Dlaczego nie pojedziemy prosto na północ? Przeglądałam mapy, jakie miał ze sobą mój nieszczęsny kapitan, i trochę znam te tereny. Czy jadąc na północny wschód nie przedłużymy naszej podróży o dzień albo i więcej?

— Musimy ominąć ziemie księcia Balvadeka. Ten gruby jak beczka stary kozioł od razu kazałby wypruć mi flaki.

Kylanna przewróciła oczami.

— Co z ciebie za ziółko? Na Bela, jakiego morderstwa albo kradzieży musiałeś dokonać, żeby zasłużyć sobie na taki gniew?

— Żadnego — odpowiedział Conan, uśmiechając się łobuzersko. — Księżę ma córki bliźniaczki, które spotkałem eskortując jednego z dyplomatów księcia Reydnu do zamku Balvadeka. Reydnu włada pobliskim miastem—państwem i w tamtym czasie usiłował zawrzeć przymierze z Balvadekiem. Tak czy inaczej, dziewczki polubiły mnie i zdradziły mi tajemne przejście do ich apartamentów, gdzie owej nocy...

— Dość — fuknęła Kylanna. — Nie przyprowadzaj mnie o młodości szczegółami swoich godowych wyczynów z tymi ładacznicami. A więc Balvadek dowiedział się o waszych igraszkach i wpadł w szal.

— Nie. Na drugi dzień rano przyjechali ich mężowie. Wrócili z wyprawy wojennej wcześniej niż się ich spodziewano i zastali nas troje w łóżku. Ci zakuci w zbroje głupcy ze złości stracili rozum i rzucili się na mnie z mieczami. Nie pozostawili mi wyboru. W samoobronie musiałem ich porąbać.

— Mężowie? Ho, ho! W arenjuńskim Maul też było kilku kretynów tak nikczemnych jak ty. Poszli z kobietami do łóżka, a rano zamordowali ich mężów.

— One nic mi o mężach nie mówiły. Ci krótkobrodzi, niezdarni głupcy byli zapewne tak beznadziejni w łóżku jak i w walce. Tak czy inaczej, od tamtej pory Balvadek czeka, kiedy zadyndam na szubienicy przy głównej bramie miasta. Dlatego też dzisiaj pojedziemy na północny wschód. A między Reydnu i Balvadekiem sprawy i tak nie układały się dobrze ani przed, ani po tej nieszczęsnej, zakończonej fiaskiem misji. Ich ojcowie i ojcowie ich ojców walczyli ze sobą. Nie, między Balvadekiem i Reydnu nigdy nie będzie pokoju.

Kylanna z niesmakiem pokręciła głową.

— Więc w Ghazie jest bezpiecznie? Czy tam nie jesteś ścigany za przestępstwa tak jak w Kyros i każdym innym państewku w tej zacofanej części świata?

— Nie — odparł wesoło Conan. — To znaczy, w Ghazie nie bylibyśmy bezpieczni. W niewielu miejscach w Shem znaleźlibyśmy schronienie. Ale księżę Reydnu nie ma powodu, by nadziać moją głowę na pikę. Znam pewną przygraniczną wieś. Jest w niej mała gospoda, gdzie będziemy mogli dostać pokój...

— Nie spędzę z tobą nocy, ty barbarzyńco. — Kylanna zaśmiała się drwiąco. — Nie zamierzam też dzielić łoża z legionami pełzającego robactwa, od jakiego roi się w przygranicznych, wiejskich gospodach. Masz mi znaleźć odpowiednią kwaterę z czystymi prześcieradłami, łaźnią i dobrym jedzeniem. Och, i jeszcze, żeby tam była krawcowa, przecież potrzebuję nowego stroju. Ty możesz zostać w oborze tak jak wszystkie zwierzęta, i spać ze świniami oraz gryzoniami, które, zdaje się, są twoimi krewnymi. Mój diadem wynagrodzi ci w nadmiarze wszelkie drobne wydatki. — Sięgnęła po pełny worek z wodą i długo piła.

Conan przyglądał się jej z niedowierzaniem.

— Na Badba i Lira, dziewczyno! Nawet gdyby moja sakiewka była dość ciężka i byłoby nas stać na takie pokoje, to i tak nic bym z niej nie wyjął. Musimy omijać shemickie miasta i nie możemy sobie pozwolić na zabawy. Czyste prześcieradła, nowe ubrania — ha! W Ghazie takie eleganckie miejsca są bacznie obserwowane przez plotkarzy i każdy, od żebraka po szlachcica, wiedziałby o twoim przyjeździe. Nie, zatrzymamy się w Varhii, w gospodzie „Pod Czarnym Dzikim”, gdzie łóżko kosztuje mniej niż piwo, a właściciel nie zadaje żadnych pytań.

Kylanna ze wstrętem zmarszczyła nos.

— „Pod Czarnym Dzikim?” Asshuryjskie więzienie to pewnie pałac w porównaniu z tą rudera. Chyba jednak muszę pogodzić się z trudami długiej podróży do domu. — Ciężko westchnęła. — Dobrze więc, barbarzyńco. Naprzód, do tego nędznego przybytku, o którym mówisz.

Choć z trudem, Conan utrzymał nerwy na wodzy, za to zupełnie stracił humor. Klepnął konia w zad i ruszył do przodu. Równym kłusem jechali na północny wschód. Dziewczyna chyba już zapomniała o niebezpieczeństwach, jakie wciąż na nich czekały. Cymmerianin, tak jak przyrzekł, miał zamiar dowieźć ją bezpiecznie do domu. Ale był wojownikiem, nie lokajem, i jej wyniosły ton doprowadzał go do szału.

Conan zaczynał żałować całej tej wyprawy. Wiedział, że „Jastrząb” i Rulvio będą na niego czekać, ale przed powrotem do Messancji chciał jeszcze odnaleźć zaznaczone na mapie miejsce, a potrzebował na to więcej czasu. Gdyby udało mu się zdobyć i diadem, i skarb Mosiężnego Miasta, mógłby przekazać swój statek pierwszemu oficerowi i załodze. Nawet przez dziesięć lat uprawiania piractwa nie doszedłby do takiej zamożności. Mieszkałby tam, gdzie by chciał, pijąc i zabawiając się, kiedy tylko przyszłaby mu na to ochota; mógłby też brać udział w bitwach — bądź to dla korzyści, bądź dla przyjemności. Pograżony w tych pięknych marzeniach jechał naprzód. Od czasu do czasu oglądał się za siebie, by sprawdzić, czy Kylanna nie pozostała zbyt daleko z tyłu i czy nikt ich nie śledzi.

Podążali przez poprzecinane krętymi strumykami zielone pola, póki słońce nie skryło się za szczytami gór na zachodzie. Conanowi dokuczwała dziwna mieszanka ulgi i nudy. Asshuri nie ścigali ich, więc dzień minął spokojnie, ale Kylanna najwyraźniej uważała, że nie warto z nim rozmawiać. Oceniał, że dotrą do Varhii zanim zapadnie mrok. Conan nie był jeszcze zmęczony, ale ich konie potrzebowały wypoczynku, a Kylanna już ledwie utrzymywała się w siodle.

Podbudowywała go perspektywa pieczonej baraniny i kufla pianistego piwa. Jak sobie przypominał, gospodarz „Czarnego Dzika” był człowiekiem prostym, ale serdecznym. W gospodzie zatrzymywali się przeważnie kupcy i ich uzbrojone drużyny. Stawali tam na nocleg w swej długiej wędrówce do lub ze stolicy Ghazy. Wśród tych rozmyślań Conan po raz kolejny obrócił się w siodle i rzucił spojrzenie za siebie. Syknął przez zęby.

Zdawało mu się, że na południu, tak daleko jak sięgał jego sokoli wzrok, zauważył jeźdźca. Mógł przysiąc, że kątem oka dostrzegł podejrzaną postać. Uważnie przyjrzał się otoczeniu, ale teraz widział już tylko leniwie płynące strumyki i rozciągające się pola porośnięte wysoką zieloną roślinnością. W takim terenie jeździec i koń nie miałby gdzie się skryć, uznał więc, że zmyliły go wydłużone od zachodzącego słońca cienie. Gdyby ktoś ich śledził, Cymmerianin z pewnością odczuwałby na plecach jego wzrok. To słabe ale niepokojące uczucie już wiele razy uratowało mu życie.

Oczy Conana napotkały spojrzenie Kylanny. Jej twarz zdradzała ciekawość, ale dziewczyna o nic go nie pytała.

Conan odwrócił się i popędził konia do przodu, tak jakby nic się nie stało. Jeśli ktoś ich śledził, to nie byli to ashuri. Ci Shemici wspaniale walczyli, ale nie potrafili się zakradać. Tylko zręcznym Piktom, leśnym wojownikom, którzy zamieszkiwali ziemie położone daleko na północ i zachód, udało się kiedyś zmylić ostre zmysły Conana. Piktyjscy zwiadowcy potrafili przemykać się niepostrzeżenie nawet za czatującą panterą.

— Jak daleko jest jeszcze do tej kupy gnoju, którą nazywasz wsią? — Kylanna popędziła swego konia i zrównała się z Conanem. — Jestem zmęczona po całodziennej jeździe i tak wygłodniałam, że zjem ze smakiem nawet obrzydliwe jedzenie, jakie, tam dostaniemy. — Niedaleko. — Conan zignorował jej wyniosły ton. Prześladowała go myśl, że ktoś może ich śledzić. Wskazał mały zagajnik na szczycie odległego wzgórza. — Za tym wzniesieniem wiedzie szlak handlowy. Powinniśmy dotrzeć do Varhii przed zachodem słońca. — Jego oczy błysnęły figlarnie. — Niewątpliwie koń też jest wyczerpany. Przecież przez cały dzień dźwiga twój królewski tyłek. — Odwrócił się od niej, żeby nie widziała, jak się śmieje. Kylanna wyprostowała się i ściągnęła do tyłu ramiona.

— Och! Ty błaznie! Tak hojnie cię wynagradzam, a ty śmiesz sobie ze mnie żartować? Barania głowo! — Zanim ochłonęła, obrzuciła Conana jeszcze kilkoma innymi wymyślnymi epitetami, z których niejeden nie przystoi damie.

Conan od lat słuchał wyzwisk kobiet pod swoim adresem, był więc do nich przyzwyczajony. Pozwolił, by krzyczała, póki nie wyczerpała jej się repertuar. Myślami znów powrócił do niewidzialnego towarzysza, nie chciał się jednak odwracać. Lepiej było nie wzbudzać podejrzeń. W Varhii dowie się wystarczająco szybko, czy ktoś podąża ich śladem. Kiedy wspięli się na szczyt niezbyt wysokiego wzniesienia i dojeżdżali do gaju, zachodzące słońce pomalowało chmury pomarańczowymi i fioletowymi smugami. U podnóża góry kręta dolina pograżała się w cieniach nadchodzącego zmierzchu. Prowadzący przez nią szlak handlowy biegł doliną dawno wyschniętej rzeki. Jechali drogą na północ, a niebo zmieniało kolor z lazurowego na indygo.

— Varhia — rzucił Conan, wskazując głową widniejące przed nimi skupisko domów. Podróżował tędy przed kilku laty i na oko niewiele się tu zmieniło. Jak na wieś, osada była duża, można by ją nazwać nawet małym miasteczkiem. Conan pamiętał, że nie stacjonowali tu policjanci ani ghazyjscy żołnierze. Jak w wielu oddalonych od reszty świata osiedlach, prawo stanowiły tu krzepa i stal. Conanowi to odpowiadało, uważał jednak, że dziewczynę należy poinstruować, jak ma się zachowywać.

— Oszczędź sobie swoich królewskich tekstów — poradził głosem tak obojętnym, jak tylko potrafił — bo za bardzo będziesz rzucać się w oczy. I pozwól, że ja będę się targował o pokój i wikt. — Spojrzał na jej strój i podrapał się po brodzie. — W takim ubraniu wyglądasz nazbyt pociągająco, by nie zwrócić na siebie uwagi żadnego z gości „Pod Czarnym Dzikim”. Byłoby lepiej, gdybyś wyglądała jak wojowniczką, a nie jak prostytutką.

— prostytutką? Nawet za największe skarby...

— Potrafisz posługiwać się mieczem i sztyletem? — przerwał jej Conan.

Kylanna obrzuciła go ostrym spojrzeniem, ale tylko pokiwała głową i powiedziała:

— Wraz z siostrami uczyłam się podstaw fechtunku, żeby bronić swojej cnoty przed takimi brutalami jak ty.

— Dobrze. — Conan wziął do ręki krótki miecz ashuri, uwiązany do siodła skradzionego z obozowiska konia. Skrócił swój pas, tak aby pasował do szczupłej talii Kylanny. — Włóż to i nie skrywaj sztyletu. Teraz posmaruj ręce i nogi błotem. — Wbił koniec swojego miecza w strup, jaki mu się zrobił na łydce, i z rany pociekła cienka struga krwi. — Pomaż tym ubranie i broń.

Zamoryjka patrzyła na niego podejrzliwym wzrokiem, ale zrobiła, co jej kazał. Wychyliła się z siodła, zwinnie obróciła sztylet i powiększyła nim ranę w nodze Conana. Ze wstrętem zmarszczyła nos, kiedy umoczyła ręce w jego krwi.

— To dla zachowania pozorów — powiedziała ze spokojną miną, gdy Cymmerianin zaciskał zęby.

— Nie używaj tutaj swojego prawdziwego imienia — poradził jeszcze Conan. — W Varhii będziesz...

— Lyssą.

Conan wzruszył ramionami.

— Jak chcesz. Trzeba będzie mówić, że jesteś z Zamory, tak jak wskazuje twój akcent.

— Czemu nie Lyssa z Ophiru? — spytała doskonałą ophirszczyzną. — Albo Lyssa z Nemedii? — dodała, tym razem po nemedyjsku w dialekcie z samego Belverus, stolicy kraju. Jej mowa była tak czysta, że nawet rodowity Nemedianin dałby się nabrać.

Taka znajomość języków zrobiła na Conanie wrażenie. Splótł ramiona i uśmiechał się z uznaniem.

— Wydaje mi się, że sporo złota króla Tiridatesa wpłynęło do sakiewek najlepszych nauczycieli — powiedział pod nosem. — Niech więc będzie Lyssa z Ophiru. Postaramy się z nikim nie rozmawiać, chyba że zajdzie taka konieczność. Najprawdopodobniej nikt nie zwróci na nas uwagi. Miejmy nadzieję, że właściciel gospody już mnie zapomniał. Na Croma, ale się tam zabawiłem! Ja pozostanę przy Conanie z Cymmerii.

Zbliżali się do osady. Kopyta ich koni stuknęły o kamienie w korycie wyschniętej rzeki.

Przejeżdżając przez bujnie porośniętą dolinę, czuli jak owiewa ich łagodny, chłodny wiatr.

Tysiące ptaków uświetniało swym śpiewem zachód słońca. Ale ani powiewy wiatru, ani ptasi śpiew nie mogły odpędzić od Conana stale powracających myśli o niewidzialnym towarzyszu podróży.

Kiedy dojeżdżali do pierwszych zabudowań, trzech ogorzałych mężczyzn podniosło się z drewnianej, wyciosanej z pnia ławki. Dwaj z nich byli uzbrojeni w obustronne topory. Teraz opierali się na ich długich trzonkach. Nie ukrywając podejrzliwości patrzyli na Conana i Kylannę. Trzeci, który przewyższał swych kompanów o głowę, ze zniszczonej pochwy wysunął szeroki miecz i wyszedł na szeroką drogę z ubitej ziemi. Miecz trzymał opuszczony, ale w pogotowiu. Błady promień zachodzącego słońca dodawał jego ciemnym oczom złowrogiego blasku.

— Nie zwracaj na nich uwagi — wyszeptał Conan do jadącej obok niego Kylanny. Palce Cymmerianina zwały się na rękojeści asshuryjskiego miecza, a jego srogi wzrok napotkał oczy wysokiego Shemity. Nie zatrzymywał konia.

— Ściągnij wodze, przybyszu — powiedział Shemita mocnym, ale uprzejmym głosem. — Byłoby lepiej, gdybyście zawrócili i nie próbowali wjeżdżać do Varhii.

— Czemuż to? — zapytał Conan. Cały czas trzymał rękę na mieczu. Nie przestawał też patrzeć w oczy stojącego na drodze mężczyzny.

Shemita aż uniósł brwi ze zdziwienia.

— Nie słyszałeś ostatnich wieści? Książę Reydnu prowadzi wojnę z Balvadekiem. —

Splunął, kiedy wymówił to drugie imię. — Dwie kompanie wojsk Reydnu zajęły wieś. Sporo miejscowej ludności opuściło Varhię. Granica jest zamknięta dla obcych — zwłaszcza nadjeżdżających z południa, ponieważ wkrótce może nadejść armia Balvadeka. Reydnu może uznać was za szpiegów i kazać powiesić.

— Balvadek z Kyros? Dziś nie spotkaliśmy nawet jednego asshuri... no tak, nie przyjeżdżamy z najlepszej strony — pośpiesznie dodał Conan. — Musi być naprawdę niedobrze, jeśli Reydnu nie pozwala wjechać na swoje terytorium uczciwym podróżnikom. Chcemy tylko spędzić tutaj noc. Wyjedźmy o wschodzie słońca. Teraz odsuń się, by Conan Cymmerianin i Lyssa z Ophiru mogli przejechać. — Wypowiedziawszy te słowa zuchwale wysunął z pochwy miecz.

Wartownik zrobił krok do tyłu, podrapał się po krzaczastej brodzie i bacznie przyglądał się przybyłej parze. Trzęsły mu się ręce. Jego dwaj towarzysze wierzili się nerwowo i unikali surowego wzroku Conana. Przez dłuższą chwilę trwała pełna napięcia cisza, którą wreszcie przerwał Shemita.

— Wyglądasz na twardego najemnika — mruknął. — Czasy są ciężkie i Reydnu może potrzebować takich jak ty. Jeśli będziesz służył nam swoim mieczem, przepuszczę cię. — Później dodał przyciszonym głosem: — Ta wojna nie idzie nam najlepiej, a ja nie wyobrażam sobie, żebyś mógł być szpiegiem. Przejeżdżajcie.

— Dobrze — zgodził się Conan. Nie miał najmniejszego zamiaru wplątywać się w jedną z tych krwawych waśni, jakie stale wybuchały między shemickimi miastami — państwami. Spojrzał na Kylannę. Był jej wdzięczny, że się nie odzywała.

Patrzyła w ziemię tak, jakby nad czymś rozmyślała. Dopiero kiedy Conan odchrząknął, podniosła oczy i popędziła konia. Jechała obok niego. Ominęli trzech natrętnych wartowników. Shemici bezwstydnie przyglądali się wdziękom Kylanny, wystarczyło jednak jedno srogie spojrzenie Conana, by odwrócili wzrok w innym kierunku.

— „Dzik” jest niedaleko stąd — oznajmił Conan, kiedy przejeżdżali obok kilku chłopskich domostw. Zauważył, że w zagrodach nie było ani ludzi, ani zwierząt. Na jednym z pól rozbito obóz. Namioty ustawiono wokół okrągłej kamiennej studni. W ich pobliżu wykopano kilka palenisk, które teraz wypełniał popiół. Zadziwiające, że w pobliżu nie było widać żołnierzy czy koni.

Zabudowa Varhii była typowa dla wsi z tej winnej krainy Shem. Przy drodze, za starannie uprawianymi polami i domami z ciosanego kamienia lub drewna znajdowało się centrum osady. Tam wzniesiono większe budynki. Napotykanii ludzie zajmowali się swoimi sprawami i zdawali się nie zwracać uwagi na parę przybyszów. Dwóch rozebranych do pasa, złanych potem mężczyzn, rąbało drzewo na opał. Gromady wiejskich kobiet zbierały na polach jagody i warzywa, podczas gdy inne napełniały wodą duże gliniane naczynia. Mali chłopcy biegali po drodze tam i z powrotem, nosząc jedzenie, gliniane dzbany i różne inne tobołki.

— Tam. — Conan wskazał rozpadające się, drewniane ściany. Budynek był wyższy od pozostałych i chylił się na jedną stronę. Ponury front zdobiło tylko kilka krzywych okien i drzwi. Drzwi — wielki drewniany kwadrat rozmiaru wrót — były otwarte. Stało w nich kilku mężczyzn. Inni wychodzili na zewnątrz. Goście pili, jedli, śmieli się albo spokojnie odpoczywali.

— Przekleństwo Ishtar na głowy tych Shemitów — wymamrotał Conan. — Zdaje mi się, że połowa świąty Reyndu zamieszkała w „Dziku”.

— Co za szkoda — zakpiła Kylanna. — A tak liczyłam na miły wypoczynek w tym luksusowym zajeździe.

Jej sarkastyczna uwaga nie podziałała na Conana. Poirytowany, tylko zacisnął zęby. — Jest tutaj jeszcze jedna gospoda, „Pod Gronem i Ostem”. Na pewno bardziej by odpowiadała twoim wykwintnym upodobaniom. Nie mam jednak wątpliwości, że kwaterują tam oficerowie. — Podrapał się po kwadratowej brodzie i obejrzał się przez ramię. — Niektóre z tamtych gospodarstw wyglądają na opuszczone.

— Ty chyba żartujesz? — Kylanna pokręciła głową. — Jeśli chcesz, to szukaj miejsca dla siebie tam, albo w szopie dla owiec. Chociaż nie, chlew byłby dla ciebie najlepszy. Ja spróbuję szczęścia w „Gronie”. Nawet jeśli nie ma wolnych pokoi, to przecież niektórzy oficerowie są dżentelmenami i na pewno któryś na jedną noc odstąpi mi swoją kwaterę. Poza tym, chyba będzie tam bezpiecznie. A jeśli spodobamy się właścicielowi, to może pozwoli ci spać w stajni na słomie. Gdzie jest ta gospoda?

Conan wzruszył ramionami.

— To bez znaczenia. Nie mamy monet we właściwym kolorze, żeby dostać tam pokój.

Poszukajmy lepiej wieśniaka i zapłaćmy mu za nocleg i strawę.

— Czy w „Gronie i Oście” jest wspólna sala?

— Chyba tak. Występują w niej żonglerzy, bardowie i tacy tam.

— Jakie masz monety?

— Bo co? — spytał podejrzliwie Conan.

— Jesteś silny, nieprawdaż? Barbarzyńcy mają tylko kilka pozytywnych cech, zwierzęca siła jest pierwszą z nich. Między oficerami gwardii królewskiej mojego ojca popularna była pewna gra siłowa. Po tym, co widziałam, uważam, że nie mógłbyś w niej przegrać. Conan wiedział, co dziewczyna chciała zaproponować. Sięgnął do żałośnie lekkiej sakiewki.

— Dwanaście miedzaków, kilka brązowych i jedna srebrna. — Kiedy zaciskał sznurek na woreczku, miał zmarszczone brwi.

Cały czas trzymał sakiewkę w kieszeni kamizelki, skąd asshuri mogli łatwo ją wyjąć.

Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby go aresztowano i nie okradziono z tego, co miał przy sobie, nawet jeśli były to skromne sumy. Dziwne, że asshuri nie zabrali mu mapy i pieniędzy.

— To powinno wystarczyć — powiedziała Kylanna z pewnością w głosie. — W tej grze ty i twój przeciwnik siedzicie naprzeciwko siebie, łokcie trzymacie na stole i, nie zginając nadgarstków, usiłujecie przycisnąć do blatu rękę rywala. Postawimy trzy miedzaki do jednego, że pokonasz swego przeciwnika. Wygramy wtedy tylko jedną monetę, ale jeśli przegrasz, stracimy trzy.

Conan na znak protestu uniósł brew.

— Później postawimy trzy srebrne monety do jednej — oczywiście musisz wygrać — i wtedy jeszcze raz podniesiemy stawkę. Trzy złote korony do jednej.

Cymmeriańin roześmiał się.

— Znam tę grę. Większość oficerów to tchórze i słabeusze. Zakuci w zbroje skrywają się za plecami swoich ludzi. Nie zechcą wystawić swoich wątych ramion przeciw zaprawionym w bitwie mięśniom barbarzyńcy.

— Jeśli nie będziesz miał rywali, to ja się tym zajmę — odpowiedziała Kylanna. — Na Bela, czy nie dość, że wracam do domu z barbarzyńcą? Dlaczego muszę jeszcze troszczyć się o tak przyziemne sprawy jak nocleg i jedzenie?

— Czas pokaże, czy twój plan się powiedzie — odrzekł Conan. — Jeśli nam się nie uda, to będziemy spać na gołej ziemi i na pewno przemoczą nas deszcz. W tej części Shemu pada co noc. Mnie to nie przeszkadza. Na Croma, przeżyłem gorsze rzeczy. Ale ty musisz wypocząć przed jutrzejszą podróżą. A późno po zachodzie słońca nie byłoby rozsądnie błagać tych ludzi o nocleg, zwłaszcza teraz, kiedy trwa wojna.

— Pożyjemy, zobaczymy — mruknęła Kylanna.

Wjechali do centrum osady. Zabudowa wokół małego brukowanego rynku była dość przypadkowa: domy mieszkalne, warsztaty, sklepy. Dalej, droga prowadziła prosto do skromnego, ale solidnie wyglądającego zamku, znajdującego się na niewielkim wzniesieniu. Wiodła do niego szeroka i dobrze utrzymana droga.

Wiele budynków w centrum pochodziło jeszcze z czasów, kiedy zakładano osadę. Chociaż były starsze od pozostałych, to jednak miały czystsze ściany, całe szyby w oknach, a gontowe dachy nie przeciekały. Przechadzali się tędy kupcy i lokalni dygnitarze. Część z nich z niezadowolaniem spoglądała na dwójkę wojowników, którzy tak bezceremonialnie wtargnęli na ich terytorium. Surowy wzrok Conana zmusił wielu do odwrócenia spojrzenia. Do „Grona i Ostu” Conan i Kylanna dojechali bez przeszkód.

Nad drzwiami wisiał szyld. Przymocowano go łańcuchami do wbitego w kamienną ścianę słupa. Tablica ze zgrzytem kołysała się na wietrze. Był to jedyny dźwięk, jaki zakłócał echo dobiegającej z wewnątrz wesołej muzyki. Wydobywający się z komina na stromym dachu dym przyniósł do nozdrzy Conana wspaniały zapach pieczonej dziczyzny.

Nagle przed Conanem i Kylanną wyrósł wysoki, schludnie ubrany chłopiec. Spod zielonego kapelusza z tkaniny wystawały mu jasne włosy. Takiego samego koloru kurtkę z utkanym herbem — oblepiona owocami winorośl z pnącym się po niej ostem — opinał pas.

Na nogach miał szerokie skórzane spodnie.

— Rycerze na usługach księcia, czyż nie? — zapytał. Oczy błyszczały mu z przejęcia.

— Tak — przytaknął Conan. — Można by tak rzec.

— Słyszeliśmy, że nadciągają posiłki. Witajcie w „Gronie i Oście”, najlepszej gospodzie w Ghazie. — Chudy jak patyk chłopiec zdjął kapelusz i nisko się uklonił. — Aren jest do waszych usług. Pozwólcie mi się zająć waszymi wspaniałymi rumakami, podczas gdy wy będziecie posilać się i odpoczywać w naszych ścianach.

— Doskonale — przystała na to Kylanna.

Nawet najbardziej wyniosły wojownik nie wypowiedziałby tego protekcyjniejszym tonem. Conan skrzywił się.

— Wyjeżdżamy o świcie — oznajmił. — Jak daleko stąd jest stajnia?

— O, całkiem blisko — uprzejmie poinformował go Aren i wskazał budynek przy końcu wąskiej alejki. — Nic musisz o nic się martwić. Z pierwszym promieniem poranka będą na was czekać wypoczęte i dobrze nakarmione konie. — Podszedł bliżej i sięgnął po lejce. — Jak nam idzie na wojnie? — spytał cicho. Jego oczy płonęły z ciekawości.

— Nie przywozimy wieści — odparł szorstko Conan. — Jedziemy z zachodu i nie widzieliśmy żadnych wojsk.

Aren zgarbił się, zniknął też błysk w jego oczach.

— Sądząc po waszej broni i zmęczonych koniach, musieliście dzisiaj walczyć. Na Erlika... spojrzął na Kylannę i skrzywił się lekko — najmocniej przepraszam, ale pani ma jeszcze na sobie ślady bitwy!

— Zgadza się — przytaknęła Kylanna. — Mieliśmy potyczkę z bandytami — wyjaśniła lekceważącym tonem. — Bylibyśmy ci wdzięczni, gdybyś zdobył dla nas kilka rzeczy, zanim spotkamy się z oficerami księcia. Poszukaj odpowiedniej koszuli dla mojego towarzysza. Najlepiej białą, z długimi szerokimi rękawami. Dla mnie przynieś lekką zieloną tunikę. Zaprowadź nas do stajni, żebyśmy ją mogli sprawdzić, a ty w tym czasie rozejrzysz się za tymi ubraniami.

Conan patrzył na nią wilkiem, ale się nie odzywał. Podążał z Kylanną za szybko idącym Arenem, który prowadził ich do budynku przy końcu alejki. Zatrzymali się przed zamkniętymi wrotami z masywnych desek. Były tak szerokie, że mogły przez nie przejść trzy konie naraz. Kluczem, który miał na sznurku na szyi, Aren otworzył małe boczne drzwi i wszedł do środka. Conan i Kylanna słyszeli, jak mociuje się z kłódą zabezpieczającą główną bramę i po chwili wrota się otworzyły.

Podjęte środki ostrożności nie zaskoczyły Conana. Konie, zwłaszcza rasowe, były w cenie w tych stronach i złodzieje często okradali stajnie. Cymmerianin wjechał na swym

wierchowcu do środka i z zainteresowaniem przyglądał się obszernemu wnętrzu stajni, jakiej jeszcze nie widział. Od twardo ubitego toku po sufit z mocnych belek budynek lśnił czystością. Conan nieraz płacił wiele brązowych monet za nocleg w o wiele gorszych warunkach. Tutaj, w korytach z wodą nie pływały brudy ani żadne robactwo, a w płytkich żłobach nie wałały się szcurze odchody. Prawie wszystkie z ponad dwudziestu boksów, były zajęte; w niektórych stały nawet dwie sztuki, choć były to żrebaki albo konie mniejszej rasy. — Została nam tylko jedna zagroda — odezwał się przepaszająco Aren. — Dwóm koniom będzie trochę ciasno, ale na jedną noc wystarczy. Pani i pan raczą sprawdzić, czy stajnia jest odpowiednia, a ja załatwię wasze zamówienie. Sklep krawca jest ledwie o rzut kamieniem stąd, i znajdzie się tam dokładnie to, czego potrzebujecie. Gdybyście państwo zechcieli sami zdjąć z siodła swoje rzeczy, to wrócę zanim skończycie. Natomiast jeśli chodzi o zapłatę...

Kylanna wyjęła z juków sakwę, pełną asshuryjskiego prowiantu: suszonych owoców, orzechów i sucharów tak twardych, że można było połamać sobie na nich zęby. Podniosła woreczek, jakby chciała ocenić jego wagę.

— Porozmawiaj tylko z właścicielem, panie Aren, a my dopilnujemy, żeby twoja wyjątkowa sumienność została wynagrodzona. Bez wątpienia nowe ubranie, ciepły posiłek i dzban wina powiększą naszą hojność.

Uprzejmy uśmiech zniknął z twarzy chłopca, zaczął przestępować z nogi na nogę i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Jednak po chwili znów się uśmiechnął, skinął głową i uniósł kapelusz. Obrócił się i wybiegł załatwiać sprawunki.

Conan odczekał, aż Aren oddali się na tyle, by nie mógł ich dosłyszeć, zanim obrzucił Kylannę piorunującym spojrzeniem i warknął:

— Właściciel gospody nie będzie taki naiwny. A ja nie jestem strojnisiem i nie będę paradował w szlacheckich fatałaszkach!

— Koszuła zakryje ci mięśnie — wyjaśniła mu Kylanna.

— I będzie mnie kosztować — odburknął Conan.

— Musimy się dobrze prezentować. Ta gra wymaga więcej niż tylko zwierzęcej siły.

— Wszystko jedno, czy będę w jedwabiu, czy w kolczudze, miejscowi i tak rozpoznają Conana z Cymmerii.

Kylanna założyła ręce na biodra.

— Tak sądzisz? — spytała drwiącym tonem. — Nie wątpię, że jesteś bożyszczem tutejszych kanałii. Ale czy twoja sława sięga także przyzwoitych miejsc? Tego nie byłabym taka pewna.

Pełną oburzenia i nieprzyzwoitych słów odpowiedź Conana przerwało przybycie dwóch chłopców, ubranych tylko w szerokie spodnie do kolan i sandały. Wtoczyli do stajni wóz załadowany świeżym sianem. Spojrzeli na Cymmerianina i Zamoryjkę z zainteresowaniem, ale nie odzywając się ani słowem chwycili za widły i pochyleni zabrali się do zrzucania siana na tok. Po długich, mokrych, klejących się do opalonych pleców włosach widać było, że pracowali cały dzień.

— Widzisz? — powiedziała Kylanna uśmiechając się. — Nawet w twojej kaście znajdują się tacy, którym legendarna twarz Conana jest obca.

Conan pokręcił głową i zsiadł z konia. Zaprowadził go do pustego boksu, ostatniego licząc od bramy. Sprzęt jeździecki i uprząże leżały poukładane na półkach przy ścianie naprzeciw wejścia, obok długiego warsztatu pełnego narzędzi i przyborów stajennego. Conan zauważył tam kilka znanych mu przedmiotów — szczypcy i młot kowalski, kowadło, sztabki żelaza i gwoździe do przybijania podków.

Przeszły go dreszcze na myśl, ile właściciel gospody zażąda od nich za samą tylko stajnię.

Ale z drugiej strony od dawna przebywał z dala od luksusów cywilizacji i przyznawał przed samym sobą, że pieczony udziec dziczyzny albo półmisek dzikiego ptactwa smakowałyby mu bardziej niż przypalona, tłusta baranina. Ponadto, butelka ghazyjskiego wina ugasiłaby pragnienie znacznie lepiej niż gorzkie piwo w „Czarnym Dziku”. A i deszczowa noc przespana na wiązce słomy, choć to dla niego nie pierwszozna, nie była tym samym, co sen w suchym łóżku. Conan zdał sobie sprawę, że z tych to powodów, jak również z chęci poznania świata, w jakim rzadko się obracał, a także dla ożywienia nudnie zapowiadającego się wieczoru, godził się na absurdalny pomysł Kylanny.

Aren powrócił bardzo szybko. Przyniósł ubrania i kilka dodatków — dla Conana szeroką, niebieską szarfę, a dla Kylanny jedwabne spodnie jeździeckie kolorem pasujące do jej nowej tuniki. Kylanna nie ukrywała zadowolenia. Conan patrzył na szarfę z obawą, jakby była niebieskim wężem, a nie pasem tkaniny.

— Powiadomię Yarła, właściciela, o waszym przybyciu — powiedział Aren. — Książę

Reydnu zarezerwował kwatery dla dowódców posiłków. — Ukłonił się z kapeluszem w ręce i wybiegł.

Conan trzymał koszulę w rękach i grymasił na wszyte w mankiety zakładki. Chociaż taki strój wraz z jasną szarfą podobny był do ubrań barachijskich piratów, barbarzyńcy wydawał się zniewieściały i czuł do niego wstręt. Mankiety utrudniłyby pracę mieczem, szerokie rękawy zawijałyby się i plątały przy zbliżeniu z przeciwnikiem. Był to strój salonowego rycerza. Z niechęcią naciągnął koszulę na kamizelkę. Ponieważ jego tors był zbyt wielki, udało mu się zasznurować ją tylko poniżej klatki piersiowej.

Kylanna, schodząc z oczu chłopcom stojącym i Conanowi, szybko przebiegała się w boksie. Kiedy wyszła i spojrzała na Conana, kąciki jej czerwonych jak wino ust podniosły się w uśmiechu.

— Dziwnie wygląda w tym stroju osobnik o tak podłym rodowodzie — zakpiła cicho. — Rzeczywiście, nie pasuje ci.

— Jeśli nie przestaniesz tak mówić, będziesz spać w deszczu — warknął Conan. — Na Croma, wolałbym stawić czoło armii asshuri niż znosić docinki twojego ostrego języka. Dziewczyno, nie nadwerężaj mojej cierpliwości! Zaczniemy już tę grę. I tak pewnie skończy się na tym, że będziemy stąd uciekać na końskich grzbietach — albo pieszo, czy jeszcze gorzej — ścigani przez pól wojska Reydn.

Conan przełożył przez ramię pas z mieczem, a sztylet wetknął za cholewę. Miecz Kylanny wisiał u biodra i sięgał jej prawie do kostek. Sztylet włożyła za pas z drugiej strony. Poruszała się nieco niezręcznie, co dało z kolei Conanowi powód do drwin.

— Dziwnie wygląda w tym stroju wypieszczona w pałacu księżniczka — skomentował powtarzając jej wcześniejszą uwagę. — Bardziej nadawałabyś się na kurtyzanę. — Patrzył bezwstydnie na jej obfite wdzięki odkryte przez ekstrawagancki dekolt.

— Żadna kurtyzana nie poniżyłaby się, przestając z takim bydlakiem jak ty.

— A księżniczka przestaje, i to dobrowolnie.

Oburzona wypadła ze stajni. Kiedy przechodziła koło wozu z sianem; robotnicy nie mogli oderwać od niej oczu. Potem z zazdrością popatrzyli na podążającego za Kylanną Conana. Oboje zniknęli za rogiem, gdzie było wejście do gospody.

Słońce już zupełnie schowało się za górami; Varhię okryła ciemna maska zmroku. Znad solidnych drzwi gospody, na cichą, mroczną uliczkę padało blade światło latarni. Conan i Kylanna przeszli przez brukowany dziedziniec i po schodach podeszli do drzwi. Brązowa klamka ani drgnęła.

— Zaryglowane — stwierdził Conan. — W gospodach raczej się to nie zdarza.

— Nic w tym dziwnego. W zamoryjskich wsiach ludzie często zamykają drzwi, żeby nie wchodził motłoch z niższych kast — odpowiedziała Kylanna.

— Tak, tylko że w Zamorze roi się od złodziei. Jest ich tam jak pcheł na wyliniałym kundlu — argumentował Conan. — To jest Varhia. Tu nikt przed nikim nie zamyka drzwi. Pewnie oficerowie, chcąc zachować dyskrecję...

Przerwał mu zgrzyt zawiasów. Masywne drzwi otwały się do środka. Stał w nich kościsty mężczyzna z wąskim, spiczastym nosem. Ubrany był w obszerną, szarą tunikę z wełny. Jedną rękę oparł o drzwi, drugą trzymał na rękoejści wiszącego u pasa miecza.

— Jesteście najemnikami — przerwał na krótką chwilę, marszcząc brwi — kapitanowie? Obydwoje pokiwali głowami.

— Gонец księcia powiadomił nas, że należy się was spodziewać. Jestem Yarl, właściciel „Grona i Ostu”. Witajcie. — Kłaniając się zaprosił ich do małego, wąskiego przedsionka. Gospodarz zamknął skrzypiące drzwi. Za ciasnym, ciemnym korytarzem widać było kwadratową, przestrzenną salę. Z lakierowanej podłogi wyrastały cztery filary, na których wspierała się kratownica belek sufitowych. W pomieszczeniu tym nie było okien, ale przez wentylatory umieszczone na każdej ze ścian tuż pod sufitem, wpadało wystarczająco dużo świeżego powietrza. Wejście do gospody znajdowało się w południowo — zachodnim rogu. Zaczynał się tam korytarz, który biegł wzdłuż zachodniej ściany i kończył się masywnymi drzwiami, zapewne do pokoi sypialnych. Przy wschodniej ścianie, na całej jej długości, stał kontuar; dwanaście jednakowych stołów zajmowało większość podłogi. W północno — wschodnim i południowo — wschodnim rogu sali ustawiono wygodniejsze siedzenia w postaci wykładanych poduszkami otomanek. Przyciemnione światło padało tylko z kilku wiszących na ścianie za kontuarem lamp i stojących na stołach świec.

Meble były czyste i lepszej jakości niż w gospodach, do jakich wcześniej zaglądał Conan. Część stołów i ławek wyglądało na nowe, tak jakby nigdy nikt nimi nie rzucał ani ich nie połamał. Najwidoczniej goście nie wszczynali tu burd, w jakich wszędzie indziej często brał udział Cymmerianin. Nie było nawet czuć stęchniętego potu, rozlanego piwa ani starej sadzy.

Conanowi od razu się tutaj nie spodobało. W tej idiotycznej koszuli i w eleganckim pomieszczeniu czuł się niezręcznie. Stwierdził, że to miejsce było odpowiednie dla lubiącej się stroić szlachty i snobistycznych oficerów. Myślał nawet, żeby stąd uciec i wrócić do „Czarnego Dzika”, ale na twarzy Kylanny odczytał ulgę i słyszał, jak wzdycha z zadowoleniem.

— Całkiem przyjemnie, panie Yarl — powiedziała do właściciela wciskając mu do dłoni kilka brązowych monet. — To dla pańskiego chłopca stajennego, Arena. Bardzo dobrze się nami zajmował — dodała. — Oczywiście, w podzięce za pańską osobistą uprzejmość i gościnność, z jaką traktuje się w tej zacnej gospodzie gości księcia, będziemy znacznie hojniejsi.

Gospodarz ukłonił się — ale nie dość szybko, by ukryć chciwy wyraz twarzy — i schował monety do sakiewki, którą nosił przy pasie. Następnie poprowadził ich do ogólnej sali. Po drodze recytował wiele razy powtarzany tekst wychwalający rzekomo niezrównane zalety jego zajazdu. Conan wątpił, by nawet w królewskim pałacu Aquilonii było tak wspaniale. Robił jednak to samo co Kylanna: kiwał głową i udawał, że wszystko, co widzi, wywiera na nim wielkie wrażenie. Powstrzymywał się przed ziewaniem i patrzył, jak Kylanna kokietuje gospodarza. Wkrótce przekonał się, że w niej naprawdę płynie zamoryjska krew, taka sama, jaka płynęła w żyłach najlepszych złodziei na świecie. Szybko oszołomiła Yarla i przekonała go, by się zgodził na rozegranie zawodów z zakładami.

VIII

LEŚNY OBSERWATOR

Toj, osłaniając ręką przymrużone oczy, rozglądał się po okolicy. Po Conanie i kobiecie nie było ani śladu. Popędzając konia, przedzierał się przez gąszcz drzew i wysokich chwastów porastających wzgórze. Cymmerianin najwidoczniej pognał konie doliną. Mając przed sobą równą drogę, która powstała w wyschniętym korycie rzeki, mógł szybko posuwać się do przodu. Toj zdecydował, że pojedzie przez wzniesienie, jako że stanowiło ono doskonały punkt obserwacyjny, a gęste listowie było wspaniałą osłoną, choć jak się później okazało, to drugie utrudniło mu tylko zadanie. Nie był w stanie jechać tak szybko jak śledzona przez niego dwójka i obiekt obserwacji szybko znikł mu z oczu.

To musiało go do jazdy galopem, co z kolei groziło zdradzeniem się, jeśli tylko Conan sprawdzał, czy nie podąża za nimi pościg. Przez jakiś czas Toj bawił się z Conanem w chowanego, póki nie nabrał pewności dokąd Cymmerianin i tajemnicza kobieta zmierzają. Toj dość dobrze znał shemickie miasta. Ich skłócenie władcy często korzystali z usług Assasynów. Rok albo dwa lata temu osobiście wykonywał zlecenie w Shemie, więc jeszcze dobrze pamiętał te miejsca.

Droga w wyschniętym korycie wiodła z Kyros do Ghazy. Często korzystali z niej kupcy i podróżnicy. Można nią było dojechać z Khorshemish w Koth do Asgalun w Shemie, albo jeszcze dalej na południe, do ponurego portu morskiego w Khemi, stygijskiego miasta węży. Toja zastanawiał brak ruchu na drodze. O ile dobrze pamiętał, w dolinie leżała całkiem spora wieś, Varhia, jedna z największych osad w tej prowincji. Cymmerianin i kobieta raczej nie podróżowaliby nocą, ich konie potrzebowały odpoczynku. Toj spodziewał się, że zatrzymają się w Varhii. Dziwiło go, że mimo bliskości osady nie było widać kupców ani nikogo innego. Widocznie albo już zapomniał topografię okolicy, albo we wsi coś się święciło.

Słońce dotykało już horyzontu, kiedy przedarł się przez szczególnie wysokie zarośla. Ogarnął wzrokiem łagodnie opadający na wschód stok wzgórza. Jego oczy nagle się zwężyły, bo daleko na wschodzie zauważył jakieś zgrupowanie. Instynktownie skrył się w najbliższym zagajniku i obserwował olbrzymią kolumnę, nadciągającą z południowego wschodu.

Wszyscy, a przynajmniej ci, których widział, jechali konno. Organizacja oddziału i ubiór jeźdźców wskazywały na ich pochodzenie: byli to asshuri.

Jeszcze przez chwilę przyglądał się im ukryty w cieniu drzew. Ci wojownicy nie pochodzili z Kyros; Toj nie rozpoznawał ich barw i rodzaju broni. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że podążają na bitwę. Tabor stanowiło tylko kilka tuzinów koni dźwigających na grzbietach wypchane worki, beczki i dodatkowe uzbrojenie. Zbrojni nie wieźli namiotów ani żadnego sprzętu obozowego, co oznaczało, że nie jechali na długą wyprawę. Mieli uderzyć i szybko zniszczyć przeciwnika, ktokolwiek nim był.

Popatrzył na ustawienie oddziału, jakieś dziesięć — nie, piętnaście — rzędów, w każdym trzydziestu asshuri. Jako pierwszy, w złocistym siodle, jechał wysoki mężczyzna, na wietrze unosiła się za nim biała peleryna. Jego wierzchołek miał na sobie wspaniały rząd. Sądząc po

niewielkich zapasach, Toj uznał, że wojownicy przybyli z pobliskiej prowincji. Między magnaterią w tej shemickiej krainie wina często dochodziło do konfliktów i drobne utarczki zbrojne były tu czymś normalnym. To jednak nie był mały oddział awanturników. Jeśli Toj nie pomylił się co do ich kierunku jazdy i celu, to najprawdopodobniej zamierzali zająć Varhię. Nawet jeśli ich cel był inny, Toj nie mógł pozostać na uboczu.

Co by się stało, jeśli w czasie ataku asshuri we wsi byłoby Conan i kobieta? W najlepszym wypadku wydarzenia zatrzymałyby Conana na jakiś czas; w najgorszym, gdyby Conan został pojmany albo gdyby zginął, Toj już nigdy nie zdobyłby przedmiotu, od którego zależało jego życie. Musiał szybko ruszać do Varhii i dopilnować, by Conan nie zatrzymywał się we wsi. Zamachowiec wyprowadził konia z zarośli i miał już zamiar zjechać do doliny, gdzie po równej drodze mógł pędzić do Varhii galopem i dotrzeć tam na czas, by zapobiec najgorszemu. Nie wiedział jeszcze, jak wywabi Conana ze wsi, ale rozwiązałby ten problem w drodze do osady. Przecież to dzięki zdolności twórczego myślenia wspiął się po szczeblach drabiny kariery do tytułu mistrza cechu.

Był tak zamyślony, że niemal nie zauważył stojącego w trawie asshuri. Znajdował się nie dalej niż dziesięć kroków od niego. Toj natychmiast się zatrzymał, sam siebie skarcił za nieostrożność. Na szczęście asshuri go nie widział. Oddawał mocz przy niskim drzewku i nucił fałszywie. Brak zbroi sugerował, że mężczyzna jest zwiadowcą. Toj nie widział jego konia, pewnie zostawił go gdzieś w pobliżu.

Trzymał już w ręce trzy rzutki na wypadek, gdyby asshuri się odwrócił. On sam stał w bezruchu, ale chrapnięcie konia albo trzask gałązki mogło go zdradzić. Rzuciłby swymi śmiertcionośnymi gwiazdkami, ale nie miał pewności, czy z takiej odległości zabije. Żeby cisnąć ostrze właściwie, powinien był stać na nogach i przechylić ciało w kierunku celu. Obawiał się, że rzucając z konia, tylko zrani zwiadowcę, który zdołałby jeszcze ostrzec cały oddział o jego obecności. Tak więc na razie cierpliwie czekał. Gdyby asshuri się odwrócił, Toj zdążyłby zeskoczyć z konia i szybko go zabić.

Chwilę później zwiadowca przeciągnął się wzdychając. Gmerając przy spodniach, odwrócił się w kierunku Toja. Podniósł głowę do góry, zbladł i gapił się jakby zobaczył diabła.

Zamachowiec wyskoczył z siodła, podbiegł do przodu i cisnął rzutką, zanim asshuri zdążył odzyskać rozum. Dwa latające ostrza przecięły mu gardło. Trzecie zdruzgotało mu zęby, przebiło się przez podniebienie i ugrzęzło w mózgu. Z rozciętego gardła krew trysnęła jak z fontanny. Asshuri nie żył, zanim jego ciało upadło na ziemię.

Toj podbiegł do zwłok, żeby zabrać swoją broń. Zabójstwo było szybkie i ciche. Na pewno nie wzbudziło podejrzeń w przejeżdżającej w pobliżu kolumnie. Zadowolony z Siebie, wyjął z uwiązanej do łydki pochwy cienki, zakrzywiony nóż i odciął kawałek materiału z tuniki zabitego zwiadowcy. Następnie ze zmasakrowanych ust asshuri wydobył rzutkę i oczyścił ją z krwi i mózgu ofiary. Kiedy wycierał następne ostrza, poczuł alarmujące strzyknięcie w kręgosłupie. Obejrzał się przez ramię.

— Na Bela! — syknął.

Stało za nim dwóch zwiadowców. Jeden zamachnął się ciężkim kijem na niczym nie osłoniętą głowę Toja i trafił go prosto w skroń. Drugi zaatakował go nogą, twardy but wylądował na stawie kolanowym Assasyna. Toj wykonał półobrót i cisnął trzymaną w ręce rzutką, ale następne kopnięcie udaremniło celny rzut. Znowu dostał grubym drewnianym drągiem. Upadł na jedno kolano i przewrócił się na bok. Z nosa ciekła mu krew.

— No i co Mahkoro, zabity? — spytał zwiadowca trzymający kij.

— Nie, Baasha. Jest dopiero w pół drogi do piekła — odpowiedział Mahkoro. Klęczał z dłonią przyłożoną do szyi Toja — sprawdzał puls. — Ale po tym co zrobił z Avenim, pomogę psu dojść do końca. Na Pteora! Aveni był mi dłużny sześćdziesiąt szelągów. — Mahkoro chwycił szyję Toja i kciukami naciskał na jego gardło.

Baasha pokręcił głową.

— Zanim go zabijemy, powinniśmy się dowiedzieć, co on tutaj robił. Może to szpieg Reydnru? Mogli zastawić pułapkę na naszych braci asshuri. — Zwiadowca odrzucił kij i podniósł z ziemi rzutkę, która nie doleciała do celu. — Popatrz na to stalowe koło, którym we mnie rzucił... Pewnie tym samym zabił Aveniego. Gdzie, na Dziewiąte Piekło Zandru, znalazł taką broń? Nie, Mahkoro, musimy zabrać tego łajdaka do Balvadeka. Puść go, na Zandru! Nie zabijaj. Jeżeli Balvadek zechce wycisnąć prawdę z tego psa, my będziemy go przyciskać. Szpiegowi należy się powolna i bolesna śmierć. — Baasha klepnął Mahkoro w ramię.

— Masz rację — powiedział drugi asshuri, zwalniając uścisk. — Wiózł ze sobą sporo rzeczy. Pewnie będzie tam coś wartościowego. Sprawdźmy i podzielmy się tym, co

znajdziemy, zanim dostarczymy go do Balvadeka.

— Jasne — odpowiedział Baasha uśmiechając się chciwie. Przeszukali ubranie, bieliznę, sakwy i kieszenie Toja. Znaleźli sporo najprzeróżniejszego rodzaju broni i innego sprzętu. W pasie ukryte były ciężkie, złote monety z różnych stron świata. Każdy złoty krążek starannie włożono w osobne, przyszyte do pasa skórzane kieszonki.

— Ułożone w ten sposób monety nie dzwoniły — zauważył Baasha. — Tak robią złodzieje i szpiedzy, jeśli nie chcą, by zdradził ich hałas, kiedy wykonują swoją pracę.

— Na Pteora, spójrz na ten sztylet! — z zachwytem zawołał Mahkoro. Do pasa z kosztownościami przywiązana była pochwa z miękkiej skóry. Mahkoro nie mógł oderwać oczu od misternie wykutej ze złota i miedzi rękojeści. Miała kształt węża, którego trójkątna głowa tworzyła przeciwwagę dla ostrza. W każdym oczodole błyszczał piękny, wielki rubin. Mężczyźni spojrzeli na siebie. Ich twarze zdradzały chciwość. Taki skarb wart był pięć lat ciężkiej pracy, a może i więcej, ale nie można go było podzielić.

Mahkoro pierwszy chwycił za lśniącą rękojeść. Wyjął sztylet z pochwy i wbił w krocze Baashy. Skierowane do góry wypolerowane stalowe ostrze otworzyło mu brzuch, zanim zdążył się cofnąć. Asshuri zajączał z bólu i rzucił się na rękę Mahkoro. Chybił, ale Mahkoro potknął się i końcem ostrza skaleczył się w rękę.

Baasha zataczał się, obejmując dłońmi rozpruty brzuch. Z ust sączyła mu się krew, z okropnej rany wypływały czerwone potoki. Przewrócił się na twarz, wstrząsnęły nim drgawki i już się więcej nie poruszył. Gdyby Mahkoro nie odwrócił się od niego, może zauważyłby, że z rany Baashy nagle przestała wypływać krew, a jego kończyny zsiniały.

Twarcz Mahkoro wykrzywił ponury uśmiech zadowolenia. — Jesteś mój — wyszeptał do sztyletu. Kiedy pochylił się nad Tojem, żeby zdjąć z niego pas i kontynuować poszukiwania, poczuł przeszywający ból. Z ust wydobył mu się jęk cierpienia i niedowierzania. Upuścił sztylet i padł na kolana. Skaleczona ręka piekła, jakby była smażona w najgorętszym ogniu piekieł. Nagle zdał sobie sprawę, że nie odczuwa gorąca, lecz nieznośny, przenikający chłód. Palce już całkowicie mu zdrętwiały. Na szczęście tracił też czucie w przedramieniu, ale zabójcze zimno zaatakowało mięśnie i bark. Jego mękom nie było końca.

Kiedy spojrzął na źródło rozchodzącego się chłodu — maleńką ranę po znalezionym sztylecie, zawładnął nim strach. Trucizna... czy czary? Zdrową ręką potarł po zamarzniętym ramieniu. Było ugięte, więc próbował je wyprostować.

Zamarznęte przedramię ułamało się przy łokciu i wypadło mu z dłoni. Odstonięte ciało, mięśnie i kości tworzyły okropny, przyprawiający o mdłości widok. Mahkoro czuł, jak w gardle zbiera mu się ślina, ale nie żył już na tyle długo, by ją wypluć. Serce zamarzło mu w piersi i w tej samej chwili asshuri zszedł z tego świata.

Piękny sztylet leżał w trawie obok ciała zwiadowcy, na ostrzu nie było najmniejszego śladu po przelanej krwi. W zachodzącym słońcu błyszczał jak czerwono-złoty wąż, zbliżający się do niewidzących już oczu Mahkoro.

Toj ostrożnie dotknął zlepionych krwią włosów. Uważał, żeby nie zdrapać strupa, jaki utworzył mu się na głowie w miejscu ciosu, po którym stracił przytomność. Wolno otworzył oczy i nieroztropnie uniósł brwi. Nawet ten niewielki ruch groził otwarciem głębokiej rany. Jak długo tu leży? Gdzie są asshuri? A przede wszystkim, gdzie on teraz jest? Toj zmusił otępiate zmysły do koncentracji. Leżał na trawie, nad nim rozpościerało się nocne niebo, na skórze czuł chłodne, wilgotne powietrze. Ból głowy rozsadzał mu czaszkę. Odczuwał także niezbyt mocno ból w kolanie.

Assasyn zamknął oczy. Zaczął oddychać równo i głęboko. Był to pierwszy krok w procesie mobilizacji sił. Uczył się tego przez siedem lat w zaszytym głęboko w dżungli klasztorze Xifeng, na bagnistych terenach południowego Khitai. Tam to, w kamiennej świątyni, która była starożytna już wtedy, gdy tonęła Atlantyda, jedenastu mnichów wciąż szeptało modlitwy do dziwnego boga, powstałego z dusz pięciu smoków-braci. Za życia smoki walczyły ze sobą, ale kiedy nadeszła śmierć, odnalazły mądrość i ich dusze połączyły się. Tak zrodził się bóg Xifeng.

Toj odkrył klasztor podczas jednej z wypraw po nektar lotosu, rosnącego na śmiertelnych mokradłach Khitai. Pomarszczeni mnisi chętnie dzielili się wiedzą z tymi, którzy mieli dość cierpliwości, by się uczyć. W ciągu siedmiu lat Toj poznał tylko podstawy pierwszego z pięciu kanonów Xifenga. Pilnemu uczniowi opanowanie każdego następnego kanonu zajmowało dwa razy tyle czasu, ile poświęcił na przyswojenie poprzedniego. Sima-Yan, najmłodszy z mnichów znających wszystkie pięć sztuk, miał ponad dwieście pięćdziesiąt lat. Wymawiane szeptem słowa Sima-Yana powtarzały się jak echo w pamięci zamachowca. Wdech... wydech. Nie czujesz bólu. Wdech... ból oszukuje twój umysł. Wydech... nie ufaj

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

umysłowi, słuchaj duszy. Umysł jest częścią twojego śmiertelnego ciała, jest przywiązany do świata materii. Wdech... dusza jest istotą istnienia, jest ponad umysłem i ponad ciałem.

Wydech... czy dusza widzi ból, słyszy go, czuje jego zapach albo smak? Nie, bo jest niewidzialny, bezgłówny, nie ma zapachu i nie można go skosztować. Czy dusza może dotknąć ból? Nie, bo jest bezkształtny. Wdech... ból nie istnieje.

Toj otworzył oczy. Wstał i przeciągnął się. Nie odczuwał już ran, które nawet najbardziej odpornego na ból wojownika powaliłyby na kolana. Nie zwrócił najmniejszej uwagi na strugę ciepłej krwi spływającą mu za kołnierz. Używając kilku z wielu ziół leczniczych, jakie miał ze sobą, mógł szybko zaleczyć obrażenia. Nie potrzebował nawet nektaru Złotego Lotosu, który wciąż miał przy sobie. Wykonany z pęcherza woreczek wisiał na jego piersi.

Niestety, pierwszy kanon nie przyspieszał kuracji. Rozpraszał jedynie paraliżujące umysł bodźce. Tym samym mógł pomóc ciału niemal każdego człowieka. Aby przyswoić sobie pozostałe kanony, trzeba było wyrzec się uczucia bólu, strachu, nienawiści — i miłości.

Sima–Yan zaprezentował kiedyś mistrzowskie opanowanie trzeciego kanonu: wbił sobie w serce katanę, a kiedy ją wyjmował, rana natychmiast się zagoiła.

Teraz Toj niemal żałował, że opuścił klasztor. Gdyby pozostał tam dłużej i nauczył się trzeciej reguły, mógłby poradzić sobie z żukiem kalb. Ale wtedy nie wolno by mu było zabijać, chyba że w samoobronie, jako że morderstwo naruszało drugi kanon. I zestarzały się w klasztorze, gdyż nie był długowieczny jak mnisi. Śmierć zabrałaby go o wiele wcześniej niż nauczyłyby się piątego kanonu. Jak na ironię, to właśnie ta reguła broniła ciało i umysł przed okrutnym demonom czasy. Najstarszy z mnichów Xifeng żył dziesięć razy dłużej niż zwykły człowiek.

Zamachowiec, stojąc, napinał mięśnie rąk i nóg. Chciał w ten sposób rozruszać ścierpięte kończyny. Nie odczuwając już bólu, sięgnął po worek, w którym były zioła lecznicze. Szybko zorientował się, że splądrowano wszystkie jego kieszenie i torby. Spojrzał ciężkim wzrokiem na rozciągnięte w pobliżu ciała asshuri. Odór unoszący się z martwych ciał wykrzywił mu nos. W błym świetle księżycy dostrzegł Czerwoną Żmiję. Leżała w trawie obok oderwanej ręki.

Toj chwycił przepiękną rękojeść i, wsuwając ostrze do pochwy, podziwiał gładki, czerwony metal, z jakiego zostało wykonane. Więc ci głupcy przyplacili życiem zabawę zaczerpniętą z szyletem. Zauważył, że ciała asshuri już prawie rozmarzły po lodowatym ukąszeniu, które ich uśmierciło. Dzieło było skończone i ślady zaklęcia powoli zanikały. Z ran zabitych zwiadowców sączyła się krew, na ich woskowo bladej skórze błyszcząły kropelki rosy. „Głupcy” szepnęli w ich kierunku i spojrzeli na księżyc. Zaiste byli głupcami, ale ci właśnie głupcy zabrali mu wiele tak cennego czasu. Do tej pory oddział asshuri mógł najechać Varhię i zabić Conana.

Assasyn rozejrzył się za koniem, ale jego krótkie poszukiwania okazały się bezowocne.

Zacisnął zęby, by stłumić narastającą złość. Nie mając wyboru, poprawił ubranie, dociągnął sznurowadła i równym, pewnym krokiem zbiegł na drogę. Podążając wyschniętym korytem rzeki, w szybkim tempie zbliżał się do osady. Toj podobny był do zamoryjskiego pustynnego szakala, miał długie nogi i szczupłą sylwetkę. Pędził do wsi z niewzruszoną determinacją, nie odczuwając najmniejszego zmęczenia.

IX

KRWAWIE GRY

— Na Erlika, kończ już z tym północnym dzikusiem! — krzyknął Rigmus, 1generał wojsk Reyndu, podrywając się na równe nogi. Z emocji poczerwieniał na twarzy. Ze złotego pucharu rozlewał drogie wino na białą jedwabną koszulę i poduszki stojącej w rogu sali sofy. Nie zważając na to — a w miarę jak wino uderzało mu do głowy, wylewał go coraz więcej — generał chwiał się, nie mogąc utrzymać równowagi i spoglądał lubieżnie na zmysłową towarzyszkę barbarzyńcy.

Ochroniarz generała, wielka kupa mięśni o imieniu Valeg, pochylał się nad małym stołkiem. Naprzeciw niego, nos w nos, siedział obłany potem Conan. Z pobielającymi palcami, prężąc bicepsy, mężczyźni usiłovali przycisnąć do stołu rękę przeciwnika.

Po dwóch umyślnie przegranych konkurencjach Conan pokonał tego wieczoru dziewiętnastu kolejnych graczy. Kylanna cały czas kręciła się koło niego. Ku zdziwieniu Cymmerianina, odkąd weszli do sali, księżniczka zachowywała się zupełnie inaczej niż zwykle. Robiła różne kobiece sztuczki, flirtowała z kilkoma ociągającymi się zawodnikami, innych zachęcała pochlebstwami, by usiedli naprzeciwko Conana. W miarę jak zwiększała się ich wygrana, Kylanna uśmiechała się coraz szerzej. A oficerowie, z początku powściągliwi,

coraz cieplej odnosili się do zgrabnej kobiety i nieznanego osiłka.

Właściciel gospody zauważył, że zawody szybko osuszają gardła podekscytowanych oficerów. Wiele razy musiał schodzić do piwnicy, gdzie przechowywał droższe roczniki, a w jego szkatułce przybywało monet.

Kiedy do gospody przybył generał Rigmus ze swym ochroniarzem—kolosem, podniecenie sięgnęło zenitu. Słabość opasłego generała do hazardu wzięła górę nad jego upodobaniem do spożywania dużych ilości wina, a nie żałował złota ani na jedno, ani na drugie. Był tak pewny wygranej Valega, że od razu zaproponował stawkę dziesięciu złotych koron aquilońskich — najcięższych hyboryjskich monet.

Pierwszy pojedynek wygrał Conan. Wynik drugiego, który właśnie się odbywał, nie był pewny, a stawka została podwojona.

Pod oblaną potem skórą, na ręce Conana drżały mięśnie. Jego idiotyczna koszula, której rękawy miał teraz podwinięte powyżej olbrzymich bicepsów, była cała mokra. Warcząc wciągnął usta i zapalczywie patrzył w tępe, małe jak paciorki oczy Valega. Nie zauważył w nich nawet płomyka myśli, nic, tylko spojrzenie pozbawionego mózgu zwierza. Przez cały wieczór gigant nie odezwał się ani słowem, nawet nie odchrząknął. Czy takie bydlę mogła zrodzić kobieta?

Conan zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem w pierwszym spotkaniu nie pokonał Valega przez zaskoczenie. Z całych sił napierał na rękę tego granitowego posągu, ale tym razem nie drgnęła ani o włos. Cymmerianin, nie chcąc dopuścić, by jego ręka ślizgała się po blacie, mocniej przyciskał do stołu łokieć, chociaż wbijała się w niego drzazga. Odczuwał też ból w nadgarstku.

— Niebieskie oczy nie pokonają Valega — z wykrzywionej gęby wydobyły się pierwsze gardłowe dźwięki.

Mimo że zniekształcony, ten osobliwy kosalański akcent wydał się Conanowi dobrze znany. Cymmerianin zmarszczył brwi. Gdzie on go już słyszał? Siłując się nie mógł sobie tego przypomnieć. Nagle na skroniach wystąpiły mu purpurowe żyły, a czoło zalała nowa fala potu, bo obudziło się w nim wspomnienie sprzed lat i domyślił się, skąd się wziął ten mięsisty potwór. W sekretnej świątyni w Zambouli Cymmerianin stoczył walkę z Baal—Pteorem, Kosalańczykiem, który nazywał siebie dusicielem z Yota—pong. W tej barbarzyńskiej i okrutnej krainie, gdzie czczono krwio pijącego boga—demona Yajura, kapłani uczyli młodzież, jak zabić człowieka przez uduszenie. Oprawcy gołymi rękoma wykręcali — nie, wrywali z ramion głowy tysiącom ofiar. Tak wyszkolony osobnik nadawał się na ochroniarza dla generała, który był zbyt gruby i zbyt słaby, by mógł się obronić sam.

Valeg okazał się groźnym rywalem. Wprawdzie Conan pokonał Baal—Pteora, ale Valeg był od tamtego Kosalańczyka wyższy i silniejszy. Cymmerianin wiedział, że nie ma równego sobie przeciwnika, ale przecież nie spał od dwóch dni. Po ucieczce z więzienia asshuri odbył męczącą podróż, a tego wieczoru już zbyt długo uczestniczył w zawodach.

Szeroką twarz Valega przeciął uśmiech i olbrzym uderzył ręką Conana o stół. Zrobił to z taką siłą, że omal nie roztrzaskał Cymmerianinowi nadgarstka. Od uderzenia pękła deska w blacie.

Pokonany Conan poczuł, jak w piersi buchają mu płomienie gniewu. Na Croma, kiedyś już dołożył kosalańskiemu dusicielowi i może zrobić to jeszcze raz! Lata, jakie od tamtych czasów upłynęły, nie uszczupliły jego sił. Wściekłość na nowo dostarczyła energii jego wyczerpanym mięśniom. Spojrzał na siedzącego po drugiej stronie stołu Valega i uśmiechając się powiedział:

— Lewą rękę zawsze miałem słabszą. Zmierzymy się jeszcze raz, na prawe ręce, a skosztujesz smaku porażki!

Kylanna posłała Conanowi przebiegły uśmiech i wzdychając z niezadowoleniem, prawie opróżniła ich sakiewkę. Monety powędrowały do wyciągniętej dłoni generała. Porażka Conana kosztowała ich niemal wszystko, co do tej pory wygrali. Dziewczyna podeszła do swego towarzysza i pochyliła się nad jego uchem.

— Dobre zagranie, Conan! — szepnęła. — Widzę, że nauczyłeś się grać. Teraz znowu podwoimy stawkę — czterdzieści złotych koron. Wystarczy, żebyśmy resztę podróży do Arenjun odbyli w godziwych warunkach.

Conan wolno pokiwał głową. Tym razem zamierzał za wszelką cenę pokonać Kosalańczyka. Nie mieli już pieniędzy, żeby wchodzić w taki zakład, ale nie troszczył się o to. Teraz myślał tylko o jednym — chciał sprawić Yalegowi sążniste lanie.

Kylanna odwróciła się twarzą do generała i wolno zwilżyła językiem usta.

— Co pan powie, generale Rigmus, na podwojenie stawki?

Generał zajęty był wciskaniem monet do wiszącej u pasa pełnej już sakiewki. Z ust ciekła

mu ślina.

— Rewanż! — zawołał. Zatarł ręce i popatrzył lubieżnie na odsłonięte przez głęboki dekolt wdzięki Kylanny. — Czterdzieści koron to błahostka jak na takie zawody. Czemu nie sto?

Gdy generał wymienił tę niebotyczną sumę, w sali rozległy się odgłosy zdumienia. Później zapadła cisza. Widzowie czekali na odpowiedź kobiety. Tylko Conan i Valeg zdawali się niezainteresowani. Obaj, rozwścieczeni, przyglądali się sobie nawzajem. Valeg głośno strzelał kostkami palców i napinał bicepsy, bo i on chciał zmierzyć się jeszcze raz.

— Zgoda — odpowiedziała Kylanna.

Małe oczy generała rozbłysły. Wyjął zza pasa sakiewkę i rzucił ją na stół.

— Teraz ty pokaż mi swoje pieniądze — zażądał.

Kylanna na chwilę przygryzła dolną wargę.

— Myślisz, generale, że złamię dane ci słowo i nie dotrzymam warunków umowy? — spytała udając oburzenie.

— Pokaż mi swoje złoto — nalegał.

— Nie mamy wszystkiego przy sobie — wyjaśniła. — Większość jest ukryta niedaleko stąd, jakieś pół dnia jazdy.

— Ha! Więc przyznajesz, że chciałaś nadużyć mojego zaufania. — Generał dumnie zbliżył się do niej.

Conan był już gotów skoczyć jej na pomoc. Położył rękę na rękojeści miecza. W powietrzu zawisła pełna napięcia cisza.

Zanim Kylanna zdążyła zaprotestować, znów odezwał się Rigmus.

— W takim razie, podam swoje warunki zakładu. Jeśli wygra mój chwyt, to tej nocy będziesz miała przyjemność dzielić ze mną łożo. — Cmoknął i zachichotał lubieżnie. — Oczywiście, jeśli zwycięży twój opryszek, złoto należy do was.

Conan warknął, ale Kylanna położyła swoją drobną dłoń na jego potężnym ramieniu i przemówiła, zanim barbarzyńca zdążył otworzyć usta.

— Załatwione. — Jej buntowniczy wzrok spotkał się ze świńskimi, zapitymi oczkami generała.

Generał, zataczając się, podszedł bliżej, przycisnął jej gibkie ciało do swojego wielkiego tułowia i długo całował w usta.

— To przedsmak tego, co cię czeka — rzucił obelżywie, tłumiąc czkawkę. — Tej nocy będziesz moja! Nikt nie jest silniejszy od Valega!

Kylanna oswobodziła się z jego objęcia i otwartą dłonią uderzyła go w twarz.

— Żaden mężczyzna nie będzie mnie dotykał, jeśli mu na to nie pozwolę!

Conan zacisnął pięści.

Rigmus odsunął się i pocierał tłusty policzek w miejscu, gdzie pojawił się czerwony ślad dłoni.

— Ty podła dziwko! Kiedy Valeg wygra, przywiążę cię do mojego łóżka. Gorzko tego pożałujesz!

W tym momencie interweniował Yarł. Trzęsącą się ręką długo nalewał ghazyjskie wino do pucharu generała. Był to najlepszy rocznik, jaki posiadał. Rigmus patrzył wilkiem, ale chyba był zadowolony, że sprawa tak się zakończyła. Chwila zapierającego dech w piersiach napięcia minęła.

Podeksycytowani oficerowie zwierali między sobą pomniejszych zakładów. Nawet zdenerwowany właściciel wziął w nich udział. Więcej pieniędzy postawiono na Kosalańczyka.

Kiedy Conan i Valeg znów pochylił się nad stołem i wyciągnęli przed siebie prawe ręce, gwar ucichł. Yarł kłaśnięciem dał znak do rozpoczęcia pojedynku.

Wzdłuż opalonego na brąz ramienia Conana wystąpiły węzły mięśni, a wściekły wyraz twarzy sprawiał, że bardziej przypominał bestię niż człowieka.

Twarz Valega pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. Warknął ściskając palce, z których najmniejszy był grubszy od kciuka Cymmerianina. Jego dłoń z siłą miażdżącą kości zacisnęła się na ręce Conana, biceps i przedramię nacierały z niewiarygodną mocą.

Stawy palców Conana strzelały głośno i ugiął mu się nadgarstek, ale oparł się brutalnemu atakowi. Zmagając się z mocarnym Kosalańczykiem ciężko oddychał, sycząc przez zaciśnięte zęby. W zwycięstwie mogła mu dopomóc wytrzymałość. Valeg był bardzo silny, ale Conan pomyślał, że olbrzym może opaść z sił szybciej niż on. Tak się stało z Baal–Pteorem. Nagle ataki Cymmerianina załamywałyby się niczym fale na kamiennym ramieniu Valega. Ale gdyby tylko mógł przetrzymać Kosalańczyka...

— Valeg! Valeg! — słychać było okrzyki dopingujące zawodnika generała. Wiele oczu

patrzyło z oczekiwaniem. Ramię Conana zaczęło ustępować. Posypały się na niego obelgi i szyderstwa.

Valeg warczał. Stół trzeszczał pod naporem siłujących się mężczyzn. Olbrzym przycisnął mocniej i ręka Conana zatrzymała się o grubość palca nad blatem.

Z gardła Conana wydobywało się niskie, przerażające wycie. Na ramionach i nogach zbierały się krople potu i spadały z drżących z wysiłku kończyn. Jednak na twarzy barbarzyńcy nie było widać ani strachu, ani pogodzenia się z klęską.

Wycie Cymmerianina zmieniło się w ryk dzikiego lwa. Jego nadgarstek zaczął się podnosić i napierał na rękę Kosalańczyka najpierw do góry, a potem w dół, póki nie dotknęła porysowanego blatu. Pod uderzeniem przedramienia Valega stół rozpadł się na drobne kawałki. Spadła z niego sakwa ze złotymi monetami, które z brzękiem rozsypały się po podłodze, ale nikt się nie pochylił, by je pozbiierać. Salę wypełnił pomruk konsternacji.

Ubrany w tunikę ze złotymi naszywkami Rigmus zaklął i cisnął o ścianę puchar z winem. Następnie grubą ręką uderzył Valega w twarz.

— Ty sukinsynu! — wrzeszczał. Z kącików ust spływały mu strugi czerwonej śliny. — Czy twoje mięśnie stały się tak samo słabe jak rozum? Nie nadajesz się do ochrony mojej osoby — nie dostąpisz już zaszczytu służby przy mnie. — Chwyć następny puchar i też rzucił nim w ścianę. Właściciel gospody zatrząsał się, kiedy kielich uderzył o deski i podbiegł, by ocalić przed rozbiciem następny.

Ogłupiały Valeg stał z opuszczonymi ramionami. Nie protestował ani jednym słowem. Rigmus pijanym wzrokiem zmierzył kuszące ciało Kylanny.

— Złoto jest twoje — warknął. — Ale za tę cenę i tak cię dziwko dostanę.

— Nie dostaniesz nic prócz noża w brzuch, jeśli tylko jeszcze raz ją dotkniesz — ryknął Conan i zerwał się z krzesła.

— Co? A kim ty jesteś, ty najemna gnido, że śmiesz grozić generałowi wojsk Reydnru? Twój niewyparzony jęzor już ci wykopał głęboki grób! — Chociaż był pijany, szybko chwycił Kylannę za ramię i przyciągnął ją do siebie.

Dziewczyna wyrwała się Rigmusowi.

— Conan, nie! — krzyknęła. — Nie...

Przekleństwa Conana zagłuszyły jej wołanie. Pięść Cymmerianina wylądowała na uchu generała. Rozległ się głuchy trzask. Uderzona głowa odchyliła się na bok, a ciało odskoczyło do tyłu. Z nosa pociekła krew. Oczy wyrzuciły się ukazując same białka. Wstrząsane konwulsjami ciało opadło na podłogę. Z ust generała zaczęła wydobywać się krwawa piana. Po chwili już się nie ruszał.

W sali zapadła cisza. Blask lamp odbijał się na twarzach zaszokowanych oficerów Reydnru.

— Nie żyje — obwieścił sierżant o jastrzębiej twarzy. — Ten wściekły pies zabił generała z powodu dziwki...

— Kundel! — dobywając miecza, zawołał tysy, barczysty kapitan.

— Świnia! Barbarzyńca! — huknęło dwóch smagłych poruczników, chwytając za broń.

Rzucili się ku Conanowi.

Conan stanął przed Kylanną, uniósł nad głowę stół i cisnął nim w nadbiegających oficerów. Obydwaj polecili na swych towarzyszy. Okrzyki gniewu mieszały się z przytłumionym trzaskiem łamanych kości.

Porucznicy już się nie podnieśli.

— Ishtar! — ryknął tysy kapitan i skoczył naprzód. Jego miecz przeciął tylko powietrze.

Conan przewidział atak i odchylił się w bok, dobywając w tym samym czasie własnego miecza. Teraz kontratakował. Wyprowadził uderzenie łukiem od dołu i przeciął w połowie ud. Kapitan wyjąc z bólu, upadł na podłogę. Miecz wysunął mu się z bezwładnych palców.

Nagły bieg wypadków na chwilę sparaliżował pozostałych oficerów. Szybko jednak doszli do siebie. Chwycili za broń i moment później Conan wraz ze swą towarzyszką byli otoczeni.

Cymmerianin patrzył wilkiem i przerzucał z ręki do ręki okapujący krwią miecz. W jego oczach płonął złowrogi ogień i nikt z żołnierzy nie mógł znieść jego straszego wzroku. Ale Conan wiedział, że nawet on nie pokona tylu przeciwników. Nie miał szans ocalić siebie i dziewczyny. Ci shemiccy oficerowie mogli być tchórzami, ale mieli doświadczenie i potrafili wykorzystać swoją przewagę liczebną. Barbarzyńca zaśmiał się gardłowym głosem. Nie będzie się kulił jak wystraszony kundel przed otwartą paszczą śmierci.

— Kto następny do zabicia? — huknął.

Patrzyło na niego wielu rozwścieczonych, spragnionych krwi oficerów, ostrza mieczy błyszcząły w świetle stojących na stołach świec. Ale nikt nie odważył się zaatakować, na wszystkich twarzach malował się strach... oprócz Valega. Okrutne rysy Kosalańczyka nie wyrażały nic prócz zwierzęcej nienawiści. Zdjął ze ściany dekoracyjną, ale nadającą się do

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

walki maczugę, i niczym rozwścieczony byk ruszył na Conana. Wywijając jej wielkim jak głowa człowieka, nabitym kolcami kulistym końcem, zamierzył się na czaszkę przeciwnika. Cymmerianin zablokował cios płazem głowni miecza, który się ugiął i pękł. Odłamany kawałek stali spadł na Conana i ściął z głowy kawałek skóry. Maczuga zadrapała mu ramię, jej kolce pozostawiły po sobie czerwone ślady.

— Na zęby Crom! — warknął Conan, wbijając w bok Valega długi na dłoń kawałek stali — tyle, ile pozostało z jego miecza.

Kosalańczyk, niewrażliwy na ranę, uniósł maczugę, by zadać śmiertelny cios.

Conan podskoczył do przodu i zaatakował Valega rękoma. Dzięki zbliżeniu do przeciwnika uniknął zabójczego uderzenia kolców.

Kiedy rozpędzone ciało Conana zderzyło się z Valegiem, olbrzym zachwiał się, ale nie przewrócił. Wtedy kolano Cymmerianiną wbiło się w krocze Kosalańczyka, który przeraźliwie ryknął z bólu. Stracił równowagę i poleciał na Conana. Razem upadli na podłogę, gdzie zaczęli okładać się pięściami.

— Wykończyć go! — niemal jednocześnie wrzasnęli niski kapitan i krępy sierżant. Pół tuzina mężczyzn skoczyło do walki. Żołnierze bez opamiętania, na oślep zadawali pchnięcia i cięcia wymierzone w walczących na podłodze siłaczy.

Sierżant o twarzy jastrzębia zaatakował pierwszy. Koniec jego miecza prześliznął się po boku Conana i ugrzązł między żebrami Valega. Sierżant, przeklinając własną niezdarność, wyrwał ostrze z Kosalańczyka, który mimo kolejnej rany nie przestawał walczyć.

Cymmerianin wbił łokieć w ranę Valega. Trzasnęły żebra. Ostre końce połamanych kości przebiły serce olbrzyma. Kosalańczyk wydał ostatnie tchnienie, a Conan przetoczył się na bok i przykrył się jego wielkim ciałem, robiąc sobie z niego tarczę chroniącą przed gradem uderzeń oficerów. Po omacku próbował znaleźć porzucony miecz, ale jego palce zacisnęły się na maczudze Valega.

Oficerowie nie zwracali uwagi na Kylanę, która powoli cofała się do ściany. Przez cały czas jej zwrócony ostrzem do góry miecz był gotowy do użycia. Nogi trzymała w lekkim rozkroku, jak wytrawny fechtmistrz. Nagle i ona rzuciła się w wir walki. Cienkie ostrze jej miecza błyskało niczym język stalowego węża. Trysnęła fontanna krwi, gdy spadła z karku głowa jednego z oficerów, innemu z rozprutego brzucha wypadały wnętrzności. Dotarła jeszcze dwóch, którzy teraz trzymali się za okrwawione ramiona. Ich miecze leżały na podłodze.

W oczach oficerów mieszał się strach i zdziwienie. W przerażeniu ustępowali dziewczynie pola bitwy. Szybko się jednak opanowali i powrócili do walki. Z wolna, krok po kroku odpierali Kylanę od ściany. Jej miecz wirował w oślepiającym tańcu stali — nikt nie odważył się zaatakować. Ale teraz i ona nie mogła już nikogo zranić, a zdecydowanie większe szansę na zwycięstwo mieli nacierający oficerowie. Po jej twarzy spływał pot. Od potu błyszcząły też jej piersi, kołyszące się pod mokrą, przyklejoną do ciała tuniką. Conan zniknął pośród nawałnicy młócających mieczy i błysków ostrzy. Przekleństwa, jęki, brzęk metalu i odgłos zanurzających się w ciele kling przebijały się przez zgietk rzezi. Shemici, jeden po drugim, padali ze zmiażdżoną czaszką, rozdartym gardłem albo zgniecionym tułowiem. Niektórzy odnosili mniej poważne obrażenia. Ci przewracali się i odczołgivali na bok. Walczyć już nie mogli lub nie chcieli. Inni oficerowie, zaślepieni wściekłością, w zamieszaniu ranili swych towarzyszy. Liczebność atakujących działała na ich niekorzyść.

Z wysokiej po pas kupy posiekanych, krwawiących ciał wyłonił się równie zboczony Conan. W ręce trzymał odebrany wrogowi w szale bitwy, ociekający krwią sztylet. Umazany krwią od stóp do głów, nie przypominał człowieka. Wyglądał jak dzika bestia, z jego gardła dobywał się tylko warkot. Widząc jak przez czerwoną mgłę, rozglądał się, gdzie jeszcze pozostał żywy wróg.

Jego oczy zwięziły się, kiedy zobaczył Kylanę, która dzielnie stawiała opór czterem przeciwnikom. Przeskoczył przez stos ciał i znalazł się na stole. Jednemu z mężczyzn poderznął gardło sztyletem, drugiemu potężnym bocznym kopnięciem złamał kręgosłup. Kylanę szybko przebiła mieczem trzeciego. Ostatni Shemita zginął moment później. Gdy odwrócił się twarzą do Conana, dostał w pierś rzuconym sztyletem, a Kylanę przejechała mieczem z góry na dół jego brzuch.

— Na Bela, Badba i Dagona — wystękał zziębnięty Conan. Ledwo żywy z wyczerpania pochylił się do przodu i oparł dłonie na kolanach. — Niewiele kobiet — i mężczyzn — potrafi władać mieczem tak doskonale jak ty, dziewczyno! Nawet Valeria, Belit czy Karela miałyby w tobie godną rywalkę. Na Dziewięć Piekieł Zandru, gdzieś ty się tego nauczyła? Nie mów mi tylko, że dawali ci lekcje najlepsi żołnierze Tiridatesa. Żaden brzuchaty strażnik

pałacowy nie potrafi nawet dobrze trzymać miecza. — Nie ukrywając podejrzliwości, przyglądał się jej twarzy.

Kylanna stała oparta o ścianę i ciężko oddychała. Położyła swój miecz na stole i masowała ramię w którym trzymała broń.

— Conan — zaczęła wolno — wykorzystywałam cię. Ta bitwa mnie zdemaskowała. Gdyby nie ty, byłabym już u bram Gehanny.

— No tak, dwa razy uratowałam ci życie — szorstko przyznał Conan.

— Nie, Cymmerianinie, tylko raz. Dziś. Powinieneś wiedzieć, że kiedy spotkaliśmy się w obozie asshuri, nie byłam w niebezpieczeństwie.

— Na Croma, dziewczyno, ty chyba oszalałaś. Przecież kat...

— Kat był moim człowiekiem — przerwała. — Miał udawać okrutnika. Nie wiedziałam, że go zabijesz, chociaż to nieważne. Był dziesięciokrotnym mordercą, któremu zbyt wiele razy udało się uniknąć szybkiej podróży do piekła. Jeśli chodzi o mojego „kapitana Tousalosa”, to był to jeden z moich asshuri, którego zabiłeś dzień wcześniej. Nie był torturowany; jęki, które słyszałeś, udawał inny wojownik.

— Po co to wszystko? Nie, nie mów mi, póki nie dowiem się, kim naprawdę jesteś. Jeśli ty jesteś księżniczką Zamory, to ja jestem naczelnym wodzem wojsk całego Pustkowia Piktów.

— Jego oczy błysnęły gniewem. — A diadem...

— Nie istnieje — odpowiedziała wzruszając ramionami. — Wymyśliłam to, żeby cię zwabić.

Conan uderzył pięścią w stół.

— Kiedy się narodziłam, otrzymałam imię Sivitria — ciągnęła dalej. — Naprawdę jestem córką Tiridatesa, choć on o tym nie wie. Zanim ten stary, zapity zboczeniec odkrył, że woli młodych chłopców, moja matka była pierwszą żoną króla w Shadizar. Dorastałam w tamtejszym pałacu, ale mama nie troszczyła się o mnie. Spędzała całe dni w palarniach opium, a noce w łóżku, z kim popadło. Była słaba na ciele i na umyśle. Obiecałam sobie, że ja będę silna, że będę panować nad swą duszą i ciałem. Kiedy potrafiłam już pokonać kapitana straży pałacowej w naszych symulowanych pojedynkach, Jade — przerwała, żeby odchrząknąć — która została moją mentorką, zainteresowała się mną. Wskazała mi cel w życiu i w ogóle dała więcej, niż mogłabym mieć, gdybym była uznaną przez Tiridatesa księżniczką.

— Jade? — drwiąco spytał Conan. — Przecież ona jest mitem. Sam kradłem wszędzie, od nemedyjskich posiadłości w BeWerus po vendhiańskie wieże w Ayodchya i wszyscy tam wiedzą, że ona jest tylko mitem.

— Tak, jest mitem — z własnej woli — odrzekła Sivitria. — Po co złodziejowi sława?

Przynosi tylko niepotrzebną uwagę i prowadzi do upadku.

Conan skrzywił się, ale nic nie odpowiedział. Dobrze wiedział, że dziewczyna miała rację.

Najlepszy złodziej pozostaje nieznanym, a jego łupy są dobrze ukryte.

— Nie mówmy o niej — ostrzegła Sivitria. — Ci, którzy zbyt często wymawiają jej imię, znikają bez wieści. W każdym razie powinieneś wiedzieć, że jej imperium jest potężniejsze niż jakiegokolwiek królestwo. Wielu monarchów podryguje jak lalki na pociąganych przez nią sznurkach. Sieć jej wpływów rozciąga się od hyboryjskich królestw na zachodzie po Kambuję na południowo-wschodnim końcu świata.

— Wiem coś o Kambui — mruknął Conan.

— Oprócz Khitai, Stygii i czarnych królestw, założyła cechy w każdej krainie, a przynajmniej w miastach, które zasługują, by nazywać się miastami.

— Cechy — złodziei? — Conan podrapał się po brodzie.

— Złodziei, kupców, mędrców... A w Belverus i Zambouli ma też cechy Assasynów. W sumie jakichś trzystu mistrzów cechów... nie, będzie chyba więcej, składa jej daniny w takiej bądź innej formie.

— Jednej kobiecie? — Conan ze zdziwienia uniósł brwi.

Jego powątpiewający ton rozpałił ogień wściekłości w oczach Sivitrii.

— Gdyby chodziło o mężczyznę, to pewnie nie miałbyś wątpliwości. Kim są mężczyźni, jeśli nie obrośniętymi mięśniami pajacami, które swój rozum noszą w portkach? Jakże łatwo było mi wykorzystać ciebie, barbarzyńco. Kilka powłóczystych spojrzeń na twoje mięśnie, umiejętnie wyekspozowanie kształtów, żebyś mógł na nie patrzeć pełnym pożądania wzrokiem, i twoje oczy — tak ostre na polowaniu i w bitwie — zaszyły mgłą.

— Gdybyś była mężczyzną, rozbiłbym ci łeb. — Conan ze złości zazgrzytał zębami. Ale w tym co mówiła, było sporo prawdy... był głupcem, dając się nabrać tej kłamliwej dziewczce. Ale w co ona grała? Mógł zaryzykować kilka hipotez, jednak prawda leżała zbyt głęboko pod wodą, by mógł ją zgłębić.

Rozległ się ostry śmiech Sivitrii.

— Tak szczeka pies na tygrysięcę, zanim ona rozerwie mu gardło. Oszczędź swojego miecza i języka, Cymmerianinie. Ze swej strony przysięgam na Bela, Zatha i Derketo, że cię nie zabiję. Znam cię dość dobrze i wiem, że zniszczyłbyś mnie, gdybym tylko spróbowała ataku.

Conan był wściekły, ale nic nie odpowiedział.

— Nie marnujemy czasu. Tylko głupcy walczą w płonącym domu, a my właśnie podpaliśmy tę gospodę. — Wskazała stos ciał na podłodze. — Kiedy inni dowiedzą się, cośmy zrobili, cała armia będzie nas ścigać aż do Turami. Uciekajmy. Obiecuję, że wszystko ci wyjaśnię, tylko nie tutaj!

Conan warknął i zaczął przekopywać się przez stosy ciał, pozbawiając je sakiewek. Zebrał splamione krwią złote monety, o które siłował się z Yalegiem i włożył wszystko do pojemnego worka.

Ze sztywnych palców bezgłowego sierżanta wyjął długi, po mistrzowsku podrobiony koryncki miecz. Cały czas miał Sivitrię na oku.

— Rozumiem. — Pokręciła głową. — Pozbędziesz się mnie? Zabijesz mnie, żebym nie mogła za tobą jechać? Przeznaczenie jest kochanką, która sama wybiera sobie partnerów, Conanie, i tym razem złączyło nas.

— Nie zrobię ci krzywdy, ale tej nocy nasze drogi się rozejdą. Nic nie jestem ci dłużny. — Ze zwłok oficera zdjął szeroki pas i przyglądał mu się uważnie. — Zostawię cię związaną... Zapiszczały drzwi. Obydwoje obrócili głowy na czas, żeby zauważyć szybko uciekającego właściciela gospody.

— Na kości Croma! — zaklął rozdrażniony Conan. — Ten pies musiał skryć się w piwnicy i wymknąć, kiedy ty odwróciłaś moją uwagę. Nie pozostawię cię na pastwę mściwych żołnierzy. Chociaż to ty sprowadziłaś na nas tę bitwę, to jednak przyłożyłaś też rękę do jej pomyślnego zakończenia.

— Próbowałam cię powstrzymać przed zabiciem tego chamskiego generała — zaprotestowała Sivitria.

Conan w odpowiedzi tylko warknął i ruszył do drzwi.

— Kiedy karczmarz sprowadzi posiłki, ja będę daleko stąd. Jeśli pozostaniesz w tej rzeźni, zginiesz, i to nie z mojej winy. Chodź za mną, jeśli musisz... I jeśli możesz. — Wziął rozbieg i z rozpędem otworzył drzwi.

— Co? — zaczął, zanim zaskoczenie uwięziło mu słowa w gardle. Zatrzymał się tak nagle, że o mało nie upadł. Jego szeroko otwartym oczom ukazał się niespodziewany widok.

Gospoda „Grono i Oset” stała na szczycie niewielkiego wzgórza i dobrze było z niej widać południową część miasta. A tam płonęły pożary, a kłęby dymu wznosiły się ku nocnemu niebu. W blasku ognia zobaczył na peryferiach osady jeźdźców — asshuri. Walczyli z tłumem najwyraźniej zaskoczonych wojowników Reydnru, którzy niczym dojrzale zboże kładli się pod mieczami najeźdźców. Bitwa wyglądała raczej jak masakra. Conan od razu zorientował się, że Varhia upadnie.

W kierunku gospody pędziło ulicą kilku mężczyzn. Ścigali ich jeźdźcy asshuri. Uciekający wskazywali na Conana i coś krzyczeli. Słyszał ich głosy, ale byli zbyt daleko, by mógł zrozumieć słowa. Nie rozumiał ich nawet, gdy już się zbliżyli, bo zgiełk bitwy zakłócił nienaturalną ciszę, panującą na ulicy.

— Nadjeżdżają jeźdźcy Balvadeka! — krzyknął przez ramię Conan. Rzucił się ku stajni, mając nadzieję, że uda mu się odjechać, zanim asshuri wtargną do północnej części osady. Potężnym kopnięciem otworzył ciężkie drewniane drzwi. Uderzył z taką siłą, że omal przez nie przeleciał. Aren dotrzymał słowa i zajął się końmi. Gdy Conan w pośpiechu zakładał siodło na swego wierzchowca, w połamanych drzwiach pojawiła się Sivitria.

— Sześciu asshuri jedzie w naszym kierunku — powiedziała zdyszana. — Zabili już ludzi, którzy biegli przed nimi.

— Zbyt wielu dla jednego z nas — burknął Conan. — Chyba nasze drogi jeszcze się nie rozejdą.

— Jeszcze nie — przytaknęła Sivitria. Rzuciła na swego konia koc, chwyciła siodło i byle jak nałożyła je na grzbiet rumaka.

Trzymając miecze w pogotowiu, wjechali klusem w alejkę. Blask odległej pożogi oświetlał wąską dróżkę, którą z naprzeciwka nadjeżdżali asshuri.

— Może już nigdy się nie rozstaniemy, Cymmerianinie. — Sivitria powiedziała to tonem tak spokojnym, jakby nie przejmowała się ich wyjątkowo trudnym położeniem. — Może już zawsze razem będziemy się smażyć w jakimś piekle. — Zaśmiała się nerwowo. — Kiedyś mówiłeś, że wolałbyś stawić czoło armii asshuri niż znosić moje docinki. Bogowie spełnili

twoje życzenie. .

Conana policzył przybliżających się jeźdźców i na jego twarzy odmalował się niepokój. Było ich ze dwudziestu. Z alejki można było uciec tylko przebijając się przez kolejne szeregi wojowników. Zmęczenie ciążyło mu na barkach jak worek kamieni. W każdym mięśniu od głowy do małego palca u nogi odczuwał ból. Lecz był Cymmerianinem: miał ręce twarde jak stal, a w jego żyłach płonął ogień. Chciał podzielić koszty przeprawy przez rzekę zmarłych z przynajmniej jednym Shemita.

— Na Crom! — zawołał zachrypniętym głosem. Zdawało się, że nawet okrzyk bojowy przychodzi mu z trudem. — Crom i stal! — Płazem miecza uderzył po zadzie swego rumaka i popędził znużony, ale nie przygnębiony, w szczęki śmierci.

Sivitria wzięła głęboki oddech, machnęła nad głową mieczem i ruszyła jego śladem.

Cymmerianin stał się z jadącym na przedzie Shemita. Spod skrzyżowanych kling posypały się iskry. Conan zadał cios z góry na dół. Pod jego potężnym uderzeniem broń asshuri cofnęła się i ostrze barbarzyńcy przeszło przez cienki skórzany kaftan. Przecięty wojownik osunął się z siodła. Conan wyrwał swój miecz z ciała wroga, ale nie zdążył już go unieść, by zasłonić się przed ciosem wymierzonym w jego kark. Odchylił się i dostał w bok głowy płaską stroną głowni.

Uderzenie było tak silne, że Cymmerianin spadł z siodła. Huczało mu w głowie tak, jakby wszystkie diabły wrzeszczały mu do uszu. Zmrużył oczy i dostrzegł, że dwóch asshuri zsiada z koni i biegnie w jego kierunku. Jeden z nich — miał na głowie złoty hełm, co oznaczało, że był kapitanem — uderzył mieczem na płask drugiego, tego który powalił Conana z siodła.

Kapitan podniósł do góry rękę i coś krzyczał, ale Conan nie mógł zrozumieć słów. Kształty i dźwięki stały się niewyraźne jak we mgle. Miecz wysunął mu się z ręki.

Przekreślił się na bok i zobaczył Kylanę — Sivitrię... jakkolwiek jej było. Ściągnięta z siodła i rozbrojona rzucała się na boki, próbując kopać trzymających ją wojowników. Wtedy na jego brodzie wylądował but kapitana. Conan po omacku odnalazł miecz i ostatkiem sił chwycił za rękojeść, ale jego powieki były ciężkie jak z ołowiu. Pochłonęło go czarne morze bólu i stracił przytomność.

X

SEKRETY PUSTYNI

Tevek Thul mknął poprzez pustynne wydmy w południowym Shemie. Sunął bezgłośnie i nie pozostawiał po sobie śladów, gdyż jego stopy nie dotykały ziemi. Gdyby ręki nie osłaniał mu czarny płaszcz, z Czarnego Pierścienia Thoth–Amona, który teraz znajdował się na jego palcu, promieniowałoby przyćmione światło aureoli. Poruszał się w ten sposób od chwili opuszczenia Stygii, a wystarczała do tego zaledwie dziesiąta część mocy miedzianego węża. Za dnia chował się w płaszczu, chroniąc w ten sposób oczy przed jasnymi promieniami palącego słońca. Nocą szybował nad pustynnymi bezdrożami, rozciągającymi się między rzeką Styks a Mosiężnym Miastem, celem jego podróży. Po drodze nie napotykał wiele żywych istot. Powietrze wysysało z ziemi wszelkie formy życia, nie pozostawiając nic prócz ciężkiego, rozpalającego płuca upału.

Tevekowi nie przeszkadzał brak życia, doskwierał mu natomiast jego skutek: nieobecność śmierci. Przemierzał milę po mili, nie wyczuwając nawet płytkiej mogiły pustynnego wilka. Zmniejszył nieco tempo podróży, by jego duchowy wzrok mógł sięgać głębiej. Na próżno. To wyschnięte pustkowia niepokoiło go. Brakowało mu budującej bliskości choćby małego grobowca.

Wprawdzie Czarny Pierścień dawał mu magiczną moc, ale go nie karmił. Tevek nic nie jadł od czasu przeprawy przez Styks, kiedy to porzucił swój ożywiony orszak i czarną karetę. Nie odważył się wywołać z pierścienia mocy potrzebnej do przeniesienia nad rzeką całego pochodu.

Przez jakiś czas mógł jeszcze wędrować bez pożywienia, ale znał granice wytrzymałości swego fizycznego ciała i wiedział, że poszukiwania w Mosiężnym Mieście mogą obciążyć jego umysł i ciało ponad siły.

Nekromanta zatrzymał się i wolno postawił nogi na piasku. Z szat wydobyl płaski woreczek — wykonany z wyprawionej skóry dziewczicy, podobnie jak sakiewka, w której trzymał sproszkowaną czaszkę Harraba — i na ułożoną w łyżkę rękę wysypał resztki tego, co w nim przechowywał. Na bladej, pomarszczonej dłoni leżała tylko szczypta prochu z kości. W opuszkę kciuka wbił ostry jak szpon paznokiec i z rany wypłynęła kropla krwi. Wymieszał krew z prochem, intonując w tym czasie szeleszczące słowa dialektu używanego w nieistniejącej od wieków Thurii. — Makaan–mati, coba, siya–lihat, lahal–mati!

Tchnięta nienaturalnym życiem czerwono-szara pasta na jego dłoni zaczęła się poruszać i powstał z niej stwór podobny do robaka. Tevek położył go na ziemi i zwierzę popęzło, zostawiając za sobą niewielki, długi na palec ślad w wydmie, po czym zatrzymało się i zwinęło w ciasną spiralę.

Tevek przyjrzał się płytkiej bruździe. Według jego rozeznania miał dotrzeć do wskazanego miejsca za dwie, może trzy klepsydry. Nosił się z zamiarem zboczenia z najkrótszej drogi, choć z drugiej strony nie chciał przedłużyć wyprawy. W Khajar, w gnieździe Thoth-Amona, płonęła po trzykroć przeklęta jego Świeca Życia, która z każdą chwilą była krótsza. Tevek przez chwilę zastanawiał się, po czym zdecydował, że będzie podążał trasą wskazaną przez robaka. Kciukiem i palcem wskazującym wydobyl z piasku krwawą poczwarę i wrzucił ją sobie do ust. Przeżuwał wolno, delektując się smakiem krwi i kości. Zaostrzyło to tylko jego apetyt.

Chwilę później nogi Teveka uniosły się nad piaskiem. Popędził w kierunku wyznaczonym przez linię, jaką pozostawił robak. Czarny Pierścień będzie utrzymywał właściwy kurs. O świcie Tevek zbliżył się do jakiejś osady. O jej bliskości świadczyły ślady pozostawione przez karawany na z rzadka uczęszczanym szlaku. Osada leżała dokładnie na przedłużeniu kreski wyrytej przez wyczarowanego robaka. Nekromanta zawdzięczał to małemu, użytecznemu zaklęciu, choć rzadko miał okazję z niego korzystać. Biblioteka mieszcząca się pod Amentet zawierała jeszcze wiele podobnych perełek czarnej magii.

Opuścił nogi na ziemię. Miał zamiar udawać zmęczonego podróżą uczzonego, pragnącego zatrzymać się i wypocząć w drodze do Shushan. W wielu opisach podróży, jakie czytał, ich autorzy utrzymywali, że plemiona zamieszkujące pustynne obszary Shemu są okrutne i wojownicze. Kiedy doszedł do podnóża łagodnie wznoszącego się wzgórza, przekonał się na własne oczy, że tak jest istotnie.

W miarę jak droga zbliżała się do szczytu, stawała się coraz węższa, aż wreszcie kończyła się wykutą w skale bramą. Osada była otoczona kamienną ścianą, wzniesioną przez naturę. Po tym właśnie murze obronnym przechadzało się czternastu mężczyzn. Okrywające ich głowy chusty i tego samego, rudawego koloru ubrania zlewały się z ciemną czerwienią skał. Połowa z patrolujących stoki wartowników trzymała w ręku łuki.

Głupcy, mają takie zaufanie do tej żalosnej broni, pomyślał z pogardą Tevek. Mógł ich zniszczyć bez większego wysiłku, wołał jednak zachować energię na później. Przybliżając się powoli do szczeliny w skale, spojrzął na poranne niebo. Cienkie chmury zasłaniały znienawidzone słońce. Taki stan rzeczy bardzo go ucieszył. Przy zachmurzonym niebie, jak tylko się pożywi, będzie mógł bez trudu kontynuować podróż.

Łucznicy patrzyli, jak wspina się pod górę. Kilku z nich wyjęło strzały i trzymało je w pogotowiu. Kiedy podszedł bliżej, zwolnili naprężone cięciwy. Poznali, że nadchodzi stary, siwowłosy wędrowiec.

Ze sprytnie ukrytej przed wzrokiem nadchodzącego niszy wyłonił się krępy Shemita. Na jego brodzie widać było kępki siwych włosów. Opalona ręka spoczywała na złotej rękojeści zatkniętego za szeroki pas zakrzywionego sztyletu.

— Zatrzymaj się, starcze, jeśli łaska — zawołał w szorstkim shemickim dialekcie. Jego ton był bardziej surowy niż uprzejmy.

— Słucham? — Tevek odpowiedział w tym samym narzeczu, choć lepiej była mu znana jego forma pisana. Mógł zgnieść tego Shemite jak pustynną jaszczurkę, uznał jednak, że będzie lepiej, jeśli odegra wcześniej obraną rolę. — Czy mogę przejść?

— Mogą tu wejść i korzystać z naszej wody ci, których do Kaetty sprowadzają interesy i ci, którzy mają pieniądze, by zapłacić za przejście. Czy spełniasz któryś z tych warunków, starcze?

— Powinieneś okazywać więcej szacunku sędziwym ludziom — oburzył się Tevek.

Zdenerwował go ton, jakim zwracał się do niego Shemita. — Spełniam obydwie.

— W porządku. Pan Ranjau prowadzi rejestr imion i fachów wszystkich, którzy wchodzi na jego terytorium. Jak się nazywasz i czym się zajmujesz?

— Jestem Tovokles, Pierwszy Uczony Biblioteki Królewskiej w Aghrapur — nieco wyniosłym tonem odrzekł Tevek. — A król Yezdigerd prowadzi rejestr tych, którzy utrudniają życie jego doradcom, aby ich niezycliwość nie poszła w zapomnienie.

Shemita zagryzł wargę, w jego oczach pojawiła się niepewność.

— Najmocniej przepraszam, panie Tovoklesie. Myślałem, że jest pan Stygijczykiem. Pan Ranjau i jego ludzie z oddaniem czczą Mitrę i nie wpuszczamy żadnych wyznawców przeklętego stygijskiego węża, tego dręczyciela dusz. Ale chyba nie odbyłeś tak dalekiej podróży sam. Przecież do Aghrapur jest kawał drogi?

Tevek żałośnie pokręcił głową.

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

— Nie, nie podróżowałem sam. Mój orszak leży martwy wiele mil stąd. — Słumił uśmiech, jaki wywołał ten żart zrozumiały tylko dla niego. — Napadli na nas bandyci i pozostawili mnie myśląc, że umrę.

— Rzeczywiście, wyglądasz na półmartwego. Nie chciałem pana urazić, panie Tovoklesie — zarumieniony mężczyzna próbował szybko naprawić popełniony nietakt. — Niech pan zapomni, co mówiłem wcześniej. Chociaż nie czcimy turańskich bogów, nie pozostawiamy bez pomocy żadnego człowieka. My tacy nie jesteśmy. Może pan korzystać z naszej wody, jak długo pan będzie chciał. Ja jestem Uzgaru, Strażnik Bramy. Proszę iść za mną, wskażę panu drogę. — Ruchem ręki zaprosił Teveka, by poszedł wraz z nim.

Nekromanta szybko przesunął suchym, bladym językiem po spierzchniętych ustach, z których schodziła skóra. Potrzebował czegoś innego niż ich woda. Wyznawcy Mitry. Zabawne.

Uzgaru paplał głośno, kiedy weszli do wąskiego, wijącego się do góry, wykutego w skale korytarza. Kaetta leżała na płaskim szczycie wzniesienia, z którego widać było pustynię na wiele mil w każdym kierunku.

— Miał pan szczęście, że pan nas znalazł — mówił Shemita. — Kaetta jest jedynym bastionem cywilizacji w tym rejonie. Najbliższa wieś znajduje się setki mil stąd. Bijące z tej skały źródło utrzymuje nas przy życiu, ale nie mamy warunków, by uprawiać rośliny czy hodować zwierzęta.

Tevek słuchał opowiadania Uzgaru jednym uchem. Doszli do miejsca, w którym korytarz rozszerzał się i przechodził w przestrzenny okrągły plac. Otoczony ze wszystkich stron stromymi skałami, przypominał wielką misę. Otwory we wschodniej ścianie wyglądały na mieszkania. Na środku misy wznosił się prostokątny budynek o płaskim dachu, prostej konstrukcji i pozbawiony wszelkich ozdób. Zapewne była to świątynia Mitry. Jego kapłani odrzucali przywileje, jakimi cieszyli się słudzy bogów w innych religiach. Oprócz świątyni zbudowano tu jeszcze z kamiennych bloków krąg, który zamykał łagodnie falującą wodę, wypływającą z kaettańskiego źródła. Innych budowli nie było. Wieś nie liczyła więcej niż tysiąc mieszkańców.

Tevek poczuł dreszczyk, gdy Uzgaru podprowadził go bliżej świątyni, i to sprawiło, że zainteresował się przybytkiem. Kapłanom Seta groziło tutaj wielkie niebezpieczeństwo, ponieważ Pan Węży i tak zwany Pan Świątości byli dla siebie najbardziej zajadłymi wrogami. Tevek nie obawiał się spotkania z kapłanami Mitry, chociaż całkiem możliwe, że jego obecność mogła źle działać na nich.

Wpływ Mitry był tu dość silny i Tevek odczuwał go wyraźnie. W skale pod świątynią wyczuł coś jeszcze: komorę z ciałami zmarłych... tak całkiem okazały grobowiec. Tam, gdzie było życie, była też i śmierć. Z podziemnej krypty promieniowało odpychające ciepło — aureola świętości, ale dla Teveka była to błahostka. W każdej chwili mógł zbecześcić to miejsce.

— ...nabożeństwo rano i trzy razy w ciągu dnia święcą wodę. O, dobrze się składa. Oradne wstał już na pierwsze święcenie. — Uzgaru omawiał działalność trzech mieszkających we wsi kapłanów. Właśnie jeden z nich, łysy i brzuchaty, wyszedł ze świątyni. Jego proste brązowe szaty przewiązane w pasie sznurem z końskiego włosia były oznaką sprawowanej funkcji. Podszedł i na powitanie podniósł rękę.

Niedorzeczny głupiec, pomyślał Tevek. Mógłby jednak wyruszyć w dalszą podróż wcześniej, gdyby ta zabłąkana owca, kapłan, umożliwiła mu dostęp do świątyni... I znajdujących się pod nią krypt. Odór świętości nie odebrał Tevekowi apetytu.

— Witam naszego dobrego Oradne — powiedział Uzgaru. — To jest Tovokles, Pierwszy Uczony Aghrapur.

— Niech Mitra cię błogosławi, strażniku i ciebie przybyszu. Witaj. — Kapłan z zaciekawieniem spojrzął na Teveka.

Nekromanta wycisnął z opornego gardła odpowiedź.

— Dziękuję, Oradne, za okazaną mi gościnność. — Nagle poczuł na ręce swędzenie. Wywołał je Czarny Pierścień. Co by się stało, gdyby kapłan wyczuł woń Seta? Pierścień ponad wszelką wątpliwość przesiąknięty był jego esencją. Tevek patrzył na Oradne ze spokojem. W końcu to nie jemu, lecz temu odzianemu w brązowo-szare szaty idiotcie groziło niebezpieczeństwo.

Oradne podrapał się po szyi i wzruszył ramionami, jakby chciał się otrząsnąć z porannego chłodu.

— Nie obraż się, Tovoklesie, ale twoja twarz jest blada i wymizerowana. Jedna z naszych kobiet przygotowuje dla ciebie posiłek i przyniesie dzban wody, byś mógł się umyć.

— Przeżył napad bandytów — wyjaśnił Uzgaru. — Przez przypadek trafił na ścieżkę,

która przywiodła go do nas...

— Najmocniej cię przepraszam, strażniku, ale nie mam wątpliwości, że przywiódł go tutaj Mitra. Pan Światłości zawsze opiekuje się potrzebującymi. Dobrze, Tovoklesie, z chęcią wysłucham twojej opowieści, teraz jednak muszę poświęcić wodę, zanim mieszkańcy wsi rozpoczną nowy dzień. W mieszkaniu kapłanów jest wolny pokój, skromny ale wygodny.

— W świątyni? — upewnił się Tevek.

— A może obraziłoby to twoją wiarę? — spytał kapłan. Tym razem uśmiech nie rozjaśniał mu oczu. Tevek zrozumiał, co to oznacza. Orande rzucił mu wyzwanie, a przynajmniej poddawał go próbie.

— Oczywiście, że nie — odrzekł spokojnie. Gdyby w kaplicy zauważono, że ma Czarny Pierścień, rozprawiłby się z kapłanami, i każdym, kto wszedłby mu w drogę. A będąc wewnątrz budynku nie miałby kłopotów z odnalezieniem przejścia prowadzącego na dół do...

— Poszukam Beladah — zaproponował Uzgaru. — Przyniesie jedzenie, wodę i świeżą pościel.

— O tak, dzień odpoczynku dobrze ci zrobi, przyjacielu — orzekł Oradne. — Chodź ze mną, wskażę ci drogę. — Wydawał się zadowolony ze zgody Teveka na wejście do świątyni. Tevek skinął głową mając nadzieję, że zostanie to odebrane jako gest podziękowania. Przez jego gardło nie mogło przejść nawet kłamstwo wyrażające wdzięczność tym głupcom. Im wcześniej opuści osadę, tym lepiej. Nie dla niego te obrzydliwe uprzejmości, ta tolerancja motłochu. Chciałby ich wszystkich rozgnieść jak robactwo obcasem swojej czarodziejskiej mocy. Żalodne zachowanie kapłana zaczynało go nużyć, nie bawiła go też jeszcze bardziej żalonna wiara Oradne w bezpieczeństwo świątyni.

Wśród kamiennych ścian budowli Czarny Pierścień niczym żywa istota wgrzyzał się w palec Teveka, jednak nie wypłynęła z niego ani kropla krwi. Nekromanta próbował bezskutecznie podporządkować sobie pierścień, oddziałując na niego siłą woli, ale wąż nie chciał go usłuchać. Tevekowi nie pozostało nic innego jak zignorować ból, który i tak wkrótce ustanie. Przecież niedługo wyruszy w dalszą podróż. Miał teraz na głowie poważniejsze sprawy niż czarodziejskie ukłucia miedzianego węża.

— Kaplicę zbudowano dziewięć generacji wstecz — powiedział kapłan, wskazując ręką na rzędy kamiennych ław i prosty ołtarz. — Jedyne schronienie na pustyni — dodał dumnie.

— Niewielu ludzi w Shemie czci Mitrę jako swego boga — zauważył Tevek. Tą pustą uwagą chciał dogryźć kapłanowi. W odpowiedzi mógł jednak uzyskać nieco informacji o żyjącej tu trzodzie.

— Zaiste — zgodził się Oradne, ciężko wzdychając. — Jest nas mało, ale przekazujemy światło naszej wiary tym, którzy z nami handlują.

— Jak często zaglądamy tu kupcy?

— Mamy tylko jeden towar eksportowy — wysokiej jakości opał. Wydobywany go w małej kopalni. Co drugi tydzień przyjeżdżają handlarze i kupują nasz urobek. Przywożą ze sobą żywność i wszystko inne, czego potrzebujemy. Jakość naszych kamieni nie jest jednak aż tak nadzwyczajna, by skusić większe bandy pustynnych padlinożerców, poza tym oblężenie Kaetty byłoby bardzo trudne. Wierzymy, że Mitra ma nas w swojej opiece, a Uzgaru i jego ludzie strzegą nas przed podstępami przyjezdnych. Pan Ranjau nie jest żaden bogactw; chce jedynie zapewnić dobrobyt i bezpieczeństwo swemu ludowi.

— Szlachetny człowiek. — Tevek, powstrzymując się przed ziewnięciem, opuścił wzrok.

Jego uwagę natychmiast zwróciły wyryte w podłodze kaplicy arabeski. Były niemal całkowicie starte, ale ich obecność w tak skromnym otoczeniu bardzo go zaskoczyła. Taki sam wzór widział już wcześniej, nie mógł sobie jednak przypomnieć, gdzie to było. Kiedy przeszli przez drzwi w tylnej ścianie kaplicy, ryciny na podłodze stały się wyraźniejsze. Mniej stóp tędy stapało.

Przebyli wąską sień, mijając po drodze troje drzwi. Zatrzymali się przed czwartymi. Tevek zauważył, że dalej przejście prowadziło w dół. Dobiegała stamtąd najdelikatniejsza z woni grobowców, zapach tak słaby, że tylko nekromanta mógł go wyczuć. Tevek pościł zbyt długo — prawie tydzień. To, czego potrzebował, znajdowało się już bardzo blisko, ale poczeka na właściwy moment. Najpierw musi przyjść do jego pokoju Beladah, a kiedy odejdzie, nikt nie będzie mu przeszkadzał.

— Możesz spać tutaj. — Oradne wskazał rozkładane, wykonane z końskiego włosia łóżko.

— Beladah przyniesie ci koc.

Obok łóżka stała kamienna ławka. Za nią była sucha umywalka nosząca płamy po wodzie. W niszach w ścianie nad umywalką umieszczono dwie grube świece.

— Oradne — zaczął Tevek, opadając ciężko na ławkę — a tam dalej, w korytarzu...

— Katakumby? Rzadko do nich zaglądamy, ledwie kilka razy w roku, kiedy składamy na

wieczny odpoczynek szczątki ludzi, których dusze zjednoczyły się z Mitrą. W tych mrocznych korytarzach nie ma nic prócz kurzu i blednących wspomnień. My nie oplakujemy naszych zmarłych. Wierzimy, że ich dusze będą żyć wiecznie w świetlistym królestwie Mitry.

— Interesujące — powiedział Tevek. Ta płytka doktryna napawała go odrazą. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. — W istocie król Yezdigerd posłał mnie na zachód, bym poznał hyboryjskie tradycje grzebania zmarłych. Król pragnie lepiej zrozumieć swych sąsiadów i sądzi, że znajomość zwyczajów pogrzebowych może dać mu wgląd w kulturę narodu. Może później, kiedy odzyskam siły, mógłbym tam zejść i tylko popatrzeć? Oradne wzruszył ramionami.

— Nie będę udawał, że rozumiem motywy, którymi kierują się uczeni. Możesz oglądać wszystko, co zechcesz. Gdybyś chciał przewodnika, to jeden z nas...

— W razie potrzeby skorzystam z twojej propozycji — odparł Tevek, potrząsając odmownie głową.

— Bardzo dobrze. O, słyszę Beladah. Teraz odpoczywaj. Jeśli do wieczora pocujesz się lepiej, pan Ranjau zje z tobą kolację.

Tevek znów pokiwał głową. Miał już dość tej bezsensownej paplaniny. Oradne uśmiechnął się lekko, podrapał po karku i wyszedł. Ruchem głowy wskazał drogę szczupłej, czarnowłosej dziewczynie, która właśnie miała wejść do pokoju.

Beladah wyglądała inaczej niż Tevek się spodziewał. Kobiety niewiele go obchodziły; nawet nigdy z żadną nie spał, przynajmniej nie z żywą. Ciepło ich ciała i oddechu, kolor ich twarzy, włosy i błysk w oczach nie potrafiły rozbudzić w nim pożądania. Ale ta dziewczyna go zainteresowała, chociaż chciał jak najszybciej zejść do krypt.

Jej twarz i ręce były perłowobiałe, podobnie wyglądały szczupłe kostki nóg i stopy. Proste, bladezielone szaty podkreślały kształty dziewczyny nie pozostawiając wątpliwości co do płci, chociaż miała ciało niedożywnego dziecka, o małych piersiach i bardzo drobnych mięśniach. Kruczoczarne włosy zwisały jej po obu stronach twarzy, na której nie dostrzegł wzbudzających w nim niesmak rumieńców. Przez bladą skórę na kostkach u nóg i rękach widział delikatną konstrukcję jej szkieletu. Zatrzymała się w drzwiach.

— Pan Tovokles? — spytała nieśmiało. W ręku trzymała złożony koc z końskiego włosa, a na nim glinianą tacę zjedzeniem i dzbanem wody.

— Tak, Beladah — odpowiedział. Jej nieśmiałość pogłębiała jego apetyt. Dziewczyna wyzwalała w nim koszmarnie żądze. Postanowił, że niebawem je zaspokoi. W przeszłości, w ciemnościach grobowców, w głębokich mrokach, których nie zmącił blask lampy i gdzie nie docierało światło księżyca ani gwiazd, Tevek robił rzeczy, na które inni mężczyźni nigdy by się nie zdobyli.

Kobieta podeszła do niego niepewnym krokiem, postawiła tacę na kamiennej ławce, podniosła dzban i wlała wodę do umywalki.

— To gdyby pan chciał się umyć — wyjaśniła. — Zaraz przyniosę wodę do picia. Oradne najpierw musi ją poświęcić. — Wyciągnęła do niego ręce z kocem, czekając, by go od niej wzięł.

Sięgnął po koc obydwiema rękami i zaraz zorientował się, że popełnił błąd. Zapatrzony w jej duże, płaskie policzki, odsłonił Czarny Pierścień. Beladah spojrzała szeroko otwartymi ze strachu oczami na otaczającą miedziane zwoje zieloną aureolę.

— Czary! — wyszeptwała.

Zanim zdążyła krzyknąć, Tevek skoncentrował siłę woli. Nie było jeszcze za późno, by naprawić tę nieostrożność. Dobrze wiedział, jakie jest działanie zaklęcia wywołującego sen. Ale pierścień pokrzyżował mu plany, tak jakby był rozszoszczony tym, że nekromanta wszedł z nim do świątyni Mitry. Płomienie przejrzystego, zielonego ognia uderzyły w pierś kobiety i zagłębiły się w nią, zaciskając się niczym palce ducha na jej sercu. Wzniosła do góry oczy, i łapiąc powietrze, poleciała do przodu. Tevek chwycił ją za nadgarstki i zatrzymał upadające ciało. Natychmiast poznał, że pierścień ją zabił. Białka jej oczu skierowane były na jego obojętną twarz. Wypuszczone z rąk ciało opadło na podłogę.

W korytarzu słychać było szuranie obutych w sandały stóp. Kroki zatrzymały się w drzwiach. — Mam nadzieję, że teraz... — Oradne przerwał otwierając szeroko usta. — Mitro uchowaj nas! — Zrobił magiczny znak przeciw złu i uciekł, zanim Tevek zdążył użyć mocy pierścienia.

— Możesz się pomodlić, na pewno cię wysłucha — zaśmiał się Tevek. To wydarzenie wyczerpało jego cierpliwość. Miał zamiar zbeczcześcić grobowce i najeść się do syta. Każdy, kto stanie mu na drodze, zginie, zanim zda sobie sprawę z własnej głupoty.

Nekromanta wyszedł do sieni i udał się wąskim, spiralnie schodzącym w dół korytarzem

do katakumb. Pierścień oświetlał wąskie przejście, odsłaniające więcej osobliwych znaków na podłodze. W odróżnieniu od budowli na powierzchni ziemi, tutaj kamienne ściany były pokryte dziwnymi symbolami.

Ich widok odświeżył pamięć nekromanty. Arabeski — widział je na rysunkach przedstawiających świątynie Ibisa. Tutejsze symbole były starożytnymi hieroglifami, znali je tylko prorocy Ibisa. Czyżby Kaetta została zbudowana w miejscu, gdzie modlili się wymarli przed wiekami wyznawcy Ibisa? To mogła być karta przetargowa z Thoth–Amonem.

Stygijczyk od dawna usiłował uwolnić świat od Caranthesa, Najwyższego Kapłana Ibisa. Ciekawe, jakie słabostki kultu Ibisa mógłby tutaj odkryć Thoth–Amon?

Tevek szedł dalej. Słyszał okrzyki i odgłosy stukających o podłogę butów ludzi, którzy za nim podążali. Oradne zdążył już sprowadzić pomoc. Niech sobie przychodzą. Doszedł do końca spirali. Tutaj woń zmarłych była o wiele lepiej wyczuwalna. Spojrzał na długi, szeroki korytarz. W jego ścianach wykute były nisze — z półkami, na których leżały owinięte w całuny ciała. Tevekowi dokuczał smród poświęconego miejsca, ale zaraz się tym zajmie. Z jednej z wielu kieszeni w ubraniu wyjął małe, płaskie drewniane pudełeczko. Otworzył wieczko i zanurzył palec w znajdującym się wewnątrz czarnym proszku, sadzy ze spalonego ciała ściętego mordercy. Przykucnął i starannie nakreślił okrąg, a na nim, w równych odległościach od siebie, sześć symboli Tanatosa. Przyjrzał się rysunkowi uważnie; najmniejsza skaza lub przesrwa mogła udaremnić rytuał, do którego się przygotowywał. Nie zważając na odgłosy zbliżającego się pościgu, z futerału na plecach wydobyl teraz ciemnoszary flet. Instrument wykonany był z kości udowej uduszonego przez matkę noworodka i umoczony w krwi dziewczycy. Pierwszy raz zagrano na nim przy pełni księżyca w przeddzień jej śmierci. Tevek podniósł flet do ust i zaczął grać. Jego drobne palce przebiegały po wydrążonych w kości sześciu otworach. Przerazające tony brzmiały jak przytłumione krzyki tysiąca demonów. Ze ścian zaczęła sączyć się krew, której wijące się strumienie zbierały się na podłodze w kałużę. Nieruchome usta kamiennych rzeźb otworzyły się i zaczęły wymiotować obrzydliwym, czarnym śluzem, który cuchnął jak odchody. Nagle w powietrzu zamigotały białe, podobne do cekinów światełka. Wirowały jakby szukały ucieczki od wstrętnych płynów wydobywających się z sufitu i ścian, i leciały prosto do Teveka.

Nekromantę otoczył cylinder huczącego, szmaragdowego ognia. Stał w środku narysowanego wcześniej okręgu, z którego to właśnie buchały płomienie. Białe drobkinki światła iskrzyły się i trzaskały uderzając w zielone płomienie, a potem nikały w małych kłębach dymu, niczym nocne owady w obozowym ognisku. Ani jedno światełko nie uciekło. Tevek opuścił flet i błyszczący cylinder zniknął. Zlewiska krwi i śluzu wyparowały tak, jak parują płytkie kałuże w upalnym słońcu. Pozostał tylko smród wnętrza ludzkich i padliny. Prowadzeni przez Uzgaru mężczyźni i zatrzymali się na ostatnim zakręcie spiralnego korytarza i patrzyli z niedowierzaniem. Kilku pochyliło się obejmując brzuchy i wymiotowało, nie mogąc znieść smrodu.

Wysoki, smagły, okryty kolczugą wojownik wystąpił do przodu i stanął obok Uzgaru. Za nim, między dwoma mężczyznami odzianymi w proste szaty kapłanów Mitry, stał Oradne. — Jestem pan Ranjau, oddany wyznawca Mitry. Idź precz, ty podły sługo Seta — huknął rycerz. Na okrywającej zbroję, bladezielonej tunicy wyszyte miał znaki broniące przed złem. W rękę trzymał wyciągnięty w kierunku Teveka miecz.

— Idź precz — powtórzył za nim Oradne, polewając nekromantę kubkiem wody. Tevek nawet nie próbował uciekać przed wodą, która rozprysła się na jego klatkę piersiową. Teraz spływała z jego ubrań, sycząc i parując tylko na Czarnym Pierścieniu. Zdziwiło go, że woda w ogóle przedostała się przez obronny krąg, który bez problemu zatrzymałby prawdziwą święconą wodę. Zapewne błogosławiąc zawartość tego kubka, Oradne jednocześnie zaczarował ją przeciw wyznawcom Seta.

Uzgaru uniósł dwuręczny miecz i ruszył na nekromantę.

— Ranjau! Ranjau!

Tevek roześmiał się. Okrutny dźwięk niósł się echem przez długi korytarz. Kiedy zaczął wypowiadać zaklęcie, jego głos nabrał głębi.

— Yotha–hie, niech oczy ogarnie ciemność, Xet'ta, niech stał zamieni się w rdzę, Hie–yotha, niech pękają kości, Ta'xet, niech krew zamieni się w proch! — Palcem wskazał na Uzgaru, który podskoczył do przodu jak pajac i złapał się za gardło. Oczy wyszły mu na wierzch, a następnie zniknęły w czaszce. Jego miecz i zbroja rozprysły się i opadły na ziemię deszczem rdzawych płatków, a ciało podskakiwało i skręcało się, jakby naraz uderzał w nie tuzin ciężkich drewnianych młotów. Zwalił się na podłogę, z otwartych ust i głębokich oczodołów wydobywał się czerwony proch.

Nikt się nie odzywał. W katakumbach słychać było tylko chichot dobywający się z gardła zadowolonego z siebie Teveka. Ne — kromanta jeszcze nie widział, by ciało zasuszało się tak szybko. Czarny Pierścień uczynił zakłęcie silniejszym, niż się spodziewał. To jakby zabić komara łopata, pomyślał. Reszta tego bezbronnego motłochu ucieknie, jak tylko zabiję ich przywódcę. Nie spuszczać wzroku z Ranjau, jeszcze raz zaintonował magiczne słowa.

— Nie obawiam się twojej nekromancji, ty kłoczący robaku — powiedział Ranjau, kiedy Tevek wypowiadał zakłęcie. — Chroni mnie przed tobą miecz wykuty w ziejących lawą paleniskach Gór Taja, hartowany w najświętszej z pobłogosławionych przez Mitrę chrzcielnic i uświęcony modlitwami o obronę jego właściciela przed złymi mocami! — Podbudowany swą mową komendant ruszył do przodu. Ostrze trzymanego w obu rękach miecza skierowane było ku Tevekowi. Pozostali, razem z Oradne, trzęśli się za plecami swego wodza. — ...Ta'xet, niech krew zamieni się w proch! — skończył Tevek i wyciągnął wskazujący palec ku okrytemu kolczugą torsowi Ranjau.

Z pokrytego runami ostrza błysnął biały ogień, blask wypełnił mroczne katakumby. Tevek instynktownie zamknął powieki, jego oczy nie mogły znieść palącej bieli światła. Mrugnął i przez szpary zmrużonych oczu patrzył na zbliżającego się Ranjau. Zakłęcie nie podziałało.

Komendant wydał zwycięski okrzyk i zamachnął się, mierząc w kark Teveka.

Nekromanta nie ruszał się z miejsca. Wierzył, że magiczne koło ochroni go przed zbliżającą się klingą.

Miecz Ranjau przebił płaszczyznę wyznaczoną przez okrąg i natrafił na przezroczystą, szmaragdową tarczę. Ostrze zadzwoniło, jakby uderzyło w kamień. Ranjau skrzywił się i mocno ścisnął rękojeść. Poczł, jak wzdłuż jego ramienia wędruje prąd. Mimo to szybko ponowił atak, kilkakrotnie próbował zadać cios, ale miecz za każdym razem odbijał się od zielonej bariery. W końcu położył oręż na ramieniu i zdyszany odstał na krok.

— Tępy robaku — wymamrotał Tevek. — Nie może mnie dotknąć nic, co nosi znak Mitry.

— Stój skulony jak pies za swoim magicznym pancerzem i szczekaj, ile ci się podoba — ripostował Ranjau. — Twoje podłe czary nic nie znaczą przeciw mocy Mitry. Mój miecz wybił ci kły, jadowity węžu. Za chwilę będzie tu więcej wojowników. Ile czasu wytrzymasz? Zaraz będziesz równie martwy jak ci, którzy tutaj spoczywają.

Oczy Teveka zapłonęły gniewem.

— Śmiesz mnie straszyc? Myślisz, że nie posiadam mocy, by was zdeptać jak insekty, którymi zresztą jesteście? — Nie mówiąc nic więcej, zamknął oczy i wolno zaintonował jakąś pieśń. Z każdą wyśpiewaną sylabą jego głos stawał się mocniejszy. W końcu z gardła nekromanty zaczęły wydobywać się nieludzkie dźwięki. Zadrżały ściany. Przyglądający się szeroko otwartymi ustami ludzie poczłi, jak trzęsą się ich kości.

Przez korytarz powiał chłodny wiatr. Nagle zrobiło się zimno, jakby ktoś otworzył drzwi do mroźnego piekła. Śpiew Teveka osiągnął grzmiące crescendo, był tak głośny, że odbijał się echem w najdalszych zakamarkach katakumb.

To właśnie Tevek chciał osiągnąć. Otworzył oczy i przerwał śpiewany hymn. Powietrze wciąż było chłodne.

— Teraz, zbłąkani nędznicy, zobaczycie, jakiej mocy dobędę z bezdennej studni nieśmiertelnego Tanatosa, Cesarza Czarnych Otchłani. — Odwrócił się plecami do Ranjau i krzyknął w stronę długiego korytarza, gdzie spoczywały zaczynające się poruszać, owinięte w całuny zwłoki. — Moi słudzy, powstańcie! Podnieście się i rozerwijcie ciała tych żywych istot! — Wypowiadał te słowa z trudem, tak, jakby brakowało mu sił. Ręce lekko mu drżały. Z głębokich wnętrz katakumb zaczęli wychodzić zmarli. Wszyscy: ci, którzy żyli przed wiekami jak i ci, którzy odeszli z tego świata przed kilku laty, usłuchali wezwania nekromanty. Szelest zakurzonych całunów ciągnących się po szorstkich kamieniach rozchodził się w ciemnościach jak echo głośnego westchnienia. W tym odgłosie słychać było drapanie setek kościstych stóp, szurających po kamiennej podłodze. Nieziemskie moc starożytnych słów i siła woli Teveka zniewoliły trupy. Armia pozbawionych umysłu i dusz istot wlokła się w kierunku swego wskrzesiciela.

Do podziemi zbiegła druga grupa wojowników. Kilku trzymało nad głowami płonące pochodnie, które oświetliły rozgrywającą się przed nimi koszmarną scenę. Z wyciągniętymi przed siebie kościstymi ramionami, chwiejnym krokiem zbliżyły się do nich zgniłe zwłoki ich przodków. Pierwsze trupy podeszły już do Ranjau. Kiedy ciała zsuwały się z kamiennych nisz, ich skruszałe od starości całuny podarły się lub opadły z nich zupełnie. Budzący się do życia mieli na sobie strzępy pogrzebowych szat albo tylko proch z własnego, wyschniętego ciała. Nadchodzili z drapieżnie wyciągniętymi kościstymi palcami.

Mijając Teveka kolumna trupów rozdzielała się. Skoncentrowana twarz nekromanty wyglądała jak przeraźliwa maska. Z wysiłkiem kontrolował ruchy wskrzeszonych i pilnował, by byli posłuszni jego rozkazom. Tanatosyjska nekromancja miała jedną wadę: zaklęcie budziło do życia wszystkich zmarłych, jacy byli w pobliżu rzucającego je maga — bez względu na to, czy trupów było kilka, czy tysiąc. Ale każde zwłoki wymagały nieustannej uwagi nekromanty, inaczej zwróciłyby się przeciw niemu. A te katakumby sięgały dalej i głębiej niż Tevek się spodziewał. Chyba pół tysiąca trupów dosłyszało jego wezwanie. Reszta obudzonych szkieletów wychodziła z najniższych kondygnacji mrocznych podziemi.

Tevek wyczuł, że zmarli Kaettanie dotychczas spali spokojnym snem i nie podobało im się jego wtargnięcie. Wywnioskował, że wielu z nich zmarło śmiercią naturalną. O wiele łatwiej było utrzymać kontrolę nad tymi, którym życie zostało brutalnie odebrane — nad ofiarami przemocy — albo tymi, których zabrała śmierć, zanim pogodzili się ze swymi bogami.

Nieprzychylnie nastawienie zmarłych Kaettan powodowało, że ich ruchy nie były płynne. Ale Tevek smagał ich biczem swej woli i bezlitośnie popędzał do przodu. Chciał widzieć, jak ci nędzni wieśniacy leżą u jego stóp i błagają o litość, której i tak by im nie okazał.

— Pozostańcie na swoich miejscach! — rozległ się głośny rozkaz Ranjau, kiedy stojący za nim ludzie zaczęli wycofywać się na widok tej makabrycznej sceny. — Jest powiedziane, że kiedy umrze czarownik, jego magia zginie razem z nim. Zabić larwę Seta! — Podniósł miecz i rzucił się ku Tevekowi.

Kilku zachęconych słowami komendanta wojowników ruszyło do walki. Natychmiast starli się z pierwszymi szeregami niesamowitego oddziału Teveka. Rozległ się chrzęst i trzaskanie napotykających na miecze kości. Kaettanie podjęli walkę z armią swych przodków. Stał ich mieczy łamała ostre jak szpony palce, ostrza odcinały wyciągające się ku nim kości rąk. Ale makabryczna determinacja szkieletów niweczyła w kaettańskich wojownikach ducha walki. Zanim zdolali dotrzeć do Teveka, każdego z nich już otaczały drapiące na oślep szpony i klekoczące zęby. Nawet odcięte kończyny chwyciły i szarpały ich nogi, rozrywając je do żywego mięsa. Z ran wypływała krew.

Łucznicy założyli zakończony żelaznymi grotami strzały i wymierzili je w Teveka.

Zabrzęczały zwolnione cięciwy i salwa poleciała w kierunku nekromanty. Niepewny trwałości swego ochronnego koła, Tevek szybko przykucnął za ścianą stojących przed nim szkieletów. Strzały przeleciały nad nim. Zatrzymały się na kościach i kamiennych ścianach, nie czyniąc mu żadnej szkody. Jego umysł zdekoncentrował się na chwilę, ale szybko odzyskał kontrolę. W tym czasie z niższych poziomów wyszło więcej trupów, które zasilły szeregi przeżartych przez robaki towarzyszy.

Wojownicy Ranjau zaczęli jęczeć, kiedy zimne ręce powaliły ich z nóg i na wpół zepsute zęby zanurzyły się w ich ciele. Kilku krzyknęło z przerażeniem i próbowało uciekać, ale przewracali się na śliskich kałużach krwi. Inni potykali się o chwytające za stopy odcięte kończyny. Ich błagalne modlitwy do Mitry tonęły w wypływającej z rozszarpanych gardła krwi. Wkrótce cała podłoga zabarwiła się na czerwono.

Pozbawiona wszelkich emocji kolumna bezlitośnie posuwała się do przodu. Trzej kapłani wraz z grupą łuczników zostali otoczeni i rozerwani na kawałki. Ranjau poległ ostatni. Ostrze jego własnego miecza rozłupało mu czaszkę, kiedy dwóch trupich wojowników chwyciło go za rękę, w której trzymał oręż. Miecz upadł na podłogę, głucho zabrzączał na kamieniach i zaraz trysnęła na niego fontanna krwi z rozerwanego gardła komendanta.

Tevek nie ruszał się z miejsca. Jego oczy pozostawały bez wyrazu, a blade usta były mocno zaciśnięte. Utrzymanie drużyny trupów w posłuszeństwie kosztowało go wiele wysiłku. Wyszedł ze swego koła i z pogardą splunął na zwróconą do góry twarz Ranjau. Ani tajańskie kuźnie, ani modlitwy do Mitry nie obroniły go przed powstałymi z grobów.

— Naprzód — polecił cicho tłoczącym się w korytarzu trupom. Skierował swe myśli do każdej istoty, jaka była w katakumbach. — Zabijcie tych, którzy żyją na górze. Potem powróćcie tutaj, na swoje miejsce spoczynku, i śpijcie dalej.

Po jego ciele spływał pot, jakby stał w strugach deszczu, ale miał baczenie, by wszyscy wykonali jego rozkaz.

Wszyscy, prócz jednej.

Kiedy jego ponury wyrok dosięgnie kaettańskich wieśniaków, tutaj, między zmarłymi będzie mógł ugasić pragnienie i zaspokoić apetyt. Następnie, zanim wyruszy w dalszą drogę do Mosiężnego Miasta, miał zamiar pozwolić sobie na chwilę zabawy. Myślał o Beladah, która leżała martwa w świątyni na górze. Ona też usłyszała zaklęcie nekromanty i była gotowa wykonać jego rozkaz, ale ją zachował na później. Czekał, aż zimne i stęchłe powietrze śmierci ochłodzi jej ciało i pozbawi je kolorów życia. Wtedy dozna z nią przyjemności, o jakich mógł marzyć tylko nekromanta.

Ze świątyni na górze dobiegły go wołające o litość jęki mordowanych. To wskrzeszony legion wypełniał swoją misję. Odgłosy te wypełniły mu uszy upajającą muzyką, a na jego bladej twarzy pojawił się pełen okrucieństwa uśmiešek. Omijając ciała poległych, przeszedł do spiralnego korytarza i podążył ku zimnym ramionom tej, która na niego czekała.

XI

„DO DIABŁA!”

Odzyskując z wolna świadomość, Conan zorientował się, że leży przerzucony przez grzbiet klusującego konia. W nadgarstki wrzynały mu się grube sznury i kiedy z trudem otworzył oczy, zobaczył, że jest przywiązany za siodłem. Przed sobą widział plecy jeźdźca. Oszołomiony i obolały spróbował zmienić pozycję, ale więzy nie pozwalały mu na najmniejszy ruch. Asshuri uwiązali go brzuchem do dołu i w takim położeniu miał pozostać. Za każdym razem, kiedy koń potykał się o kamień albo wpadał w dziurę w drodze, przez jego kręgosłup przebiegła fala tępego bólu.

Odczuwał go w każdym mięśniu i kości, w głowie huczało mu jakby Pikt zrobił sobie z niej bęben wojenny. Wiedział, że niedługo poczuje się lepiej, przestał więc myśleć o odniesionych obrażeniach. Ale dlaczego asshuri nie zarabali go w alejce? Zapewne wkrótce się dowie. Shemici byli okrutnym i mściwym narodem, a pośród nich asshuri uchodzili za najsrozszych. Nie chciał więcej zaprzętać sobie głowy tym, co mu się przydarzyło. Bardziej interesowało go, jakie plany mieli wobec niego porywacze.

Upał i mocno świecące słońce oznaczały, że był nieprzytomny do południa albo kilka klepsydr dłużej. Po rzeźbie terenu nie mógł poznać, dokąd go wiozą. Konie szły bezimienną drogą, a wokół rozciągały się bezkresne winnice. Tak wyglądała spora część zachodniego Shemu.

Obok siebie usłyszał cichy jęk i obrócił głowę, by spojrzeć przez ramię. Ten drobny wysiłek spowodował kłujący ból, na tyle silny, że zacisnął zęby.

Kylanna — albo Sivitria — leżała na koniu, który szedł nieco za koniem Conana. Ona też była uwiązana za siodłem w pozycji brzuchem do dołu. Rozpuszczone włosy zasłaniały jej twarz. Zauważył, że jej ramiona zdobiło wiele sińców, miała też rany i zadrapania, odniesione w zaciętej walce. Biła się do końca. Czyli ta niewola nie jest chyba częścią jej spisku. Obiecał sobie jednak, że będzie ostrożniejszy i już nie zaufa tej zakłamej dziwce.

Conan osądził, że asshuri szybko dojadą do celu. Przemawiał za tym brak prowiantu. Nie dostrzegł też jucznych koni wyładowanych namiotami i innym sprzętem. Z tego, co mógł zobaczyć, jeźdźców było około pół kompanii. Ale czterdziestu czy pięćdziesięciu wojowników to aż nadto, by strzec dwójki jeńców, chociaż niektórzy Shemici mieli obandażowane ramiona, nogi i głowy. Spojrzał na przód kolumny i złapał głęboki oddech, kiedy zobaczył jeźdźcę prowadzącego oddział. Po znakach na jego płaszczu rozpoznał, że jest to ktoś z cytadeli Balvadeka. Ubrania asshuri nie zdradzały ich stopni ani jednostki. Jedynie mężczyzna na przedzie miał na sobie strój kapitana. Do tego biała peleryna i ozdobne siodło, wszystko to wyglądało zbyt znajomo. Był to członek rodu księcia Balvadeka, może młodszy brat, kuzyn albo bratanek.

Nie dziwne więc, że pojмали Conana żywcem. Książę wciąż na niego polował. Na Cromal! Przecież nic takiego nie zrobił. Poszedł tylko do łóżka z jakimiś dziewczkami... i, jak zwykle, wybrał na to niewłaściwe miejsce i nieodpowiedni czas. Omal nie przyptacił tego stryczkiem. — Wody — ostrym głosem zażądała Sivitria.

Conanowi zrobiło się jej żal. Sam wypiłby naraz cały dzban, ale dobrze wiedział, że nie ma sensu prosić o cokolwiek tych garbatonosych, czarnobrodych diabłów.

Kilku jeźdźców, którzy byli na tyle blisko, że mogli dosłyszeć dziewczynę, roześmiało się głośno.

— Zaraz będziesz pić, ile tylko zechcesz — chichocząc powiedział asshuri jadący na tym samym koniu co ona. — Później ty zaspokoisz pragnienia księcia. Zanim to się stanie, na pewno wyśle cię, żebyś się wymoczyła w łaźni — książę nie śpi z dziewczkami, które czuć jak konia a nie kobietę.

— Świnia! Cham! Śmiesz mi grozić jak jakiejś zwykłej dziwce...

— Nie, kobieto, żadna zwykła dziwka nie zabiłaby dwóch naszych ludzi, zanim zdążyliśmy cię obezwładnić. Ty jesteś rzadkim okazem dziwki z gatunku, jakiego szuka książę.

Żart znowu rozśmieszył kilku asshuri.

— Oby potwory porwały do piekieł tego zapchlonego psa, którego nazywacie księciem i odgryzły mu jego wyschnięte genitalia!

Conan uśmiechnął się. Chociaż Sivitria mówiła łamiącym się głosem, jej język był jak zwykle ostry.

— Na Erlika! — zachichotał jeździec, za którego plecami wisiał Conan. — Trzeba ujeździć tę klacz, zanim trafi do księcia. Może powinniśmy wyświadczyć przysługę staremu Balvadekowi? Przecież przysięgaliśmy, że będziemy stać na straży jego bezpieczeństwa. Co ty na to, Deverro?

— Ty byłeś pierwszy ostatnim razem, Uthan. Wtedy, kiedy urządziliśmy sobie wyprawę do Kyros. Pamiętasz tę brythunijską dziewczuchę?

— Na zadek Erlika, Deverro. Nigdy jej nie zapomnę. Co za blondyna! Niech i tak będzie. Kiedy zatrzymamy się na noc w Saridis, ty weźmiesz ją pierwszy.

Deverro zaczął opisywać, co zamierza zrobić. Jego opowiadanie było równie głośne, co lubieżne. Kilku asshuri udzieliło mu podpowiedzi, niektóre z nich przyprawiłyby o rumieniec prostytutkę z najohydniejszej speluny w Shadizar. Wybuchali przy tym chrapliwym śmiechem, na tyle głośnym, że zagłuszał równomierne bicie o ziemię końskich kopyt.

Conan wykrzywił się ze złości, ale trzymał język za zębami. Wiedział, że nie ma sensu tracić sił na czcze pogroźki. Po tym, jak Sivitria go oszukała, nie czuł się jej dłużnikiem, ale nie mógł znieść myśli, że będzie tak brutalnie wykorzystana przez tych shemickich drani. Przynajmniej zbroje powiedzieli, dokąd jadą. Conan przejeżdżał przez Saridis tylko raz.

Było to jeszcze przed wydarzeniami, które tak rozżołościły Balvadeka. Miasto służyło wędrowcom, kupcom i wszelkim grupom asshuri, leżało bowiem na skrzyżowaniu wielu różnych dróg w miejscu, gdzie zbiegały się granice czterech miast-państw. Każde z nich, Ghaza, Kyros, Anakia i Akkharia, w różnym czasie rościło pretensje do Saridis. Jednak jego ludność nigdy nie uznała zwierzchnictwa żadnego z księstw.

Conan przypomniał sobie, że Saridis odległe jest o pół dnia jazdy od Varhii, i następne pół dnia do twierdzy Balvadeka. Asshuri przeprowadzili atak późno w nocy, więc musieli już być zmęczeni. Cymmerianin czekał z utęsknieniem, kiedy go zdejmą z tego okropnego zwierza. Gdyby taka jazda miała potrwać jeszcze długo, nieustanne stukanie kopyt zamieni jego kości w galaretkę.

Kapitan zwolnił. Po chwili wjechał między Uthana i Deverra.

— Poruczniku Uthan. — Dowódca odezwał się po shemicku, ale z obcym akcentem.

Najwyraźniej nie był Shemita.

Conan widział tylko jego plecy. Nie chciał jednak drugi raz podnosić głowy i zginać karku. Uznał, iż będzie lepiej jeśli pomyśli, że znów stracił przytomność. Może wtedy uda mu się lepiej poznać ich plany.

— Tak jest — odpowiedział Uthan głosem pełnym szacunku. Jego postawa zmieniła się diametralnie.

— Weź dziesięciu najlepszych towarzyszy i przeprowadźcie zwiad, ale nie jedźcie drogą. Niech wojownicy jadą dwójkami. Dopilnuj, żeby bracia albo przyjaciele nie byli ze sobą w parze. Wczoraj, zanim jeszcze dotarliśmy do Varhii, straciliśmy Mahkoro i Baaszę. To byli nasi najlepsi zwiadowcy. Dwie kompanie naszych towarzyszy zostały, by strzec Varhii, a jadąca za nami czterdziestka rannych i wycieńczonych wojowników nie jest w stanie stawić oporu resztkom armii Reydnru. — Kapitan odwrócił się w siodle i sprawdził tyły kolumny. — Jedźcie szybko. Spotkamy się na przedpolach Saridis. Możecie się natknąć na szpiegów i małe oddziały wrogów. Miejsce oczy szeroko otwarte i nie zdejmujcie ręki z miecza. — Wydał rozkazy w typowy dla asshuri sposób.

Kiedy kapitan odwrócił się do tyłu, Conan, przez szpary zmrużonych oczu, zobaczył jego twarz. Po wąskim, garbatym nosie, krzywych ustach i osadzonych blisko siebie oczach Cymmerianin rozpoznał Druvarika, najmłodszego brata Balvadeka. Przerażony barbarzyńca zaczął rozmyślać, w jaki sposób książę się na nim zemści. Wronia klatka, chłosta... łamanie kołem?

Nie. Conan przypomniał sobie, że wśród asshuri ulubioną metodą zabijania było uwiązanie kończyn ofiary do czterech silnych koni i rozpędzenie bestii do galopu. Najpierw ze stawów wyskakiwały kości, później poganiane zwierzęta odrywały od ciała nogi i ręce. Zanim nieszczęśnik wykrwawił się na śmierć, przez moment wył z bólu. Ale dla rozszarpywanego na kawałki człowieka taki moment musiał być wiecznością.

Shemici robili z tych okrutnych zbrodni widowiska publiczne. Przychodziły na nie kobiety i dzieci. Wszyscy mogli popatrzeć, jak giną wrogowie ich ludu. Conan widział kiedyś mężczyzn robiących zakład o to, która ręka albo noga oderwie się pierwsza. I ci ludzie mówili, że Cymmerianie to barbarzyńcy! Lud Conana zaiste był dziki, ale dla swych wrogów miał siłę i stal. W Cymmerii wrogowie nie ginęli w wymyślnych torturach, które powoli wysysały z nich życie.

Słońce leniwie zniżało się ku horyzontowi. Upał i wyczerpanie pokonały Sivitrię. Zwisła bezwładnie z końskiego zadu. Conan nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o pełnych okrucieństwa sposobach zadawania śmierci i o tym, który z nich czeka go w twierdzy Balvadeka. Asshuri dał mu odrobinę wody, nawet nie łyk. Ciągłe wstrząsany chodem konia nie mógł też zasnąć. Zrozumiał, że chcą, by pozostał wyczerpany i osłabiony na tyle, żeby nie mógł im zbiec. Ale gdyby tylko te psy popełniły jakiś błąd i dały mu szansę ucieczki, mimo wycieńczenia na pewno by jej nie przepuścił. Rany i zmęczenie nie odebrały mu woli walki — jeszcze nie. Marzyła mu się okazja, by móc pokazać tym asshuri, że półzywy Cymmerianin jest więcej wart niż którykolwiek z nich.

Wkrótce droga stała się szersza, a jej nawierzchnia równiejsza. Minęli kilka karawan wyładowanych dębowymi beczkami wozów. Pilnowały ich grupy zbirów wynajętych przez kupców handlujących winem. Nie były to regularne oddziały, każdy strażnik miał inną broń i inny oręż. Karawany bez słowa zjeżdżały asshuri z drogi. Kapitan Druvarik ledwie kiwał im głową i jechał dalej. Po obu stronach drogi rozciągały się wielkie sady wysokich jabłoni. Z ich owoców wytwarzano wyśmienite wino — była to główna gałąź przemysłu w Saridis. Kiedy kompania Druvarika podjechała pod ciężkie drewniane wrota wstawione w niedawno wzniesione ogrodzenie, upalny dzień ustępował już dusznemu wieczorowi. Conan nie przypominał sobie, by wcześniej były w Saridis takie fortyfikacje. Mur miał wysokość rosteo mężczyzny. Zauważył też, że na bramie, jak długa i szeroka, wyrzeźbiony był wzniesiony ku górze miecz otoczony wieńcem winogron — herb Druvarika. Conan zrozumiał, że Saridis nie było już miastem niepodległym. Balvadek nie tracił czasu przez ostatnie kilka lat.

Czekał na nich tylko Uthan. Siedział okrakiem na koniu, jego twarz przybrała kolor popiołu, a ręka spoczywała na temblaku.

Druvarik podjechał do niego kłusem.

— Jakie wieści, Uthan? Gdzie są towarzysze, którzy z tobą pojechali? — Mimo że mówił cicho, Conan dosłyszał jego słowa,

— W piekle, panie. — Żałosna odpowiedź Uthana właściwie wyjaśniała wszystko. — AReydn zmobilizował przeciw nam demony — dodał.

— Demony? Ten stary głupiec nie potrafiłby zmobilizować swej męskości w łożu kurtyzany, a co dopiero demony. Pewnie jakiś szpieg wykorzystał waszą nieuwagę. Uthan, za takie wyjaśnienia powinienem cię obedeżyć ze skóry...

— Panie, powiedziałbym ci to samo nawet po sześćdziesięciu batkach! Pojechalismy szybko, tak jak rozkazałeś. Nie zauważyliśmy nic, co zapowiadałoby atak oddziałów Reydn. I nagle, kiedy przejeżdżaliśmy koło zagajnika odległego o kilka mil stąd, jadący na końcu Akkesh spadł z konia. Natychmiast zatrzymaliśmy się i wtedy zwałili się na ziemię Shimri i Abishai. Kiedy umierali, z ich gardeł tryskała krew. Pulha krzyknął do mnie, że ciało Akkhesha jest lodowate, zamrożone jak hyperboryjski staw w środku zimy. Ledwie to powiedział, zajęczał i upadł na zwłoki Akkhesha. Nie czekając dłużej, popędziłem konia i przyjechałem, by cię ostrzec, panie. Gdy uciekałem, przeklęty szpon demona zadrasnął mnie w ramię. To cud, że i ja nie zamarłem.

Tu i tam rozległ się sarkastyczny szmer, ale Druvarik milczał, jakby się zastanawiał nad sprawozdaniem Uthana.

— W bitwie wykazałeś się odwagą — mruknął. — Musisz jednak pokazać mi ich ciała, bym mógł osądzić, co się z nimi stało. Książę i ja musimy znać prawdę.

— Raczej ruszyłbym sam przeciw wszystkim rycerzom Aquilonii niż wrócił do tego zagajnika — powiedział rozdygotany Uthan. — Erlik może nie zachować mnie przy życiu, jeśli znów tam pojedę. Nie każ mi tego robić.

— Twoje słowa nie przystają porucznikowi, Uthanie. Albo zaprowadzisz mnie do zabitych, albo zaraz pozbawię cię stopnia!

Uthan pokręcił głową.

Druvarik szybkim, zwinnym ruchem wyjął z pochwy cienki miecz i przeszył nim serce Uthana.

— Zabił cię twój strach, głupcze! Zlekceważyć moje rozkazy znaczy umrzeć — zawołał strącając ciało Uthana z siodła. Kiedy wyrwał z niego ostrze miecza, asshuri leżał już na ziemi i chwycił powietrze.

— Niech demony... zamrożą twoje kości... I zaciagną cię... do piekła... — panie — wydusił z siebie ochryplym głosem Uthan, plując przy tym krwią. To były jego ostatnie słowa.

— Tak ginie głupiec — mruknął Druvarik strząsając krew z ostrza. Wyprostował się w siodle i obrócił konia, by spojrzeć w twarz pozostałych. — Trupy mogą poczekać. Jutro, za

dnia, pojedziemy poszukać ciał naszych zabitych braci. Ale dziś wieczorem będziemy na dworze mojego ojca oblewać winem zwycięstwo nad Reydnem! — Wypowiedział te słowa ze skierowanym ku niebu mieczem.

— Zwycięstwo! — krzyknął Deverro unosząc do góry swój miecz. Najwyraźniej nie przejmował się śmiercią kolegi.

— Zwycięstwo, zwycięstwo! — wrzasnęli pozostali, naśladując gest Druvarika.

Kiedy wznosili wiwaty, otworzyła się brama. Wyjechał z niej wysoki mężczyzna siedzący na ogromnym karym ogierze. Jego biała opończa, podobnie jak reszta rynsztunku, nosiła ślady kurzu i błota. Złote nity w kaftanie i skórzane, lakierowane czarne buty błyszcząły w świetle zachodzącego słońca. Na rękojeści wielkiego, długiego na półtora ramienia miecza mieniły się szlachetne kamienie. Gęste szpakowate włosy wystawały spod wysadzanego szlachetnymi kamieniami, połączanego nakrycia głowy, które bardziej przypominało koronę niż hełm. Na rękach miał wybijane złotymi nitami rękawice. W jednej dłoni trzymał lejce, a drugą głaskał się po siwej brodzie.

— Książę Balvadek! — wyjąkał oszołomiony Druvarik.

— Witaj w domu, mój młody bracie — powiedział książę, podjeżdżając do przodu. Pot i błoto na bokach wspaniałego konia nie pozbawiły go okazałego wyglądu. — Tak, przyjechałem do mojego brata, by uczcić z nim pierwsze z wielu zwycięstw, jakie odniesiemy w wojnie z Ghazą. A jutro — dodał podjeżdżając do Conana — urządzimy sobie zabawę z tym barbarzyńcą. Zbyt długo podły morderca mężów moich córek unikał kary. — Zatrzymał się przed Cymmerianinem. Energicznym ruchem nogi wyjął ze strzemienia ciężki but i kopnął, mierząc w szczękę Conana.

Cymmerianin odwrócił głowę przyjmując kopnięcie w policzek. Siłował się z krępującymi go pętami, ale więzy były założone w ten sposób, że z każdym szarpnięciem zaciskały się coraz bardziej. Gruby sznur wbił mu się w nadgarstki, po dłoniach pociekły strugi krwi. Krew spływała mu również z rany na policzku, ale on się tym nie przejmował. Jego oczy płonęły z wściekłości.

— Tchórzliwy durniu — wychrypiał. — Rozetnij mi więzy i walcz ze mną.

Rozległ się brzęk metalu. Balvadek wyjął z połączanej pochwy miecz. Mimo że nie był już młody, siły go nie opuściły. Trzymał ogromny miecz tylko w jednej ręce. Przyłożył ostrze do gardła Conana.

— Ktoś, kto pewnego dnia zostanie koronowany na króla wszystkich ziem shemickich, nie splami ostrza swego zacnego miecza krwią pospolitej świni. — Powiedziawszy to, z zamachem schował miecz do pochwy.

Conan, choć umierał z pragnienia, zebrał resztki śliny, podniósł głowę i plunął Balvadekowi w twarz.

— Ty ścierwo! — wrzasnął książę. Startł ślinę z brody i znów dobył miecza. Wziął zamach i ostrze opadało łukiem w dół, dokładnie na szyję Conana.

Miecz zmienił kierunek, zanim jego krawędź dotknęła ciała.

Balvadek wypuścił lejce i chwycił się za gardło. Krztusząc się opadł do przodu. Zanim spadł z siodła i znieruchomiał, przeciągnął ręką po twarzy Conana.

Barbarzyńcy włosy stanęły na głowie. Skóra księcia była sucha i zimna jak śniegi Cymmerii. Nadeszły demony, o których mówił Uthan. Zaczął się szarpać, wśród asshuri rozległy się głosy paniki.

Druvarik zsiadł z konia i podbiegł do poległego brata. Biały płaszcz okrywał Balvadeka niczym całun.

Deverro niespokojnie wiercił się w siodle.

— I co, kapitanie. Czy książę nie żyje?

Druvarik ukląkł obok ciała. Nie zdążył nawet zbadać księcia, kiedy wydał pełen bólu i zaskoczenia okrzyk. Spod jego brody trysnęła na biały płaszcz Balvadeka fontanna krwi.

Kapitan bez słowa przewrócił się na ciało brata. Przez krótką chwilę ścisnął w palcach płaszcz, ale zaraz krwotok nagle ustał i Druvarik zastygł w bezruchu.

Conan spojrział w dół na skręcone ciało Balvadeka. Druvarik odsunął na bok płaszcz księcia i odsłonił jego szyję, w której tkwił metalowy przedmiot. Czy demon potrzebowałby takich rzeczy? Dzięki temu odkryciu opuścił go strach przed duchami. Jego zdaniem to raczej człowiek zabił księcia — ukryty w jabłoniach łucznic albo dysponujący silnym i niewiarygodnie celnym rzutem nożownik. Czy ten sam zabójca mógł sprzątnąć Druvarika? Nie, to była dziwna śmierć. Jego zabiła czarna magia. Ta myśl doprowadzała Conana do szału. Przeklinał swoją bezradność. Przywiązany do konia nic nie mógł zrobić.

— Aaj! — krzyknął Deverro. — Teraz zginął kapitan. Demon Uthana dosięgnie nas wszystkich! Ratujcie się. Niech każdy ucieka, gdzie może!

Wybuchły okrzyki paniki. Część Shemitów pojechała za Deverrem do wsi, inni odwrócili się i pędzili galopem drogą, którą właśnie przyjechali.

— Twoje ciężkie ciało będzie mi tylko przeszkadzać — warknął wojownik siedzący w siodle, do którego uwiązany był Conan. — Niech sępy tutaj zeżrą twojego trupa. Cymmerianin szarpał się jak opętany, bo sztylet Shemity zbliżał się do jego gardła. Był jednak związany zbyt ciasno i nie mógł odsunąć się przed ciosem.

I znów ostrze jego niedoszłego zabójcy nawet go nie zadrasnęło.

Sztylet wypadł asshuri z dłoni, jego rękojeść uderzyła Conana w ramię, ale nie wyrządziła mu żadnej krzywdy. Kątem oka Conan zauważył niewielki, ledwie dostrzegalny ruch. Asshuri wrzasnęła, patrząc ze zdziwieniem na ociekającą krwią rękę. Cienki metalowy dysk rozciął mu ciało między kciukiem a palcem wskazującym i wbił się w kość. Drugi pocisk zniknął mu pod brodą, rozcinając gardło. Shemita uniósł na chwilę zaszkłone oczy i zwałił się na Conana. Upadł twarzą dokładnie między łopatki Cymmerianina.

Conan warczał, kiedy krew Shemity przesiąkała przez przetartą skórzaną kamizelkę i jej ciepłe strumienie spływały mu po plecach. Dysk był wystarczająco ostry, żeby przeciąć kość...

Poruszył nadgarstkami, spróbował na wycucie znaleźć rękę asshuri. Kciukiem trafił na miecz i ustawił nadgarstki w odpowiedniej pozycji. Chociaż jego przedramiona i palce krwawiły od tuzinów głębokich skaleczeń, w końcu udało mu się przeciąć sznur krępujący mu ręce. Uwolnił je od więzów i zepchnął z siebie trupa asshuri.

Dobrze wyćwiczony koń tupał nerwowo, ale cały czas stał w tym samym miejscu. Conan sięgnął skrwawionymi palcami do klamer przy siodle. Moment później jego nogi też były wolne. Czuł się całkiem zdrętwiały, ale dosiadł wygodnie konia, wyprostował plecy i zaczął obserwować drzewa tam, gdzie wcześniej zauważył jakiś ruch. Dlaczego ów napastnik go ocalał? Cymmerianin nie sądził, by była to sprawka Reydnua. Żaden Shemita nie okazałby się na tyle zręczny.

Na miejscu pozostały jedynie leżące na drodze trupy asshuri. Brama do Saridis zamknęła się z trzaskiem, w czasie, gdy Conan uwalniał się od sznura. Po Sivitrii nie było śladu.

— Pokaż się, na Croma! — huknął w kierunku drzew. W szarówce zmierzchu mógł dostrzec tylko falujące liście i ocienione konary.

Mamrocząc litanie przekleństw, w których wspominał o bogach z najróżniejszych stron świata, Conan zsiadł z konia i utykając podszedł do ciała Balvadeka. Chciał zobaczyć z bliska, co to za przedmiot wystawał mu z szyi. Niepokoiły go niesamowite okoliczności jego śmierci. Ponadto uznał, że księciu nie będzie już potrzebny wielki, inkrustowany klejnotami oręż. Cymmerianin pochylił się nad trupem, okrwawionymi palcami ujął rękojeść i sprawdził wyważenie miecza.

Jednocześnie przez cały czas ukradkiem obserwował drzewa. Coraz bardziej nabierał przekonania, że ten ktoś — albo coś — kto załatwił asshuri nie chciał, by jemu stała się krzywda. Ale motywy, jakimi kierował się ów niewidzialny dobroczyńca, były dla niego mętne jak khitajskie bagno. Najbardziej irytowało Conana to, że nie wyczuwał tam niczyjej obecności. Jego wyostrzone zmysły ostrzegłyby go nawet, gdyby wśród drzew czaiła się najcichsza pantera. On jednak nie czuł nic, nawet nie omiatał go niczyj wzrok.

Wcisnął stopę pod ciało księcia, przekreślił go na plecy i przyjrzał się jego szyi. Z gardła wystawała piękna, misternie wykonana ze szlachetnego metalu rękojeść. Zafascynowany, uklękł i przymierzał się do wyjęcia tego wspaniałego noża. Sztynne zwłoki wciąż były nienaturalnie chłodne.

— Stój — nie dotykaj! — rozległ się ostrzegający krzyk w języku argosańskim.

Mężczyzna odziany w ciemne szaty koloru indygo wyskoczył zza grubego pnia i pędził w kierunku klęczącego Conana.

Na Croma! Sprytem i szybkością, z jaką nieznamy podszedł Conana, nie pochwaliby się nawet meruvijski lew górski. Cymmerianin wyczuł niemal namacalną woń niebezpieczeństwa. Natychmiast stanął w rozkroku i, szykując się do walki, wymachiwał mieczem. Nie cofnął się od ciała księcia. Nieznajomy będzie musiał stanąć przed Conanem i odpowiedzieć na kilka pytań, zanim Cymmerianin pozwoli mu wyrwać sztylet z gardła Balvadeka.

— Unieś swój miecz, jeśli musisz — powiedział mężczyzna. Jego głos przypominał szelest wysuszonych liści. Zatrzymał się o kilka kroków przed Conanem. Mimo sprinterskiego biegu nie stracił oddechu. — Podnieś go na tego, kto uwolnił cię od tych świri. Byłbyś barbarzyńcą, gdybyś tak odpłacił mi się za to, co dla ciebie zrobiłem.

— Jeśli twoim celem było uratowanie mnie, to jestem ci dłużny życie — odrzekł Conan. Przez cały czas nie spuszczał wzroku z ukrytej pod kapturem twarzy. — Chcę poznać twoje

imię i dowiedzieć się, co cię tutaj sprowadza. Przysięgam na Croma, pana Wielkiej Góry, że uderzę cię tylko w samoobronie.

— Crom? W takim razie jesteś Cymmerianinem. Ponoć tylko ludy zamieszkujące zamarznięte wzgórza czczą Croma. Od razu poznałem, że nie jesteś Shemitą ani Argosańczykiem — chociaż masz na sobie argosański strój. Wiedz więc, że nazywam się Toj. Opowiadanie o przyczynach mojej obecności w tym miejscu zajęłoby więcej czasu niż obaj mamy. Asshuri myślą, że jestem okrutnym demonem. Powinniśmy uciekać, zanim zorientują się, że to nieprawda. Przybyłem tu, by się zemścić, zabić tego... splunął na zwłoki Balva deka — robaczywego śmiecia. — Splunął raz jeszcze i wymamrotał coś, co według rozeznania Conana było najbardziej obraźliwym ze wszystkich argosańskich przekleństw. Nawet najwulgarniejsi spośród załogi „Jastrzębia”, chociaż nie przebierali w bluźnierstwach, ten epitet mieli tylko na specjalne okazje.

— Nie ma czasu — zgodził się Conan, ale nie odszedł od ciała Balvadeka. W jego głowie zrodziły się dziwne podejrzenia. — Toj powiedz mi, czy masz coś wspólnego z czarną magią? Zdaje mi się, że ostrze twojego sztyletu jest groźniejsze od zwykłej białej broni...

— Och tak, to nie jest pospolity sztylet, Con... — Toj urwał przygryzając wargę — Cymmerianinie. — Spoglądał nerwowo na okrutną twarz Conana i wystającą z grubej szyi Balvadeka rękojeść sztyletu. — Nasycono go najgroźniejszymi zaklęciami. Nie dotykaj ostrza, bo padniesz martwy obok tej parszywej kupy mięsa. Dowiedziałem się o działaniu Czerwonej Żmii od czarnoksiężnika z Pelishtii. Każdego, kto jej dotknie, czeka śmierć przez zamarznięcie.

Conan zachmurzył się i napiął mięśnie. Nie zdążył jeszcze wypowiedzieć swego imienia, a obcy już wiedział, kim jest. I jeśli ten Toj był Argosańczykiem, to Conan był Piktem! W jego niemal nienagannej argosańszczyźnie ledwie dało się wyczuć turański akcent. Conan nie zauważyłby tego, gdyby nie przebywał ostatnio wśród argosańskiej załogi. Ale dlaczego Turańczyk miałby bronić go przed Balvadekiem? Tak jak twarz nieznajomego, również jego motywy kryły się w cieniu tajemnicy.

— Dlaczego ty — Argosańczyk — chciałeś śmierci Balvadeka? — dopytywał się Conan.

— Dla zemsty... I złota — spokojnie odpowiedział Toj. Podszedł bliżej. — Ten śmieć podczas jednej ze swych wypraw zabił mojego ojca. Mój brat — który z czarował sztylet — zaofiarował nasze usługi księciu Reydnui. Książę jest rozsądnym człowiekiem i zgodził się hojnie nas wynagrodzić za oczyszczenie Shemu z tej zakały. — Znów splunął.

Conan umyślnie opuścił ostrze miecza i spojrzał w bok. Zachęcony tym Toj podszedł jeszcze bliżej. Następnie pochylił się i szybciej niż spadający z nieba jastrząb pokonał odległość, jaka dzieliła go od Balvadeka. Wtedy Conan jednocześnie chwycił Toja za ubranie i wymierzył rękojeść miecza w jego czaszkę. Ale nie docenił szybkości kryjącego się pod błękitnymi szatami nieznajomego. Gładka tkanina wyśliznęła mu się z palców, a miecz trafił tylko w powietrze. Toj odzyskał swój sztylet, przetoczył się na bok i poderwał na równe nogi. Nawet na chwilę nie stracił panowania nad swoim ciałem.

Na Croma, znowu! Cyrkowy akrobata mógłby pozazdrościć Tojowi zręczności. Ale Conan miał jeszcze inne sztuczki w zanadrzu. Udał, że kuleje na prawą nogę i w tym samym kierunku zwrócił ramiona. Mistrzowie walki wręcz często uczyli swych podopiecznych, by obserwowali barki przeciwnika. Ich ruchy zdradzały zamiary wroga. Toj chwycił przynętę i chowając pod szatami sztylet, przesunął się w lewo.

Cymmerianin skoczył do przodu i wykonał obrót, wyciągając przy tym przed siebie lewą nogę. Toj trafiony dokładnie w środek tułowia, upadł na ziemię. Conanowi od uderzenia trzasnęły niczym nie osłonięte palce u nogi. Mięśnie Toja były twarde jak stalowy pancerz. Upadając, chwycił stopę Conana, wbił kciuk w ranę koło kostki, a następnie szybko go wyjął. Cymmerianin poczuł, jak drętwieje mu cała noga. Z trudem wyrwał ją z uścisku Toja. Pałący ból rozchodził się ze stopy aż po udo. Podskakując niezdarnie na jednej nodze odsunął się od przeciwnika. Toj sprężystym ruchem wybił się z pleców na ugięte w kolanach nogi i zaatakował Conana. Jego pięty tłukły o żebra Cymmerianina, wystarczyło jedno uderzenie pięścią w ramię, by Conan upuścił miecz.

Cymmerianin zachwiał się i przeklinając, upadł na kolana. Wczorajsza mordercza walka i dzisiejsza dobijająca podróż odcisnęły na nim swe piętno. Niełatwo było pokonać tego przebiegłego Turańczyka. Conan zbierał siły do następnego ataku.

W starciu Tojowi spadł z głowy kaptur. Pokryta bliznami twarz przeraziła Conana.

Poderwał się szybko na nogi i cofnął do tyłu. Oblicze Toja było blade i wymizerowane, ale wąskie, czarne oczy błyszczały drapieźnie. Połowę małego, płaskiego nosa stracił dawno temu; blizna ciągnęła się przez policzek do krawędzi kości szczękowej. Wąskie usta przywodziły na myśl bezwzględność, czoło miał wysokie. Twarz Toja była jednocześnie

wstrętna i przerażająca. Spojrzał na Conana wzrokiem pełnym pogardy. — Ty tępy Cymmerianinie! Czyżbyś miał w głowie tylko grudę ziemi? Nie szukam z tobą zwady. Gdyby było inaczej, już byś się spotkał ze swoim Cromem. Taki ślamazarny, obrośnięty mięśniami błazen jak ty jest wobec mnie bezradny niczym dziecko.

Zanim narzucił na głowę kaptur, Conan dostrzegł dziwną bliznę, a może zwyrodnienie.

Lewe ucho Toja było przecięte od środka do krawędzi małżowiny. Trzy kółka z polerowanego srebra albo podobnego metalu, łączyły ze sobą obydwie jego części.

— Ból, który teraz odczuwasz, niedługo ustanie. Skorzystaj z mojej rady i szybko stąd uciekaj. Nie zatrzymuj się we wsi. Reyndu ostrzegł mnie, że stacjonuje tam duży oddział wiernych Balvadekowi asshuri. Idź swoją drogą, gdziekolwiek ona prowadzi. Ja ruszam do Pelishtii i zabieram ze sobą to. — Nagle w jego ręce znalazł się długi, zakrzywiony nóż. Nie był to zaczarowany sztylet. Pochylił się nad ciałem księcia i dwoma szybkimi ruchami odciął mu głowę. Następnie wyciął z białego płaszcza Balvadeka kawałek materiału, owinał w niego swoje okropne trofeum, związał końce i zarzucił sobie zawiniątko na ramię.

Conan czuł, jak ze ścierpiętej nogi powoli ustępuje ból, ale nie ufał jej mięśniom na tyle, by przenieść na nią ciężar ciała. Ukląkł i patrzył na Toja. Jego niebieskie źrenice płonęły jak u złapanego w potrzask wilka.

Turańczyk biegał od zwłok do zwłok i wydobywał z ciał poległych swoje zębate metalowe dyski. Niektóre utknęły tak głęboko, że musiał je wycinać, co zresztą robił z precyzją doświadczonego rzeźnika. Wytarł ociekające krwią ręce w tunikę jednego z asshuri i popatrzył na Conana, którego rozpieęła złość.

— Chciałoby się powiedzieć, że dobrze było cię spotkać, przyjacielu, ale kłamstwo nie byłoby najlepszym pożegnaniem. Być może następnym razem spotkamy się jako wrogowie, człowieku z Cymmerii.

Odwrócił się i zniknął między drzewami. Odszedł cicho jak łagodny powiew wiatru, który nie porusza nawet jednego liścia. Conana przechodziły ciarki, kiedy patrzył, z jaką zwinnością porusza się tajemniczy Turańczyk.

Conan powstał z jękiem, bo palący ból w nodze był jeszcze bardzo silny. Podniósł miecz i z bezgłowego tułowia księcia zdjął pas, z uwiązaną przy nim sakiewką. Jej zawartość bez wątplenia przyda się w następnej wsi. To znaczy w najbliższej poza dominium świętej pamięci księcia. Cymmerianin nie potrzebował rad Toja. Sam dobrze wiedział, że musi szybko uciekać z Saridis. Pokręcił głową, dręczyło go, że Turańczyk tak łatwo go pokonał. Ale ten człowiek miał kontakty z czarownikami, a tylko głupiec świadomie podejmuje walkę z magami. Jednak przeanalizuje niedawne wydarzenia później, gdy w jego głowie ustanie potężne jak bicie dzwonu dudnienie.

Kuśtykając ku drzewom, zastanawiał się, co się stało z Sivitrią. Jej motywy były równie tajemnicze jak te, którymi kierował się Toj. Na Croma, ta niewinna wyprawa po skarb stawała się coraz bardziej skomplikowana. Conan przeklinał siłę, która wyciągnęła go z pełnej uciech Messancji i kazała szukać skarbu, jakikolwiek by on był, we wskazanym na mapie miejscu. Chociaż w głowie mieszały mu się różne myśli, Conan nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wszystkie kłopoty, jakie go spotkały, spowodowane są jego poszukiwaniami. Z planów wykorzystania mapy zwierzył się tylko Rulwiowi... A znał swojego oficera na tyle, że mógł być pewny jego lojalności. Czy coś łączyło sprytny plan Sivitrii i niewytłumaczalną — choć dla niego zbawienną — interwencję Toja? Teraz zapragnął jeszcze mocniej odkryć tajemniczy skarb Mosiężnego Miasta.

Usłyszał, jak za nim skrzypią wielkie zawiasy. Otwierają bramę! — Oby ręka Seta dosięgła tych Shemitów — wymamrotał. Utykając zbliżał się do drzew.

— Stój! — rozkazał cienki, znajomy głos Sivitria!

Jakby dla podkreślenia rozkazu zabręczała cięciwa i w ziemię przed nogami Conana wbiła się strzała. Nie mając czucia w jednej nodze był zbyt wolny, by ryzykować sprinterski bieg i szukać ukrycia wśród gałęzi i listowia jabłoni. Odwrócił się więc twarzą w stronę, skąd padł rozkaz i stanął z mieczem gotowym do walki.

Wrota otworzyły się do końca i wyszła z nich Sivitria.

Za nią szedł niski, otyły mężczyzna. Niedopasowana, sięgająca poniżej kolan, obszyta złotem tunika okrywała jego wielki brzuch. Na wrzecionowatych łydkach miał pończochy. Obok niego podążało czterech łuczników — dwóch po każdej stronie, z łukami gotowymi do strzału.

— Uspokój się — powiedziała Sivitria i dumnie ruszyła w jego kierunku. Conan zauważył, że miała na sobie nowe ubranie: czarną w czerwone paski tunikę z welwetu i skórzane spodnie, które ciasno przylegały do jej gibkich kształtów.

— Na Croma, kobieto! Co, do Dziewięciu Piekieł Zandru... — Przełknął ślinę. W gardle

mu zaschło na widok obfitych wdzięków, odsłoniętych przez głęboki dekollet.

— Trzymaj język za zębami i schowaj miecz. — Znów mówiła władcym tonem, nawet jeszcze bardziej wyniosłym. — A może powinnam powiedzieć miecz świętej pamięci księcia, niech Erlik smaży jego duszę. Nie martw się, możesz go sobie zatrzymać — zaprawdę, zasłużyłeś na niego.

Otyły mężczyzna odchrząknął.

— Wszyscy się cieszymy, że nasz ciemiężyciel nie żyje — powiedział melodyjnym choć nerwowym głosem. — Ja, Narsur, burmistrz Saridis, witam cię w imieniu mych ludzi.

— Co się stało z asshuri? — ostro zapytał Conan.

— Ci, którzy nie wyrzekli się ciemiężyciela, zbiegli lub zginęli — wyjaśnił Narsur. — Pozostali nie robią ci krzywdy... bez powodu. Odłóż oręż i bądź naszym honorowym gościem. Saridis znów jest wolnym miastem, bezpiecznym dla podróżnych i kupców — dodał zacierając ręce. — Ale wielu wspominało o demonie. Ta bestia kręci się jeszcze po okolicy. A może ją zabiłeś?

Conan wzruszył ramionami i schował miecz.

— To, co widziałem, nie było demonem. — Zbliżył się nonszalancko do Sivitrii. Wiedział, że jeśli Narsur zamierza go zabić, to strzały i tak przesyją jego brzuch. Umierał z ciekawości, w jaki sposób Sivitria wkupiła się w łaski tego starego kozła.

— Nie nazywaj mnie Sivitrią — szepnęła kobieta, kiedy się do niej zbliżył. — W Saridis jestem znana jako Zeganna. Wyjaśnię ci to później, w osobistej jadalni świętej pamięci księcia — z dala od wścibskich oczu i nasłuchujących uszu Narsura.

Conan pokiwał głową i razem ruszyli w kierunku burmistrza. Jeśli mógł zaspokoić swoją ciekawość, jednocześnie gasząc pragnienie i jedząc do syta, to jeszcze lepiej.

— Opowiedz, Zeganno — zażądał poirytowany — jak uwolniłeś się od asshuri?

— Zdaje się, że bunt zaczął tutaj dojrzewać wkrótce po tym, jak asshuri Balvadeka zdobyli miasto. Narsur powiedział mi, że książę, zaniepokojony pogłoskami o zamieszkach w okolicy, przyjechał tu osobiście. Stąd jego dzisiejsza obecność. Gdyby nie zginął przed bramą, dziś w nocy zabiliby go ludzie Narsura. — Obejrzała się na zwłoki księcia. — To ty obciąłeś mu głowę?

— Nie — szorstko odparł Conan. — Demon Uthana — chociaż naprawdę to człowiek z krwi i kości — wyświadczył nam tę przysługę.

— Jaki człowiek?

— Powiedział, że nazywa się Toj, jednak wątpię...

— Toj? Czy to Turańczyk? Miał na uchu dziwną bliznę? — płacząco dopytywała się Sivitria.

— Tak — na pierwsze i na drugie — odpowiedział Conan. Nie podobało mu się, że Sivitria wie o Toju. — Znasz go?

— Słyszałam o nim. — Drżała, choć wczesnowieczorne powietrze było jeszcze ciepłe. — To — szerokim ruchem ręki wskazała na ciała poległych wojowników — wygląda na jego dzieło. Uthan miał więcej racji niż ci się zdaje. Toj ma ciało człowieka, ale w środku jest zimny i okrutny jak demon.

— Zasiał śmierć pośród asshuri — zastanawiał się na głos Conan drapiąc się po brodzie. — Dwa razy uratował mi życie i nie wiem nawet czemu. Próbowałem go zatrzymać, ale nawet węgorz nie jest tak śliski jak on. Kiedy przyszedł tutaj, by zabrać swą dziwną broń, powiedział mi o zemście na Balvadeku.

— Conanie, mamy większe kłopoty niż kiedykolwiek do tej pory. Nie rozmawiajmy już o tym, i nic nie mów Narsurowi!

— Co on ma wspólnego...

— Później! — szepnęła ostro Sivitria. Zbliżyli się do burmistrza.

Narsur ze sztucznym uśmiechem na ustach zwrócił się do Conana:

— Myślę, że nasz szanowny gość zostanie u nas dzień albo dwa? Zapewne ciemniejsza oderwał cię od pilnych spraw, do których ci spieszo. — Ton, jakim to powiedział wyraźnie dawał do zrozumienia, że im szybciej Conan stąd wyjedzie, tym lepiej.

— Przygotuj dla nas dwa najlepsze asshuryjskie konie — i prowiant na siedem dni.

Wyjadę z Conanem jutro o świcie — szorstko rozkazała Narsurowi Sivitria.

— Jak sobie życzysz, pani Zeganno. — Narsur natychmiast przekazał tę sprawę jednemu ze swych łuczników. Mężczyzna skinął głową i szybkim krokiem poszedł za bramę. — Życzysz sobie czegoś jeszcze, pani?

— Tak — prywatności — warknęła Sivitria. — Czy stół w Ametystowej Komnacie jest już zastawiony tak, jak rozkazałam? Ma się na nim znaleźć wino z pałacowych piwnic!

— Moi osobiści służący dopilnowali tego. Wszystko jest przygotowane — obrażonym

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

głosem odpowiedział burmistrz. Odwrócił się i odszedł, a za nim podążyli łucznicy. Conan był ciekaw, co dokładnie zostało przygotowane i czy chodziło tylko o kolację. — Siedem dni? — fuknął. — Na Croma, nie będę z tobą jechał nawet przez jeden! Nie jestem twoim psem, pani Zeganno, i nie będziesz mnie ciągnąć za sobą jak na smyczy. Conan robi tylko to, co chce. Dzisiaj mam ochotę ucztować z tobą, a jutro wezmę swojego konia, swój prowiant i uwolnię się od ciebie oraz twoich intryg.

Od wyrazu twarzy Sivitrii skwaśniałoby nawet świeże mleko. Spojrzała mu w oczy i powiedziała cicho:

— Przecież jedziesz do Mosiężnego Miasta. Jego ruiny spoczywają niczym przykryty piaskiem gigant o trzy dni jazdy stąd. Trzy dni na dotarcie tam, jeden na odnalezienie skarbu i trzy na powrót, razem siedem.

Conan chwycił rękojeść swego miecza i ścisnął ją, aż mu palce pobieleły.

— Na brodę Bela, ty dziewczko! To nie twoja sprawa, gdzie ja pojedę. I nic nie wiem o Mosiężnym Mieście.

— Masz szczęście, że potrafisz walczyć dużo lepiej niż kłamać — zakpiła SMtria uśmiechając się lekko. — Rozmawiałeś o Mosiężnym Mieście z Rulviem, kiedy piłeś z nim w Messancji. Uśmiechnęła się szerzej, bo na twarzy Conana pojawiło się zaskoczenie. — O tak, słyszałam każde twoje słowo, w tej norze, gdzie zbierają się szczury okrętowe. W Messancji jestem znana wielu ludziom jako Rubinia, zwykła dziewczka z gospody.

Conan parsknął, gdy wywołała z jego pamięci obraz Rubinii. Najlepiej pamiętał jej piękne, pełne piersi i wspaniałą tyłek. Z większym trudem przypomniał sobie ładną twarz i wystające kości policzkowe... ale największe podobieństwo widział w oczach. Żrenice zmieniały kolor wraz ze zmianą jej nastroju. Raz były jasnoniebieskie jak Morze Południowe w bezchmurny letni dzień, kiedy indziej czysto zielone i błyszczące jak szmaragdy w skarbcu, kiedy pada na nie światło pochodni. A jasne pukle Sivitrii, jeśli by je ufarbować na czarno i inaczej uczesać, pasowałyby do hebanowoczarnych warkoczy Rubinii. Tak, jeśli nie były jedną i tą samą osobą, to czy możliwe, by były bliźniaczkami?

Sivitria nie mówiła już nic więcej, ale jej pełne samozadowolenia spojrzenie nie pomagało Conanowi odzyskać dobrego humoru. Przeszli przez bramę i skierowali się ku centrum osady. Od wydarzeń ostatnich dni Conanowi kręciło się w głowie. Nie silił się na rozmowę, a ona z zadowoleniem pozostawiła go jego myślom.

Toj wyrzucił okropny, owinięty materiałem tobolek, w którym była głowa Balvadeka. Miał nadzieję, że Conan uwierzył w jego historię. To nieprzewidziane spotkanie było konieczne i nie wyszło najlepiej. Do tej pory Toj dokładał wszelkich starań, by utrzymać swoją obecność w tajemnicy. Wszystkiemu winna była ta kobieta. Gdyby nie ona, Conan byłby już w Nithii. Nadszedł czas, by ją wyeliminować. Ale musi to zrobić tak, żeby Conan niczego nie podejrzewał. Nie chciał, aby jej śmierć jeszcze bardziej opóźniła wyprawę. Najlepsza byłaby wolno działająca trucizna, taka, co wywołuje objawy zarazy. Na wprowadzenie jej do organizmu trzeba sporo czasu, ale właśnie nadarzała się doskonała okazja, żeby ją podać bez ryzyka ponownego spotkania z Cymmerianinem. Toj szybko przeszedł przez sad i zbliżył się do muru obronnego otaczającego osadę. Jego nierówna powierzchnia całkowicie wystarczała do powstrzymania obciążonego uzbrojeniem żołnierza, ale było w niej dość szczelin, by zamachowiec mógł się bez trudu wspiąć.

Ze szczytu fortyfikacji zobaczył Narsura, który szybkim krokiem zmierzał do stojącego w centrum osady pałacu. Toj znał tego małego, skorumpowanego dostojnika. Kiedyś Narsur zapłacił cechowi zamboulońskich Assasynów sporą sumkę za zlikwidowanie swego rywala. Odczekał, aż ulica będzie pusta, ześliznął się po wewnętrznej ścianie umocnienia i pośpieszył na spotkanie z burmistrzem. Chwilę później wyszedł z cienia i stanął przed swym dawnym znajomym.

Zaskoczony Narsur odskoczył do tyłu.

— Ee? Toj — co, ee, co ty tutaj robisz?

— Chcę cię tylko prosić o drobną przysługę, i zaraz ruszam do Zambouli — odparł zamachowiec. — Prosta rzecz. — Zaczął obszukiwać zakamarki swoich szat. Wyjął szmacyany woreczek i glinianą fiolkę. Z woreczka wydobyl dwa małe kryształki, jeden był ciemnoczerwony a drugi bezbarwny. Z fiolki wycodził kroplę cieczo., która natychmiast wsiąkała w kryształki. Następnie schował je do woreczka i wyciągnął rękę.

Narsur spoglądał podejrzliwie.

— Jakiej pomocy potrzebujesz?

— Czy kobieta, która jest z Cymmerianinem prosiła cię, żebyś przygotował jedzenie i wino? Jeśli się nie mylę, to na jutro potrzebuje koni oraz prowiantu.

Pękaty Shemita spochmurniał.

— Tak, chciała, by przygotować stół. Znasz ją?

— Pewnie. Myślisz, że nie wiem, co robię?

— Na Erlika, chcesz żebym...

— Żebyś oszczędził sobie długiej i bolesnej śmierci. — Twarz Toja stała się jeszcze groźniejsza. — To mała przysługa. Jeśli się wywiążesz z zadania, nie poniesiesz żadnych konsekwencji. Ale spróbuj mnie okpić, a umrzesz w męczarniach jeszcze przed wschodem słońca.

Narsur przełknął ślinę i zgarbił się.

— Powiedz, co mam robić.

Toj położył woreczek na wyciągniętej dłoni Shemity. Wreszcie skończą się kłopoty z tą wścibską kobietą.

XII

AMETYSTOWA KOMNATA

Otoczone murem Saridis przypominało inne większe shemickie osady z regionu, gdzie główny produkt gospodarki stanowiło wino. Osobliwością był sam mur, jego budowa musiała znacznie uszczuplić skarbiec Balvadeka. Kamienna bariera otaczała rozległe osiedle. Nie było w nim okazałych domów, nie licząc oczywiście stojącej w centrum cytadeli i otaczających ją budynków. Po obu stronach szerokiej drogi ciągnął się gęszcz drewnianych chat i niewielkich, chyłących się ku ziemi domków z kamienia. Na dość sporym odcinku za bramą, przy drodze nie było gospod ani sklepów.

Conan i Sivitria zbliżali się do cytadeli. Cymmerianin zauważył po drodze słupy podtrzymujące namioty i wydeptaną trawę. Tam właśnie odbywał się handel. Kolejny wyrobione przez przyjeżdżające na targ wozy prowadziły na drugą stronę osady. Po wschodzie słońca kupcy wyładowywali przywiezione towary i wykładali je w cieniu ustawionych w rzędy daszków. Shemici i cudzoziemcy, mówiąc tuzinem języków, nieraz godzinami targowali się o kilka brązowych monet albo zwykłych miedzaków. Sprzedawano tam i kupowano towary wszelkiego rodzaju: rolnicy przywozili owoce i warzywa, drwale drewno, były też artykuły metalowe — od żelaznych garnków począwszy, na stalowej broni skończywszy. Conan wątpił, by wartość wszystkich zawieranych tu transakcji równała się nawet jednej dziesiątej obrotów w handlu winem.

Ze stojącego naprzeciw nich pawilonu do ucha Cymmerianina dobiegła wesoła muzyka i śmiechy hucznie bawiących się ludzi. Przed nimi były tawerny i winiarnie, w których mieszkańcy Saridis — kupcy pospołu z robotnikami — świętowali zrzucenie balvadeckiego jarzma. Biorący udział w festynie bawili się na prowadzącej od cytadeli drodze, która w tym miejscu była już znacznie węższa. Czarnowłose ulicznice o spojrzenu sarny, nie mające na sobie nic prócz skąpych staników i kolorowych, wąskich przepasek na biodrach, przechadzały się dumnie między hałaśliwymi biesiadnikami, kusząc ich swoimi obfitymi wdziękami. Mężczyźni z beczkami na plecach sprzedawali wino i piwo własnej produkcji, każdy po innej cenie; inni dźwigali tace ze słodyczami, których zapach drażnił nozdrza wygłodniałego Conana.

Przepychali się przez tłum. Najwięcej ludzi zebrało się przy grupie muzyków. Grali na piszczalkach i śpiewali dla roześmianej, tańczącej publiczności. Tej strony shemickiego stylu życia Conan raczej nie znał. Zachowanie Shemitów bywało skrajne; potrafili bawić się i walczyć bez opamiętania. Cymmerianin pokręcił głową. W pewnym momencie popchnął go jakiś asshuri. Wojownik uśmiechnął się do Conana, wyłopał zawartość glinianego kufła, beknął i zawołał o więcej. Conan rozpoznał, że to jeden z tych, którzy przywieźli go tutaj. Kiedy minęli ostatnią z załoczonych tawern i wchodzili już w wąską bramę do cytadeli, Conan zauważył kilkudziesięciu asshuri. Byli w pogotowiu bojowym. Siedzieli na swych rumakach i patrzyli na niego ponuro, kiedy wchodził za Sivitrią do wysokiej, kwadratowej baszty. Na dziedzińcu za bramą znajdowało się jeszcze więcej okrytych skózanymi pancerzami wojowników. Oni też nie ukrywali zainteresowania przechodzącą parą. Następne jakiś siwowłosy mężczyzna otworzył im kluczem okute żelazem drzwi. Kiedy Conan i Sivitria wchodzili do głównej sali cytadeli, starzec trzymał drzwi otwarte na oścież. Wielkie gobeliny niemal całkowicie zakrywały ściany wzniesione z ciosanego kamienia. Draperie te w kolorze kości słoniowej, na których barwnymi nićmi wyszyte były zawile wzory, zwisały spod wysokiego sufitu i prawie dotykały podłogi z twardo ubitej ziemi. Na wąskich ławkach, przy porysowanych stołach, siedzieli wojownicy o surowych twarzach i kilka kobiet. Rozmawiali, jedli i pili. Kiedy Conan i Sivitria weszli do środka, w sali

zapanowała dziwna cisza. Wszyscy z ciekawością, ale bez niechęci w oczach, spojrzeli na przybyłą parę. Po chwili kilka osób odwróciło wzrok i zaczęło rozmawiać przyciszonym głosem.

Sivitria nie zwróciła na nich uwagi. Podeszła do najbardziej oddalonej od wejścia ściany i zaczęła wchodzić po schodach. Schody były tak wąskie, że Conan musiał obrócić się plecami do ściany i wchodzić bokiem. Cytadele często były budowane w ten sposób. Utrudniało to atakującemu dostęp do wyższych pięter. Wąskie występy prowadzące do góry nie pozwalały najeźdźcom włączyć do walki wielu wojowników. Za to łucznicy mogli z łatwością ostrzeliwać intruzów, a jeden dobrze władający mieczem wojownik, postawiony u szczytu schodów, był w stanie skutecznie powstrzymać nacierających.

W górnej części cytadeli znajdowały się fortyfikacje innego rodzaju. Schody prowadziły do gardzieli długiego korytarza. Przez wąskie otwory w jego ścianach łucznicy i inni obrońcy mogli siać śmierć pośród najeźdźców. Było tam tylko czworo drzwi, wszystkie zamknięte.

Sivitria szła spokojnie przed siebie i zatrzymała się w połowie długości korytarza, przy wzmocnionym żelazem portalu. Na drzwiach widniał wyrzeźbiony książęcy herb Balvadeka, otoczony wprawionymi w drewno ametystami. Sivitria rozejrzała się dokoła, podeszła do drzwi i nacisnęła jeden z kamieni. Nie zwalniając przycisku, popychała drzwi, dopóki się nie otworzyły na całą szerokość. W ścianie obok węgła słychać było głuchy zgrzyt, jakby obracała się tam wielka, nie nasmarowana śruba.

Conan uważnie przyglądał się, co robi Sivitria. Podejrzewał, że gdyby ktoś tylko popchnął drzwi, nie naciskając ametystu, natychmiast padłby ofiarą jakiejś pułapki. Oszacował wartość klejnotów. Był kapitanem piratów i dobrze znał rynkową wartość takich kamieni szlachetnych. Za wycięty i wypolerowany ametyst tej wielkości w każdym mieście, od Messancji po Aghrapur, można było dostać sporą sakiewkę złotych monet.

— Narsur w swojej uprzejmości pokazał mi, jak to działa — wyjaśniła Sivitria. —

Ametystowa Komnata — dodała, kiedy wchodzili do środka. Jej komentarz był zbyteczny. — Ach! Dotrzymał słowa. Stół jest zastawiony tak obficie, że nawet ty zaspokoisz tu apetyt.

— Zobaczmy — odrzekł Conan. Rozejrzał się po pokoju. Umeblowany był równie skromnie jak sala na dole. Nie było tam nic prócz długiego na półtora wysokości Conana stołu i sześciu krzesel do kompletu. Wyłożone poduszkami siedzenia, podłokietniki i miękkie oparcia zapraszały, by w nich usiąść. W ścianach zakrytych gobelinami stanowiącymi mniejsze wersje tych, które widzieli na dole, nie było okien ani otworów wentylacyjnych. Jak zauważył Conan, wykonane były z tak grubej tkaniny, że tłumiły prawie każdy dźwięk. Na stole stał zdobiony, srebrny świecznik. Paliło się w nim dziewięć świec rzucając blask na gobeliny.

Conan uznał, że to pomieszczenie w pełni nadaje się do prowadzenia tajnych rozmów.

Przyjrzał się podłodze i sufitowi. Wszelkie szczeliny i łączenia kamieni były starannie zaklejone zaprawą murarską.

Sivitria podnosiła gobeliny jeden po drugim i sprawdzała ściany. Odetchnęła z ulgą, kiedy zajrzała za ostatni i opuściła go na miejsce.

— Słyszałam, że jedna z tych ścian jest fałszywa i zawiera niszę, z której można podsłuchiwać, ale jaka jest prawda, wiedzą tylko zmarli. Musimy dokładnie przemyśleć nasz każdy następny ruch, inaczej dopadnie mnie Toj. Co za dziwny zbieg dobrych i złych okoliczności, że spotkałeś go dzisiaj przed bramą miasta. Pojawił się na czas, żeby zapobiec zemście Balvadeka. — Ciężko opadła na krzesło i posępnym wzrokiem spojrzała na półmisek z gotowaną dziczyzną i ziemniakami, grube plastry sera, koszyki z jabłkami i stos kiści winogron. — Jedz do syta, a ja opowiem ci, jak splotły się nasze losy. Nie usiądziesz?

Conan poczęstował się wielkim kawałkiem mięsa, a dopiero potem odpowiedział Sivitrii.

— Myślisz, że uwierzę w następne z twoich kłamstw? — Sięgnął po dzban, do dużego glinianego kubka nalał wina i postawił go przed kobietą. — Masz. Ty pij pierwsza.

Sivitria bez chwili zastanowienia wypita sporą część podanego jej wina, postawiła naczynie na stole i odepchnęła je w stronę Conana.

— Myślisz, że cię otruję? Gdybym chciała twojej śmierci, wystarczyłby mój rozkaz i asshuri zabiliby cię już kilka dni temu, zanim zaaranżowałam moje ocalenie przez ciebie i wspólną ucieczkę z ich obozu. A dzisiaj, gdybym powiedziała Narsurowi choć jedno słowo, jego łucznicy podziurawiliby cię przed bramą.

Conan wypił do dna słodkie, jabłkowe wino, ale gdy zastanowił się nad tym, co przed chwilą, usłyszał zrobiło mu się gorzko w ustach. Na Croma! Nie był przecież kukłą w rękach jakiegoś mężczyzny albo kobiety. Mimo to, nie mógł jej zaprzeczyć. Ugryzł ziemniaka i głośno przeżuwał. Z niecierpliwością czekał na dalsze słowa Sivitrii. Naprzeciw niego siedziała niewątpliwie tajemnicza kobieta.

— Potrzebny mi jesteś żywy, Cymmerianinie — ciągnęła Sivitria. — Bel raczy wiedzieć dlaczego, ale ta, której służę, jest przekonana, że tylko ty możesz odzyskać największy relikwiarz epoki Acheronu, skarb, który teraz spoczywa w zakrytych piaskami ruinach Mosiężnego Miasta.

Conan próbował protestować, ale kobieta szybko go uciszyła.

— Barbarzyńco, nie zaprzeczaj, że go poszukujesz. Czasami jesteś piratem na morzu, czasami złodziejem na lądzie, ale i tak nigdy nie przestajesz myśleć o następnym łupie. Widzisz, wiem co nieco o piratach i złodziejach. Ta, której służę, włada ich największym imperium — imperium, które rozciąga się na dwanaście królestw między Morzem Vilayet a Oceanem Zachodnim, od Aquilonii po Turan, od Iranistanu po Zingarę.

— Jade, cesarzowa łotrów i szumowin z połowy kontynentu — powiedział Conan z ustami pełnymi ziemniaka.

Oczy Sivitrii błysnęły ze złości.

— Już kiedyś cię ostrzegałam i robię to raz jeszcze. Nigdy nie wymawiaj jej imienia. Ja nie robię tego z przyzwyczajenia, choć w tej sali możemy rozmawiać bez obaw, że ktoś nas usłyszy. Ale i tak szargasz jej imię, kiedy wypowiadasz je swymi barbarzyńskimi ustami. Gdyby nie jej rozległe kontakty, pewnie siedzielibyśmy teraz skuci łańcuchami w jakimś lochu. Rozpoznałam Narsura. Jest jednym z jej poważniejszych agentów na Shem. Z tej osady kieruje największą organizacją zajmującą się przemytem wina w krajach hy — boryjskich. Gdy podałam Narsurowi hasło, uznał mnie za członkinię jej Rady Trzech. Powiedział mi, że tolerowała grubiańskie rządy Balvadeka, póki książę nie opróżnił swojego skarbcza i nie wybudował murów obronnych wraz z tą cytadelą. Dzięki temu baza przemytu zyskała fortyfikacje. Narsur zaplanował wybuch rebelii na dzień najazdu na Varhię. Teraz jest burmistrzem warownej fortecy i żaden shemicki król nie odważy się już zaatakować Saridis. A złoto ze sprzedaży kradzionego wina będzie spływać z Shemu do jej skarbcza.

— Jak to możliwe, byś znalazła się w Shemie przede mną, skoro podsłuchiwałaś mnie w tej tawernie? — Conan podniósł do ust kawałek dziczyzny. Ani na chwilę nie spuszczał oczu z twarzy Sivitrii.

— Dla mnie była to bezsenna noc. Kiedy ty awanturowałeś się z innymi pijakami, a rano, śpiąc, trzeźwiałeś po wypitym piwie, ja jechałam, by przygotować grunt.

— Dlaczego? — Conan położył na masywnym blacie zaciśniętą pięść. Ścisnął palce tak mocno, że pobieleły mu stawy.

— Od sześciu lat — w istocie od dnia, w którym po raz pierwszy usłyszała o jego istnieniu — moja pani bezustannie poszukuje tego dawno zaginionego skarbu. Mówi się, że spoczywa on w ruinach Mosiężnego Miasta. Widzisz, kiedy ją spotkałam pierwszy raz, była młoda, może w moim wieku. — Sivitria uśmiechnęła się z tęsknotą. — Przygarnęła mnie i okazała wiele dobroci. Dziś nikt by w to nie uwierzył. — Jej uśmiech zbladł tak szybko, jak się pojawił. — Zajęła miejsce swego zmarłego ojca, który był Mistrzem Cechu Złodziei w Arenjun. Zyskała bogactwo i wpływy. Używając złota w dyplomacji i przebiegłości w walce poszerzała swe panowanie na inne cechy. Mistrzowie, którzy się na to nie godzili, popadali w kłopoty finansowe albo w ciemnościach dostawali sztyletem w plecy; bez skrupułów korzystała z usług zamachowców.

Jej wpływy rosły. Każdy odniesiony sukces przyczyniał się do następnego. A ona pragnęła więcej bogactw i więcej cechów... tyle, by mogła rządzić najpotężniejszymi królami Hyborii. Powiem ci teraz coś, o czym nikt inny nie wie. Zwierzyla mi się, że kiedy nie miała jeszcze osiemnastu wiosen, porwał ją pewien baron... I wziął siłą. Obszedł się z nią okrutnie. Chciał się w ten sposób zemścić na jej ojcu. Oczywiście, ten wieprz został pojmany i spotkała go śmierć, na jaką sobie zasłużył.

Conan krzywił się słuchając makabrycznej opowieści Sivitrii. Słyszał o mistrzu z Arenjun. Był ze wszech miar okrutnym i bezlitosnym człowiekiem. Ponoć nikt nie płakał przy toż sam śmierci tego starego potwora!

— Tak czy inaczej baron umarł, ale jej niechęć do mężczyzn rosła z każdym rokiem.

Pamięć o tym zdarzeniu, a raczej o mężczyźnie, który ją wykorzystał, była jak oliwa dolewana do ognia, którego płomień nigdy nie gasnął. Myślę, że z tego samego powodu chce dominować nad mężczyznami, którzy posiadają władzę; królami, książętami i różnymi innymi.

Jak możesz się domyślać, moja pani ufa tylko kobietom. Ja jestem jedną z jej doradczyń. W skład Rady Trzech wchodzi jeszcze dwie królowe, nie musisz wiedzieć jakich państw, ale ich imiona na pewno by cię zaskoczyły. Moja pani zatrudnia mężczyzn, używa ich jak narzędzi i pozbywa się, kiedy tylko wykonają swoje zadanie. Ty też jesteś przedmiotem w jej ręku, zamierza przejąć od ciebie skarb, którego teraz szukasz. Ale mówię ci, że jednym z jej

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

najdoskonalszych narzędzi jest Toj Akkhari, Mistrz Cechu Assasynów z Zambouli. Nie było jeszcze mordercy, którego krew byłaby zimniejsza, a sztylet szybszy.

— Na Erlika, chyba zaczęłaś mówić prawdę — powiedział Conan kiwając głową. Ten osłonięty szatami akrobata tańczył wokół niego, jakby Cymmerianin był z kamienia, a niewielu ludzi mogło tego dokonać.

Sivitria sięgnęła po kubek z winem. Kiedy piła, drżała jej ręka.

— Conanie, moja pani może domyślać się, że ją zdradziłam. Pewnie wysłała Toja, żeby mnie zabił.

— Zdradzasz? Na Croma, kobieto! Czy chcesz obalić Jade? Sivitria zbladła na twarzy. Kiedy stawiała kubek na stole, wylało się z niego wino.

— Na matkę Mitry, nigdy! Kocham ją, Conanie, jak jedna siostra może kochać drugą. — Powiedziawszy to, wybuchnęła płaczem. Zakryła twarz dłońmi i zawstydzona odwróciła się plecami.

Przez chwilę trwała niezręczna cisza. Conan podsunął jej kubek z winem.

— Napij się, Sivitrio, to cię uspokoi. Może jestem większym głupcem niż wiejski idiota, ale od tej pory wierzę we wszystko, co mówisz. Dokończ swą opowieści, jeśli możesz. Odetchnęła głęboko i przetarła oczy.

— Moja wyprawa, choć zdradliwa, podyktowana jest miłością. Chcę, uchronić moją panią przed nią samą, nawet jeśli miałabym przypłacić to własnym życiem. Nie wolno jej zdobyć skarbu, który być może rzeczywiście czeka na znalazcę w ruinach Mosiężnego Miasta. To by ją zniszczyło, ją, kobietę, która mnie przyciągnęła, kiedy najbardziej potrzebowałam pomocy.

— To czego pożąda, to starożytny talizman, którego sekretów nie powinien poznać żaden śmiertelnik. Ponoć jest starszy od Acheronu, może nawet pochodzi z czasów Atlantydy. W legendach ludzie nazywają go różnie: Ciemna Perła Atlantis... Popielata Zmora z Kull... Szalony Bóg...

Conan parsknął śmiechem.

— Kurz przesądów okrywa grubą warstwą najcenniejsze skarby starożytności. Wystarczy zetrzeć kurz ze złota, pozostanie samo złoto.

— Tak ci się może wydawać. O Szalonym Bogu czytałam w księdze, która zdobyła mistrzyni, kiedy zaczęła poszukiwania statuetki. Chociaż legenda głosi, że wyrzeźbiona jest z ogromnej perły, to jednak ta figurka nie jest zwykłym skarbem. Moja pani poszukuje jej z uwagą na moc, jaką ponoć posiada. Dawno temu pomniejszy bóg z Atlantydy judził przeciw sobie dwóch większych bogów, którzy zawsze ze sobą rywalizowali. Doszło między nimi do wojny. Wkrótce w okrutnych walkach brali udział wszyscy bogowie oprócz Ibis. Kataklizm, jaki wywołała wojna, niemal rozerwał świat na kawałki. Zginęło wielu ludzi, którzy czcili tych bogów.

Ibis powstrzymał bogów przed zniszczeniem świata. Ukarał pomniejszego boga, tego który doprowadził do konfliktu, zamykając go w olbrzymiej perle z atlantydzkiej małży. Zadanie pilnowania perły, która przyjęła szkaradny kształt niespokojnie drzemiącego w niej bóstwa, Ibis powierzył swym kapłanom. Wyszeptał im prawdziwe imię uwięzionego boga. Kiedy to imię zostanie wypowiedziane, śpiące w perle bóstwo przebudzi się i wyjdzie na wolność. Bożek będzie posłuszny temu, kto go uwolni. W księdze nie napisano, dlaczego Ibis po prostu nie zabił tego bóstwa...

— Słyszałem, że jeden bóg nie może zabić drugiego nie niszcząc przy tym siebie. Kiedyś pewien kapłan usiłował mi to wyjaśnić, tylko że nie bardzo interesowały mnie jego wywody.

— Zapewne — powiedziała zadumana Sivitria. — Ale to teraz nie jest istotne. Władczyni złodziei w jakiś sposób poznała okryte tajemnicą imię Szalonego Boga i zamierza go obudzić. Gdy będzie miała na usługach boga, nawet pomniejszego, nikt nie wejdzie jej w drogę. Chce, żebyś wy dostał bożka z Mosiężnego Miasta. Potem ci go odbierze. Często działała w ten sposób... Na Bela! — Twarz Sivitrii nagle zbladła. Dziewczyna poderwała się z krzesła.

— Co się stało? — Conan instynktownie złapał za rękojeść miecza i wstał zwracając się twarzą do drzwi, które wcześniej miał za plecami. Wszystkie jego mięśnie były napięte.

— Toj nie przyjechał za mną, Cymmerianmie. Czy nie rozumiesz? Rozkazano mu zabić ciebie. Ten turański morderca podąża za tobą od Messancji. Teraz nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. A kiedy odnajdziesz ruiny i zdobędziesz skarb...

— Przekona się, że nie łatwo jest pokonać Cymmerianina — zagrzmiał Conan, Przeniósł dłoń z rękojeści na kubek z winem. Usiadł w rogu stołu, przybrał surową minę i dudnił wielkimi palcami po wypolerowanym drewnianym blacie. Mimo okazywanej brawury wiedział, że zamachowiec jest śmiertelnym wrogiem. Niewiele można było zrobić, by uchronić się przed dziwnymi nożami, którymi Toj rzucał z niebywałą siłą i precyzją. I to, jak się skrył w drzewach... łatwiej wysłedzić węża w trawie niż tego przebiegłego Turańczyka.

Sivitria powróciła na krzesło i upiła łyk wina. Potarła wargą o wargę i zmarszczyła brwi, jakby trunek jej nie smakował.

— Pragnie tej statuetki bardziej niż myślałam. Conanie, ona nigdy nie może jej dostać, chociaż zna prawdziwe imię bóstwa. Jest ono ponad wszelką miarę złe. Widziałam zapiski, jakie zostawił od wieków już nieżyjący najwyższy kapłan Ibisa, ten, który był pierwszym strażnikiem statuetki. Zapowiada w nich okropne wydarzenia. Kiedy bóstwo się przebudzi, ten kto wypowie jego imię, całkowicie ulegnie złu i spotka go los tysiącokrotnie gorszy niż śmierć przez tortury w lochach Acheronu. Siostra uśmieje się z tych przepowiedni, a ja nie mogę jej przekonać, by porzuciła swoją obsesję. Chcę ją przed tym uchronić, Conanie. Musimy odnaleźć statuetkę, bym mogła ją zanieść do Caranthesa, kapłana Ibisa. Tylko w jego świątyni można bezpiecznie trzymać to bóstwo.

— Jeśli jest to perłowa figurka, to czemu jej nie zniszczyć? — spytał zdezorientowany Conan, marszcząc czoło.

Sivitria zaśmiała się smutno.

— Gdyby to tylko było takie proste. Zapisane jest, że jedynie ten, kto zna wszystkie sześć wyrazów jego pełnego i prawdziwego imienia, może zniszczyć statuetkę. Kapłani Ibisa znali tylko połowę imienia. Dlatego przez wieki nie mogli zrobić nic innego jak tylko strzec figurki.

Conan usiadł na krześle. Był podenerwowany.

— Nie obchodzi mnie, co się stanie z Jade. Dlaczego, na Dziewięć Piekieł Zandru, miałbym kontynuować tę cholerną wyprawę do Mosiężnego Miasta? Jeśli nadstawiam karku dla skarbu — i muszę pokonać Toja, zanim wbije mi w gardło nóż — to na pewno nie oddam ci tego, co tam znajdę. Na Croma! Taka perła nawet bez towarzyszących jej legend warta jest kupę królewskiego złota. I jak cię znam, o to ci właśnie chodzi, Sivitrio. Zapewne pragniesz zdobyć statuetkę dla siebie, dla pieniędzy, a może z uwagi na jej moc. Jeśli znasz tajemne imię, to co miałyby cię powstrzymać przed obaleniem twojej pani?

— Złoto? — z oburzeniem wykrzyknęła Sivitria. — Złoto! Czy tylko o tym potrafisz myśleć, barbarzyńco? Masz serce zimne jak ośnieżone szczyty gór w twojej ojczystej Cymmerii. Nie dziwi mnie to, ale myślałam...

— Myślałaś, że co? Myślałaś, że znowu uda ci się mnie nabrać... Sivitria nie pozwoliła mu dokończyć.

— Gdy ratowałeś mnie przed strażnikiem w więzieniu asshuri, nie kierowała tobą chęć zysku. Wtedy nie wiedziałeś, że to wszystko było ukartowane. I mogłeś pozostawić mnie samą w Varhii. Jestem twoją dłużniczką, Conanie. Mój plan nie przewidywał tego, co się zdarzyło w „Gronie i Oście”. Jeśli chodzi ci tylko o złoto, to zaraz je dostaniesz. — Wstała z krzesła, zdjęła ze świecznika płonąca świecę i ciężkim krokiem podeszła do gobelinu. — A jeśli nie wierzysz w to, co ci przed chwilą powiedziałam, to sam dostarcz statuetkę Caranthesowi. Nie przypuszczałam, że miałbyś ochotę na podróż do Hanumar. Wszak wszyscy wiedzą, że Caranthes nigdy nie opuszcza swej świątyni. Chciałam z tobą pojechać, żeby mieć pewność, iż przeklęta figurka bezpiecznie dotarła na miejsce.

Conan wypił resztki wina — cmoknął ustami, kiedy niespodziewanie poczuł gorzki posmak — i spojrzał na pozostałe na stole wiktuały. Chociaż ostatnio nie posilał się zbyt często, jedzenie nie wydawało mu się już takie smaczne.

Sivitria uklękła i ostrożnie postawiła na podłodze świeczkę. Następnie powstała i odsunęła gobelin, odsłaniając znajdującą się za nim kamienną ścianę. Palcami zbadała spoiwo u dołu, zza cholewy wyjęła cienki sztylecik i wbiła jego czubek w małą szczelinę w zaprawie. Pozostawiwszy ostrze w ścianie, stanęła obcasem na najniższym kamieniu w podłodze, który znajdował się dokładnie pod szczeliną. Z muru rozległ się zgrzyt metalu, jakby obracała się w nim wielka śruba. Naciskany kamień z głuchym łomotem schował się pod ścianę.

— Chodź za mną — powiedziała, zwracając się twarzą do Conana — podasz mi swoją cenę w złocie. — Wyjęła sztylet pomiędzy kamieni i nacisnęła barkiem środek ściany, która pod jej naporem bezgłośnie otworzyła się do środka. Za ścianą znajdowały się wąskie, prowadzące do góry schody.

Conan był pełen uznania dla tej konstrukcji. Przez ostatnie lata widział wiele tajemnych drzwi, ale tu miał do czynienia z dziełem mistrza. Przez szparę w podłodze pozostawioną przez odsunięty kamień, widział odsłonięty mechanizm, który otwierał drzwi: naoliwione żelazne pręty i pomysłowo wstawione metalowe koła.

Sivitria podniosła z podłogi świecę. Przy schodach, na wbitym w ścianę kołku wisiała lampa. Dziewczyna zapaliła ją od świecy.

Z ciekawością, choć obawiając się zdrady, Conan udał się za Sivitrią przez otwór w ścianie i szedł za nią po wąskich schodach do góry. Nozdrza przeszywał mu gryzący zapach oleju,

którym nasmarowane były wewnętrzne krawędzie fałszywej ściany. Sądząc po stęchłym powietrzu w niszy za ścianą, od dłuższego czasu nikt z tego przejścia nie korzystał.

— Balvadek nie wiedział o tym „dodatku” do jego cytadeli — poinformowała Sivitria. — Tak przynajmniej twierdził Narsur, kiedy mi o tym opowiadał. — Zatrzymała się przed ostatnim, siódmym, stopniem. — Można stawać tylko na lewym skraju tego schodka — ostrzegła, wskazując przed siebie.

Conan z uniesionymi brwiami spojrzął na sufit. W kamiennym sklepieniu wydrążono kilka tuzinów otworów, każdy o średnicy kciuka mężczyzny. Zapewne ostatni stopień zwalniał pułapkę, a wtedy strzały albo kolce przebijały intruza.

Sivitria przemknęła pod lewą ścianą. Conan podążył tuż za nią. Schody wychodziły na kamienną podłogę w okrągłej sali. Pomieszczenie kształtem przypominało cysterny, zbudowane do gromadzenia deszczówki na potrzeby przebywającej w warowni ludności. Jednak ten zbiornik miał dach i były w nim przechowywane zapasy o znacznie wyższej wartości.

— Owoce przemytu — oschłym tonem powiedziała Sivitria. Zataczając szeroki łuk ręką, wskazała na wysoki stos beczek.

Małe dębowe beczki leżały jedna na drugiej. Widniały na nich nazwy i znaki najdroższych roczników win z Kyros i Ghazy. W dolnym rzędzie było ich jedenaście, w następnym dziesięć, później dziewięć i tak dalej do siódmego rzędu. Conan naliczył w sumie prawie sześćdziesiąt beczek. Nie zobaczyłaby ich żadna tawerna, zawartość beczek była zarezerwowana dla królewskich stołów. Cymmerianin ocenił, że za najtańszą z beczek można by dostać sto sztuk złota.

Jedna beczka stała przed stosem, jej wieko było przekrzywione. Sivitria podniosła drewnianą pokrywę i włożyła rękę do środka. Zamiast plusku cieczy rozległ się brzęk metalu. Obojętnie wyjęła rękę z beczki. Z jej otwartej dłoni wypadały monety.

— Na brodę Bela! — Conanowi serce podskoczyło do gardła, kiedy spadające złoto błysnęło w świetle lampy. Podszedł do Sivitrii i zajął do beczki. W dwóch trzecich wypełniona była złotymi krążkami. Większość ludzi w ciągu całego życia nie widziała takiego bogactwa. Znajdowały się tam monety rozmaitej wielkości i kształtu. Bito je w mennicach chyba dwudziestu państw. Ich ilość i różnorodność świadczyły o wielkości przedsięwzięcia prowadzonego na obszarze między zachodnim wybrzeżem Zingary, a odległymi miastami leżącymi za parną dżunglą wschodniej Vendhii.

— Cymmerianinie, jeśli udasz się ze mną do Mosiężnego Miasta i pomożesz mi zdobyć Szalonego Boga, dam ci tyle złota, ile zdołasz unieść ty i twój koń.

Conan, mruczając pod nosem, rozmyślał dłuższą chwilę. Na Erlika, przecież zdarzało mu się już podejmować większe ryzyko za mniejsze wynagrodzenie. Ale z drugiej strony nawet największe skarby w piekle zdadzą się na nic. Jeszcze raz zastanowił się, jaką decyzję ma podjąć.

— Ruszajmy więc do Mosiężnego Miasta — oznajmił wreszcie. — Po statuetkę i złoto! — Niech lichy porwie zamachowców, mistrzów cechowych i przesady, pomyślał. Dla skarbu, jaki go tutaj czekał, przerabiałby sobie drogę nawet przez wojownicze plemię Piktów. Gdyby wiedział, że przemyt wina jest takim dochodowym procederem, to już dawno sam by się tym zajął.

Sivitria uśmiechnęła się nieznacznie.

— Nie wiadomo ile mamy czasu, zanim zjawią się skarbniczki, by zabrać złoto do mojej pani. Narsur powiedział mi, że przyjeżdżają nieregularnie. Jedna z nich jest jasnowidzem i potrafi odróżnić prawdę od fałszu. Żaden agent nie może tu kraść tak, by ona o tym nie wiedziała. Narsur zgłosi skarbniczkom, że wzięłam trochę złota, ale nie obchodzi mnie to. Oddałabym własne życie, by uchronić mą siostrę przed losem przepowiedzianym w tych zapiskach.

— Dlaczego dysponując takim bogactwem, po prostu nie zatrudniła mnie, bym zdobył dla niej statuetkę? — Conan przeniósł wzrok z wnętrza beczki na twarz Sivitrii. Była zatroskana.

— Jesteś mężczyzną, Cymmerianinie, i jak już wcześniej wspomniałam, mężczyźni są dla niej tylko narzędziami. Wykorzystuje was, jeśli tylko pozwalają na to okoliczności. Sprawia jej to wielką przyjemność. Po cóż miałyby się z tobą targować skoro wie, że ty i tak będziesz szukać bóstwa? Kiedy dowiedziała się, że zamierzasz skorzystać z mapy i udać się do Mosiężnego Miasta...

— Ale przecież wiedział o tym tylko Rulvio i ty — zaprotestował Conan. — Dlaczego miałybyś powiedzieć o tym Jade, skoro zależało ci, żeby figurka nie dostała się w jej ręce? Sivitria pokręciła głową.

— Z przykrością muszę stwierdzić, że wiedzieli o tym również inni członkowie twojej załogi, nie tylko pierwszy oficer. Moja pani ma szpiega prawie na każdym okręcie pirackim. Wszystko jedno czy pływają na nim Argosańczycy, Barachańczycy, czy Zingaryńczycy. Byłam obecna przy tym, jak szpieg z twojego „Jastrzębia” składał sprawozdanie. Nie powiedziała mi, że zamierza pozwolić, byś odnalazł skarb, a potem nastać na ciebie Toja, aby ci go odebrał. Sądziłam, że skradnie ci mapę. Ale później, kiedy nie podjęła żadnych prób, by wydrzeć od ciebie ten skrawek pergaminu, zaczęłam odgadywać jej plan. Obecność Toja potwierdza moje przypuszczenia.

Sądząc po jej twarzy, Sivitria chyba mówiła prawdę. Mimo to Conan nie wierzył, że dziewczyna przedstawiła mu swe prawdziwe motywacje. Ale i tak był zdecydowany pojechać do Mosiężnego Miasta i wydobyć perłową statuetkę. Dopiero wtedy mógł się dowiedzieć, co knuje Sivitria. Uznał, że na razie nic mu nie grozi. Cymmerianin czuł się tak, jakby stał w cichym oku szalejącego cyklonu, który miał runąć na niego z każdej strony, kiedy tylko odnajdzie bóstwo. Ale nikomu nie udało się go zaskoczyć. Będzie oczekiwał przeciwności z szeroko otwartymi oczyma i stalowym mieczem w dłoni.

— Udajmy się teraz na spoczynek — zmęczonym głosem powiedziała Sivitria. — Byłoby dobrze, gdybyśmy wyjechali z pierwszym promieniem poranka.

Zeszli po schodach — ostrożnie omijając najwyższy stopień — i znów znaleźli się w Ametystowej Komnacie. Sivitria zamknęła sekretne przejście. Zrobiła to, pociągając za sobą ruchomy fragment kamiennej ściany i przesuwając kamień w podłodze na jego dawne miejsce. Po kilku próbach drzwi zatrzasnęły się z łomotem.

— Pokoje sypialne znajdują się na końcu korytarza — poinformowała Conana, gdy wychodzili z Ametystowej Komnaty.

— Tak, na Croma, przyda nam się chwila snu. — Cymmerianin ziewnął i przeciągnął się. Cieszyła go perspektywa odpoczynku dla ciała i umysłu. Zatrzymał się w korytarzu, by popatrzeć na wstawiony w ozdobne drzwi klejnot. Kierowany impulsem, postanowił, że podda kobietę małej próbie. — Zanim pójdziemy spać, chcę cię prosić o drobny dowód szczerości: o ten ametyst. Zatrzymam go, dopóki nie przejadę bezpiecznie ze swym złotem przez bramę Saridis.

Sivitria skinęła głową.

— Jeśli chcesz, to go sobie weź — powiedziała bez zmrużenia oka. — Tylko go nie zgub, bo trzeba byłoby w jego miejsce dopasować nowy. I ostrożnie podważaj przytrzymującą go metalową płytę, tak żebyś jej nie uszkodził. Naprawa zajęłaby nam dużo czasu. — Podała mu swój sztylecik.

Conan najpierw rozruszał klejnot w misternie wyrobionej oprawie, a następnie wyważył go. Zanim schował kamień do kamizelki, jeszcze raz mu się przyjrzał. Nie mógł się nadziwić, że taki wspinały klejnot był tu używany do otwierania drzwi.

Sivitria najwyraźniej odgadła jego myśli. Uśmiechnęła się.

— Dla Balvadeka to nie był żaden wydatek. Poczekaj aż zobaczysz Szafirową Komnatę.

Szli w kierunku przeciwnym do schodów, które prowadziły do głównej sali na dole. Pod stopami mieli puszysty, rubinowo-czerwony dywan. Kiedy doszli do końca korytarza, przytłumione echo dochodzących z dołu śpiewów ucichło. Znów mieli przed sobą ozdobiony klejnotami portal. Po obu stronach wejścia płonęły pochodnie. Na drzwiach wyrzeźbiony był herb księcia. Dziesięć otaczających go błękitnych kamieni mieniło się niczym wody Zachodniego Oceanu w słoneczne południe.

Sivitria nie zwróciła na nie uwagi, tak jakby była przyzwyczajona do bogato wyposażonych wnętrz. Jej zachowanie istotnie pasowało do kogoś, kto wychowywał się w pałacu. Conan, ze swej strony, czuł się o wiele lepiej na odludziu albo na morzu. W ciągu lat spędzonych na podróżach i przygodach udało mu się wygrać albo ukraść niejedną fortunę, ale wszystko wymykało mu się między palcami, zanim zdążył pomyśleć o osiedleniu się założeniu domu. Jednak ciągle wierzył, że pewnego dnia zamieszka w luksusach. Musiał tylko zdobyć skarb tak wielki, żeby nie zdołał przepuścić go na dziwki albo przegrać w kości. Mimo to nie uważał, by próżnością dorównywał Balvadekowi. Ten ozdabiał każde swoje drzwi kosztownościami, za które można by przez kilka lat żywić tuzin rodzin. — Na Bela, chyba jeszcze nigdy nie miałam takiej ochoty na gorącą kąpiel — cicho powiedziała Sivitria. Otworzyła drzwi i weszła do wysokiego pomieszczenia. Z wyłożonego pluszem przedsionka było siedem wyjść. Sivitria skierowała się do pierwszego po prawej stronie. Szli zakręcającym, lekko wznoszącym się korytarzem. Drogę oświetlały im stojące na połączonych podstawkach lampy. Płonał w nich wonny olej. Na gładkiej kamiennej podłodze leżały sprowadzone z Vendhii pluszowe dywany. — Słudzy mieli przynieść tyle gorącej wody, by starczyło dla dwojga — na wypadek, gdyby Cymmerianie nie stronili od kąpeli.

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

Conan chyba już po raz dwudziesty tego dnia podziwiał kształtną figurę Sivitrii.

Uśmiechnął się. Nie był tak wyczerpany ani zamyślony, żeby nie widzieć, jak pasiasty welwet przylega do jej krągłych kształtów, albo jak w dopasowanych, skórzanych spodniach kołyszą się jej biodra. I znał kobiety na tyle, że mógł się zastanawiać, czy Sivitria miała na myśli coś więcej niż tylko zwykłą kąpiel... chociaż taka propozycja z jej strony bardzo by go zaskoczyła. Dziewczyna odnosiła się do niego z niezwykłą pogardą, a jej nieskrywane uczucie do Jade nasuwało mu myśl, że może bardziej odpowiada jej towarzystwo kobiet.

— To prawda, że wielu ludzi z Cymmerii kąpie się rzadko — przyznał Conan. — Ale ja nie mam nic przeciwko wymoczeniu się w wannie. W istocie, podróżując do różnych krajów, nauczyłem się wielu sposobów... zażywania kąpieli.

— Nie wątpię, barbarzyńco, że potrafisz mnie zaskoczyć. Minęli zakręt korytarza, który kończył się zasłoniętymi prostą kotarą drzwiami. Sivitria odsunęła zasłonę na bok i przeszła do następnego pomieszczenia. Conan wszedł za nią. Czuł jak wilgotne powietrze wnika w jego wyschniętą skórę. Łagodny zapach olejku odświeżał mu umysł. Znajdowała się tu ogromna, owalna zagłębiona w podłodze wanna. Najwyraźniej słudzy Narsura wypełnili ją wrzątkiem, bo gładka powierzchnia wody wciąż parowała. W pobliżu, na kamiennych płytkach leżały ręczniki.

Sivitria wciągnęła głęboko powietrze, westchnęła i zaciągnęła wiszącą w drzwiach kotarę. Nie okazując skrępowania, odwróciła się plecami do Conana i spokojnie rozpięła tunikę.

Poruszyła ramionami i ubranie opadło na podłogę. Kiedy rozwiązywała rzemień u spodni, obejrzała się przez ramię. Uśmiechała się, jakby przypomniawszy sobie jakiś dowcip.

— Już zbyt długo nie byłam w dobrej łaźni — powiedziała zdejmując buty. Zsunęła skórzane spodnie ze swych zgrabnych nóg i uklękła, by odłożyć je na bok. Powoli weszła do wanny i osuwała się coraz niżej, póki jej piękne piersi nie znalazły się pod wodą.

Conan szybko skopał z nóg sandały i pozbył się zakurzonego ubrania. Zaśmiał się pożądliwie i rozpryskując wodę wskoczył do wanny. Sivitria z ochotą wsunęła się w jego ramiona.

XIII

ROZMOWA Z TRUPEM

Gdy czarna plama nocy zakryła lazurowe niebo, Tevek Thul opuścił Kaetty. Wycofał czarną energię z trupich wojowników, którzy powrócili do katakumb, i we wsi zapanowała martwa cisza. Lekki wiatr rozwiewał czarne szaty Teveka i przynosił do jego nozdrzy słodczy dojrzałego zapachu śmierci. Nie opuściły go jeszcze emocje, jakim uległ pustosząc tę osadę. Czuł je w sobie, jak wijącego się wokół jego wnętrza węży.

Wszędzie poniewierały się trupy mieszkańców Kaetty. Najwięcej było ich przy wejściu do świątyni i przy wąskiej szczelinie skalnej, jedynym wyjściu z osady. Tam leżały całe stosy. W piersi żadnego wieśniaka nie biło serce, w rzeczy samej, wielu z nich nie miało już serca. Niektórzy z wstrętnych wojowników Teveka byli przerażająco głodni i urządzili sobie nad ciałami pomordowanych makabryczną ucztę. Zbezczeszczona świątynia Ibisa stała się przybytkiem okrucieństwa i śmierci.

Posługaczka, której imienia nie mógł już sobie przypomnieć, leżała tam, gdzie ją zostawił na sprofanowanym ołtarzu. Była martwa jak wszyscy jej współplemieńcy. Tevekowi zaświtała myśl, by ją zatrzymać jako konkubinę. Uznał jednak, że jej zwłoki nie odpowiadają mu. Jeśli jeszcze będzie potrzebował zimnego ciała, aby zaspokoić swój apetyt, to zawsze coś znajdzie. Nie, ta głupia owca nadawała się już tylko dla sępów i robaków, które wkrótce miały się dobrać do jej ciała.

Tevek nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, kiedy pośpiesznie wychodził ze świątyni.

Zatrzymał się przed stosem ciał, które tarasowały przejście przez szczelinę. Ogarnięci paniką wieśniacy stłoczyli się w wąskim korytarzu między skałami i w pośpiesznej ucieczce przed zbliżającą się chwiejnym krokiem hordą Teveka nawzajem tratowali się i łamali sobie kości. Tevek potarł o siebie spierzchnięte wargi. Wyzwolił niewielką ilość nekromantycznej energii, ożywił zachowane w całości ciała i rozkazał im oczyścić ścieżkę z trupów.

Kiedy milczący słudzy kończyli usuwać z jego drogi barierę z pomordowanych, Tevek odwrócił się, żeby jeszcze raz spojrzeć na zniszczenia, jakich dokonała jego nekromantyczna siła. Fascynowała go moc Czarnego Pierścienia i miał ochotę wyzwolić ją ponownie. Ale zdał sobie sprawę, że pierścień kusi go, by czerpał zbyt łapczywie ze studni jego mocy. Tevek, niczym najemnik przepuszczający cały swój zarobek w jednej wielkiej hulance, przelał w pierścień zbyt wiele energii. Brązowa tablica nie ostrzegła go, że pierścień dąży do popełniania zła. Utracona energia miała się z czasem zregenerować, ale teraz czuł się ociężały

jak przejeźdźony wąż, który trawi zbyt dużą zdobycz.

Nieważne. I tak miał dotrzeć do Mosiężnego Miasta dopiero nazajutrz w nocy i do tego czasu nie potrzebował pierścienia. Głęboko w swych myślach poczuł drżącą złość, bo uświadomił sobie, że wydarzenia we wsi odciągnęły go od celu podróży. Postanowił, że kiedy następnym razem użyje pierścienia, będzie ostrożniejszy. Zmusi go do posłuszeństwa i nie ulegnie żadnym jego pokusom.

Gdy droga przed nim była już wolna, ciała porządkowych głucho uderzyły o ziemię. Tevek przeszedł przez splamiony krwią tunel i zszedł ze stoku naturalnego wału, jakim otoczona była wieś. Lot nad piaskiem kosztowałby go zbyt wiele czarodziejskiej energii, uznał więc, że będzie lepiej jeśli dalej pójdzie pieszo. Rozluźnił umysł i pograżył się w potoku zawitych rozważań: co czekało go w Mosiężnym Mieście, jakie plany wobec niego miał Thoth–Amon, i w jaki sposób szybko dokonać zemsty, która była celem jego życia.

Zadumany nie zauważał jak upływa czas, póki na czarnej twarzy nieba nie pojawiła się pierwsza zmarszczka świtu.

Zmrużył oczy, by je uchronić przed atakiem zniechęconego światła. Zatrzymał się i rozejrzał dokoła. Stał na szczycie wysokiej wydmy, za którą znajdowało się olbrzymie zagłębienie. Wyglądało to tak, jakby jakiś bóg wybrał z pustyni ogromną garść piasku. Pośpieszył do wydmuchanego przez wiatr dołu i mocno zacisnął oczy, bo nagle uderzyło w nie odbijające się od podłoża światło... pierwsze promienie piekącego słońca padały na coś więcej niż tylko na piasek.

Wiedziony intuicją zbliżył się do zauważonego przedmiotu. Był to kamień graniczny, mosiężna kopuła błyszcząca w promieniach słońca. Choć jej blask sprawiał mu ból, Tevek jeszcze przez moment na nią patrzył. Więc to była Pustynia Nithijska. Tutaj piaskowy woal ruchomych wydm przez wieki skrywał przed ludźmi Mosiężne Miasto. Tevek poczuł w powietrzu dziwną woń. Nad piaskiem unosiły się niewidzialne dla oka jądra zarazy. Czyli pogłoski o Nithii i wysuszającej organizm chorobie były prawdziwe. Ale dla Teveka nie stanowiło to najmniejszego zagrożenia, jego moce chroniły go przed najgroźniejszymi nawet zarazami.

Dalsza podróż w palących promieniach słońca była nie do pomyślenia, jednak Tevek nie potrafił doczekać nocy. Z krańca swojej zakurzonej szaty oderwał pasek ciemnego materiału i zawiązał nim oczy. Dla zachowania widoczności pozostawił ciekłą jak pergamin szparkę.

Następnie głęboko na twarz nasunął kaptur i swym nekromantycznym spojrzeniem przeszył leżący przed nim piasek. Patrzył najgłębiej, jak mógł, a potem ruszył dalej.

Później, gdy zniechęcone przez nekromantę słońce płonęło już nad jego głową, szperający pod ziemią wzrok natrafił na pierwsze szczątki nieżyjących od wieków mieszkańców Mosiężnego Miasta. Wyczuł, że ich śmierć była nagła i okrutna. Pomimo to nie słyszał w ich kościach duchowego echa, jakie jeszcze na długo po wyrwaniu duszy z ciała pozostaje w zwłokach i jęczy. Wyteżył umysł i jeszcze raz spróbował usłyszeć odgłos echa. Dochodziło go tylko szeptań z przerażeniem słowo „Szakał”.

Podszedł bliżej starożytnej iglicy i mógł dokładniej zbadać piach, w którym spoczywały kości. Usłyszał tysiące rozbrzmiewających w głębi ziemi głosów zmarłych.

Wszyscy zostali zabici. Utonęli podobnie jak ich przodkowie z Atlantyd, tyle że w morzu krwi, a nie wody. Ktoś wyróżnął ich jak stado bydła. Ciekawe.

— Tevekowi zaczęły przeszkadzać nieustające, choć przytłumione jęki, więc przestał ich słuchać. Martwiło go, że wszystkie głosy, które tu słyszał, wyrażały tylko jedno uczucie — żal. W chwili śmierci nikt z pomordowanych, nawet pośród najmłodszych, nie odczuwał najmniejszego strachu, nienawiści ani chęci zemsty. Nekromanta nigdy wcześniej nie trafił na katakumby czy grobowiec, gdzie podobne uczucia nie jątrzyłyby się w pochowanych tam kościach. To byli prawdziwi wyznawcy Ibisa, nie stracili nadziei nawet w chwili śmierci. Spokój ducha dawała im wiara, że nie czeka na nich żadne piekło. Po śmierci miał się nimi zaopiekować ich bóg.

Głupcy. Czcił Ibisa, a on pozwolił, by zginęli. Ale silna wiara tych głupców odróżniała ich od trzody z Kaetty. Tamci, owszem odmawiali modlitwy do Ibisa, śpiewali hymny i bili mu pokłony, wszystko to jednak było powierzchowne. Żadne zabiegi nie zamienią ołowiu w złoto. Mieszkańcy Kaetty ginęli jedni w strachu, inni w gniewie. Największym pragnieniem niektórych była zemsta. Nikt nie umierał w smutku i żalu, nawet kapłani. Tylko wiara Nithian była prawdziwa.

Tevek porzucił myśli o zwyciężonych Nithianach i zajął się następnym, stojącym przed nim zadaniem. Z piasku wystawała tylko iglica. To, czego szukał, było głęboko pod ziemią. Wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że wiatr odsłonił zaledwie niewielką część miasta. Wydobyć statuetki wymagało jeszcze dużo ciężkiej pracy. Oczyszczenie z piasku samej

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

tylko wieży pod wystającą mosiężną iglicą stu mężczyznom zajęłoby cały dzień. Ale Tevek mógł wykorzystać swe nadprzyrodzone moce. Praca, na wykonanie której stu ludzi potrzebowałoby całego dnia, mogła być wykonana przez tysiąc osób w ciągu jednej klepsydry. A przecież na polecenia Teveka czekały tysiące kościstych robotników. To, że leżeli głęboko pod ziemią, nie miało znaczenia. Jego bezwzględne wezwanie obudziłoby dowolną liczbę trupów. Tym razem nie zamierzał korzystać z nekromancji tanatosyjskiej, której użył w Kaetcie. Aby wezwać trupy i zmusić je do czasochłonnej pracy, nie były potrzebne aż tak wyczerpujące czary.

W czasie podróży przez pustynię nie zdążył w pełni zregenerować utraconej energii, ale był zbyt podekscytowany, by czekać z rozpoczęciem prac. Czuł, jak w Czarnym Pierścieniu znów pulsuje moc. Pierścień był gotowy na każdy jego rozkaz. Wciągnął głęboko powietrze i przystąpił do koncentracji siły woli. Znów ogarnął go potop duchowych westchnień, wydawanych przez zmarłych Nithian. Macki jego umysłu wyciągnęły się do jednego z ciał i lekko go dotknęły. Nekromanta chciał poruszyć kości z wielowiekowego odrętwienia.

Nawet nie drgnęły.

Tevek zmarszczył brwi i spróbował raz jeszcze. Zaciśnął swój nekromantyczny uścisk na opornym trupie, potrząsał nim i głośno krzyczał.

Zwłoki znów go zignorowały. Jedyłą ich reakcją był smutny szept, który teraz doprowadzał nekromantę do szału. Tevek przyzwyczył się, że na jego rozkaz zmarli powstają natychmiast. Postawa Nithian bardzo go zaskoczyła. Zdenerwował się jeszcze bardziej, kiedy usiłował podnieść trzeciego trupa, który również go zignorował. Nie pomogła nawet moc Czarnego Pierścienia. Podejrzywał, że głęboka wiara broniła pozostałości ich dusz przed jego nekromantycznymi mocami.

Nieoczekiwany obrót spraw wprawił go w zakłopotanie. Co z tego, że miał Czarny Pierścień, kiedy nie znał zaklęć wyzwalających wiatr albo takich, które zmieniałyby rzeźbę terenu. Tego rodzaju czary wywodziły się z innych szkół czarnej magii i były mu zupełnie obce. Mógł powrócić do Kaetty i przyprowadzić do pracy wymordowanych wieśniaków. To jednak zajęłoby mu dużo czasu, a przecież nie miał go zbyt wiele. Postanowił spróbować raz jeszcze. Tym razem zamierzał objąć poszukiwaniami większy obszar i posegregować napotkane trupy. Przeszło mu przez myśl, że to słońce udaremnia jego starania, wszak palące promienie utrudniały mu koncentrację. Ale przecież światło nie dochodziło tam, gdzie leżeli oporni słudzy. Uznał więc, że nie ono jest powodem niepowodzeń. Ruszył w kierunku iglicy, która, jak sądził, znajdowała się w centrum Mosiężnego Miasta. Z tego miejsca rozpoczął poszukiwania na nowo. Zaczerpnął głęboki haust suchego, gorącego powietrza i cisnął swe myśli w piach.

Ach! Tutaj zmarli przynajmniej nie drażnili uszu nekromanty. W istocie, natknął się na coś interesującego. Jego nekromantyczny wzrok trafił na szkielet mężczyzny, który za życia musiał być imponującą postacią. Był wysoki, miał grube kości, olbrzym ponad wszelką wątpliwość, ale nie to najbardziej fascynowało Teveka. W rozłożonych zwłokach wciąż płonął ogień gniewu. Sądząc po jego intensywności Tevek stwierdził, że przed wiekami ów ogień musiał parzyć jak słońce. Właśnie takie trupy były mu potrzebne. Ten człowiek umierał wolno i w cierpieniach, nie od ran odniesionych w walce, raczej został uduszony. Nekromanta bardzo rzadko natrafiał na tak silne promieniowanie od tak starych zwłok. Kości natychmiast zareagowały na jego wezwanie i rozpoczęły powolny aż do bólu proces wydobywania się na powierzchnię.

Również inne zwłoki odpowiedziały na wołanie. Budził je jedno po drugim. Z nich nie emanowała energia tak wielka, jak ze szkieletu olbrzyma. W wielu tkwiła złość, w innych strach, ale wszystkie były podatne na jego wpływy. Wkrótce zebrał tyle trupów, ile mu było trzeba.

Tevek dobrze wiedział, że zwłoki nie przedostaną się na powierzchnię przed zapadnięciem nocy. O wiele trudniej było uwolnić się spod piasku niż spod twardo ubitej ziemi. Zwłoki przebijające się przez ziemię mogły odrywać bryły gleby i posuwać się do góry. Oswobodzenie się z piasku było jak płynięcie w górę rzeki, przeciw rwącemu prądowi. Ale Tevek mógł poczekać. Skrył się w wąskim cieniu iglicy i dla zabicia czasu przeglądał pozostałe szczątki.

Prawie wszyscy, których zwłoki znajdowały się pod nim, zginęli taką samą śmiercią. Teraz był już pewien, że się udusili. Było jednak kilka wyjątków. Chciałby wiedzieć, co się tu zdarzyło wieki temu, ale uznał, że na domyśle jest jeszcze za wcześnie. Pięć ciał pozbawionych było wszelkiej energii. Możliwe, że ludzie ci zginęli przez ścięcie głowy. Najwyraźniej umierali bez obaw i pogodzeni ze swym losem. Od nich nie dowiedziałby się niczego. Ale w szóstym ciele bez głowy wyczuł strach przemieszany ze zwątpieniem. Może

kiedyś ów Nithijczyk zdradzi mu sekrety przeszłości. Tym problemem zamierzał zająć się później, po odkopaniu świątyni.

Kiedy przebudzeni do życia niewolnicy przedzierał się na powierzchnię, Tevek wzywał następnych. Zaprzestał poszukiwań, gdy miał już około trzystu robotników. Wtedy zrobił sobie krótką przerwę. Cieszył się, że słońce wkrótce skryje się za horyzontem. Choć wciąż było bardzo gorąco, nekromanta nie był spocony. Nie, upał nie dokuczał mu tak, jak oślepiająca jasność. Jakże nienawidził blasku słońca! Pogmerał przy okrywającym mu głowę zakurzonym kawałku materiału i zlikwidował pozostawioną wcześniej szparę. Teraz jego oczy znalazły się w zupełnych ciemnościach. Przez klepsydrę albo dwie półśpiący odpoczywał w cieniu.

Przebudził go głośny szmer. Podniósł z oczu osłonę i z radością stwierdził, że miejsce słońca zajął na niebie księżyc. Jego światło nie było dla Teveka aż tak uciążliwe. W bladym blasku dostrzegł giganta, który już się uwolnił z piaskowego więzienia. Wielki szkielet stał o kilka kroków od niego i w milczeniu oczekiwał na następne rozkazy. Nekromanta zauważył, że olbrzym nie wygląda jak typowy trup. Kości palców jego prawej dłoni były zaciśnięte w pięść; w lewej trzymał masywny miecz, którego ostrze pod wpływem czasu stało się matowoczarne. Koścista dłoń wciąż ścisnęła rękojeść — tak jak w chwili, gdy umierał.

Szeroką klatkę piersiową okrywał wypolerowany pancerz.

Kości tak stare, jak te, często były kruche i nie trzymały się kupy. Nie rozpadały się tylko dzięki przesyłanej im nekromantycznej energii. Energia ta nie wystarczyłaby do utrzymania ciężaru, jakim obarczony był olbrzym, ale siła płynąca z Czarnego Pierścienia wspomogła nagromadzoną w kościach moc, której było zadziwiająco dużo.

Uzbrojony kościotrup wyglądał na... zniecierpliwionego. Tevek jeszcze nigdy nie spotkał się z takim zachowaniem szkieletu. Już wcześniej postanowił, że porozmawia z olbrzymem, więc teraz się dowie, co wywołało taką postawę jego nowego poddanego. Rozmowa oczywiście przedłuży realizację zadania, ale nie mógł wykluczyć, że gigant wie coś na temat obiektu poszukiwań. Gdyby tak było, Tevek miałby szansę uwolnić się od śmiertelnej klątwy, jaką rzucił na niego Thoth—Amon.

Nekromanta pogrzebał w szatach i wydobył kilka specyfików, niezbędnych do prowadzenia rozmowy ze zmarłym przed tyloma wiekami. Niektóre z czarodziejskich substancji były dość rzadkie, na przykład język wycięty z ust dziewicy i zasuszony w świetle księżycy na nagrobku mordercy. Inne były bardziej pospolite, jak chociażby nasączony olejem proch z kości, którym Tevek posypał zasuszony język. Włożył spreparowane składniki do małego żelaznego naczynka i je podpalił. Mamrotał sekwencje, których wyuczył się z zapisanych krwią kart starożytnej księgi pythońskiej nekromancji. Rozkazał olbrzymowi, by się do niego zbliżył. Dym z naczynka wił się do góry jak powietrzny węgorz i wnikał w głębokie oczodoły wykrzywionej w grymasie czaszki kościotrupa.

— Niech starożytny przemówi — zażądał Tevek.

Wielka szczęka, w której tkwiły zepsute zęby, nie poruszyła się.

Tevek pokiwał głową. Zganił sam siebie za błąd, jaki mógł popełnić tylko nowicjusz. Przecież ten człowiek nie znał stygijskiego. Jeśli historia nie kłamała, to ostami Nithianie wyginęli przy końcu ery Acheronu. Z tamtych czasów pochodziło wiele tomów najsilniejszych czarów, więc Tevek dość dobrze znał języki owego okresu.

— Jak cię zwa? — zapytał z trudem wymawiając achemońskie słowa. Wcześniej bardzo rzadko musiał mówić w tym dziwnym języku.

— Szakal — padła odpowiedź. Głos był przytłumiony i zniekształcony, jakby mówiący stał na dnie głębokiego dołu.

— Skąd przybyłeś?

— Tartarus.

Tartarus — wszak było to centrum achemońskiego imperium! Tevek wyczuł w tonie szkieletu nutkę goryczy. Głos Szakala nie był bezbarwny jak głosy innych trupów, z którymi do tej pory rozmawiał.

— Jak nazywa się miejsce, gdzie się urodziłeś?

— Pyrrophlagalon.

Miasto Płonących Dusz — mroczne serce Acheronu! Gdyby nie brak czasu, Tevek dowiedziałby się więcej o zaginionej stolicy. Niewiele było wiadomo o achemońskich miastach. Większość z nich spłonęła, a właściwie została zrównana z ziemią, kiedy upadało imperium.

— Jakie stanowisko zajmowałeś w Pyrrophlagalonie?

— Naczelnny Wódz Imperialnych Legionów.

Teveka zdumiał ton głosu, dumny i arogancki nawet po śmierci. Ale podana informacja nie

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

zgadzała się z danymi historycznymi. Przynajmniej nie z tymi, które znał nekromanta. W Rocznikach Acheronu podany był wykaz achemońskich wodzów, ale tytułem — Naczelnego — wyróżniony był tylko Dhurkhan Czarnomicznik, brat okrutnego czarnoksiężnika Xaltotuna. Czarnomicznik zaginął wraz z wieloma żołnierzami w czasie wyprawy na wschód. Miejsce jego spoczynku było nieznane. Jednak możliwe, że dziś zostanie odkryte.

— Jak nazywali się twój brat i ojciec?

— Moim bratem był Xaltotun, naszym ojcem był Ixcion.

Ixcion... informacji o nim szukało wielu uczonych. Imię tego najokrutniejszego z tyranów zostało wymazane ze wszystkich ksiąg i tablic. Stanowiło najokrutniejsze przekleństwo dla każdego wyznawcy Mitry. Ojciec Xaltotuna znany był historii tylko pod przydomkiem — Pożeracz.

— Dlaczego przybyłeś do Nithii?

— By umocnić wieczne panowanie Acheronu. Wymijająca odpowiedź zirytowała Teveka. Zakłęcie nie zawsze było w stanie wydobyć z trupa odpowiedź, ale odpowiadający w żadnym wypadku nie mógł kłamać. Mimo to przesłuchiwanie często udzielali pokrętnych zeznań.

— A czego dokładnie szukałeś w Nithii?

— Szalonego Boga.

Czyżby kościste palce mocniej ścisnęły rękojeść miecza? Tevek nie miał co do tego pewności. Zamierzał przebadać Czarnomicznika raz jeszcze, dla przyjemności — gdy tylko zdobędzie przedmiot, dzięki któremu uwolni się od śmiertelnego zaklęcia Thoth—Amona.

— I razem, Czarnomiczniku, odnajdziemy to bóstwo — mruknął Tevek. Kiedy mówił te słowa rozległ się szmer, z piasku zaczęły się wynurzać następne skrzypiące szkielety. Przed dalszym przesłuchaniem Tevek musiał wykonać pracę. Podporządkowanie sobie Naczelnego Wodza Acheronu sprawiło mu niemałą satysfakcję. Uważał też, że podniesieni z prochu starożytni wrogowie Ibisa byłiby doskonałymi narzędziami w realizacji upragnionej zemsty. Kościści słudzy jeden po drugim wyswobadzali się z pustynnego grobu. Tevek polecił, żeby ustawiali się w szeregu za swym dawnym dowódcą.

Większość z nich miała na klatkach piersiowych pancerze, tak jak Czarnomicznik. Na plecach innych, na wykutych z brązu łańcuchach wisały tarcze. Takie uzbrojenie z powodzeniem można było wykorzystać przy odkrywaniu wieży. Nekromanta rozkazał kościotrupom, by zdjęły z siebie rynsztunek i zaczęły usuwać piasek. Trudno było zagadnąć, ile czasu zajmie wykopanie wielkiego dołu, ale przynajmniej jego robotnicy nigdy się nie męczyci. Wystarczyło proste zakłęcie i będą kopać, póki nie każe im przestać.

Szybko odstonili biały marmur. Tam kończyła się mosiężna iglica. Widok setek poruszających się trupów, nagarniających na swe tarcze i pancerze piasek, przenoszących go na miejsce wskazane przez ich pana, wysypujących ładunek na kupę i wracających po więcej, pozbawiłby zdrowych zmysłów każdego, tylko nie nekromantę.

Tevek rozkazał Czarnomicznikowi, by odłożył miecz i wraz z innymi zabrał się do pracy. Jednak olbrzym go nie usłuchał. Zaniepokoiło to nekromantę. Podejrzewając, że w niezwykłym mieczu wciąż tkwiły zaklęcia, powtórzył rozkaz, jednak tym razem uderzył w kościotrupa energią z Czarnego Pierścienia.

Jedna po drugiej, kości palców prostowały się na rękojeści. Tevek wyraźnie odczuwał opór, ale dał sobie z nim radę. Następnie rozkazał Czarnomicznikowi zdjąć pancerz, szybko się jednak zorientował, że wszelkie próby byłyby daremne. Zaciski spinające zbroję były zانيتowane. Za życia ten człowiek musiał w niej spać. Nekromanta porzucił myśl włączenia Czarnomicznika do prac wykopaliskowych. Uznał, że teraz był odpowiedni czas, by bliżej poznać historię olbrzyma.

W naczynku wciąż tlił się język i póki nie wygaśnie, Tevek mógł przesłuchiwać Szakala.

— Podnieś miecz — powiedział tonem wspaniałomyślnego pana, który okazuje łaskę swemu słudze. Następnie oddał się od wieży, a olbrzym podążył za nim. Nekromanta ustawił naczynko i usiadł na kupce piasku.

— Teraz, Dhurkhanie Czarnomiczniku — zaczął — powiedz mi, jak dostałeś się do Nithii... I co zamierzałeś zrobić po zdobyciu Szalonego Boga?

Szakał opowiadał ze szczegółami o swych okrucieństwach sprzed stuleci, a Tevek wciąż zadawał mu nowe pytania. Kiedy księżyc przemierzał ciemne niebo i oświetlał niewiarygodne sceny, jakie tej nocy rozgrywały się na pustyni, nekromanta słuchał opowieści o wydarzeniach, które nie były zapisane w żadnej księdze, o których nie wiedział żaden żyjący mędrzec.

I tak na kilka godzin przed wschodem słońca na nowo zrodził się stary i diaboliczny plan podboju świata.

XIV

PRZEKŁĘTA PUSTYNIA

— Na Erlika i Zandru — popatrz tam! — wykrzyknął Conan. Przekręcił się w siodle i wskazał na zachodni horyzont pustyni. Nad kamiennym wzniesieniem krążyły sępy, zataczały krąg i obniżając lot skrywały się za skałami. Ani jedno ptaszysko nie odlatywało — raczej przybywało ich więcej. Ich czarne kształty wypełniały niebo nad wzgórzem. Cymmerianin od razu wiedział, co się tam stało, skoro zleciało się aż tyle padlinożernego ptactwa. To nie było padłe zwierzę ani wyrżnięta przez rabusiów karawana kupiecka. Obecność tak wielkiego stada sugerowała, że na wzgórzu niedawno rozegrała się wielka bitwa, w której poległy setki, a może nawet tysiące wojowników.

— Co, na Mitrę... — zaczęła wpatrzona w rój padlinożerców Sivitria.

— Mitra do tego ręki nie przyłożył. To dzieło człowieka. Sądząc po liczbie żerującego ptactwa, dokonano tego wielu ludzi. Ale o co walczyliby tutaj aż tylu idiotów? Znam ten rejon gorzej niż zachodni Shem. Przecież tu nie ma nic prócz piasku i kamieni. Chociaż... kiedy mieszkalem pośród kozaki, niektórzy mówili o osiedlach górniczych we wschodnim Shemie. A zdaje się, że droga, którą jedziemy, tam właśnie prowadzi.

Sivitria pokiwała głową.

— Chyba tak. Jeden ze złodziejskich cechów — z Khorai, na północny wschód stąd — handluje rudą cennych metali, którą kradnie przejeżdżającym tędy kupcom.

— A ich szlak handlowy prowadzi przez gąszcz obżerających się sępów. Na Croma! — Conan zatrzymał konia i z kamizelki wyjął mapę. Wygładził poplamiony potem pergamin i spróbował określić ich położenie. — Jeśli się nie mylę, to Mosiężne Miasto jest niedaleko stąd. Najwyżej dzień jazdy.

— Czy nie możemy zboczyć z drogi i ominąć to pole trupów?

Conan, który właśnie się nad tym zastanawiał, poprawił przesiąkniętą potem opaskę na głowie i wbił pięty w boki konia. Zwierzę ruszyło kłusem.

— Nie — odpowiedział. — Nie chcę opóźnić poszukiwań bóstwa, ale jeśli armia, która dokonała tej rzezi operuje w okolicy, to lepiej, żebyśmy wiedzieli o tym możliwie najwcześniej. Zanim pojedziemy dalej, sprawdźmy, co się tam wydarzyło.

— Co byś powiedział na rozbiście obozu za kilka obrotów klepsydry? — zaproponowała Sivitria. — Nie wiem dlaczego jestem taka obolała — czy to po wczorajszej jeździe z asshuri, po nocnej... kąpieli, czy może od tego podłego siodła.

Conan uśmiechnął się szeroko. Jemu kąpiel dodała energii, choć później nie zostało już dużo czasu na sen. Kiedy obudził się o świcie, a obok niego leżała zwinięta w kłębek Sivitria, był wypoczęty. Ból, który tak bardzo mu wczoraj doskwierał, przez noc opuścił jego ciało. Zawsze chwila odpoczynku pozwalała mu odzyskać witalność, wyleczyć rany i zapomnieć o zmartwieniach. Taka była jego wilcza natura, a przejawiała się wtedy, gdy dążył do jakiegoś celu. Dzisiaj myślał już tylko o tym, by znaleźć perłowe bóstwo, zgarnąć nagrodę i co koń wyskoczy powrócić do Messancji. Denerwowało go, że w tym przedsięwzięciu mają swój udział również złodzieje i zamachowcy. Barbarzyńca wolał towarzystwo prostych łajdaków, jak ci z „Jastrzębia”. A Rulvio, choć jak na wilka morskiego był całkiem poczciwy, przecież nie będzie czekał na niego w nieskończoność.

— Co ty na to? — powtórzyła Sivitria.

Conan zamyślił się i zapomniał o propozycji Sivitrii.

— Postój? Nie, nie zatrzymujmy się, póki nie pokażą się gwiazdy. Księżyc świeci tutaj na tyle jasno, że będziemy widzieć drogę. Poza tym najlepszy czas na podróż przez pustynię to noc.

— Ale nasze konie nie mogą biec cały dzień i całą noc — argumentowała. — Nie wiesz, czy przed nami są jakieś źródła albo oazy? Chociaż mamy ze sobą wodę, to należy ją w miarę możliwości oszczędzać.

— Nikt nie zna pustyni wschodniego Shemu — albo zachodniego Turami — jak niektórzy ją nazywają, w zależności od tego, któremu monarsze przysięgali wierność. Kiedy przewodziłem grupie rabusiów kozaki, strona shemicka miała przewagę. Większość koczowników, jak również podróżnych, stroni od tego pasa pustyni. Jeśli miałabyś ochotę słuchać, to napletliby ci o klątwach i duchach. Od tych opowiadań, a jest ich tu tyle co ziaren piasku, człowiekowi jeży się włos na głowie. Kto wie, może niektóre z nich są prawdziwe. Tylko cudzoziemcy i nieustraszeni kupcy zapuszczają się w to pustkowie. Na Croma, póki nie znalazłem mapy do Mosiężnego Miasta, sam też nigdy nie myślałem o podróży w te strony. Sivitria patrzyła na krążące sępy i słuchała Conana.

— Ta droga musi dokądś prowadzić. Może za skałami na tamtym płaskowyżu znajdziemy

wodę.

— Wodę — możliwe. Ale jestem pewien, że nic ponadto. Kiedy zbliżymy się do tego makabrycznego miejsca, owiń sobie twarz chustką i oddychaj przez nią... od samego odorowi człowieka skręcają się kistki. Nie radzę ci też patrzeć na ciała poległych, chyba że już widziałas pole usłane trupami. Pamiętaj, że sępy nie spożywają pokarmu z wdziękiem. — Mówiąc te słowa, uśmiechał się drwiąco.

— Podobnie jak ty, ja też nieraz łamałam chleb przy stole śmierci. Wojownik nie zwraca uwagi na smród i niesmaczny widok rozszarpanych przez padlinożerców zwłok. Jechali w milczeniu, ich konie biegły kłusem po pnącej się po stoku drodze. Popołudniowe słońce rozpałało wydmy i wysysało z powietrza resztki wilgoci. Wkrótce przykry zapach przepoczonej końskiej sierści i suchy kurz zaczęły ustępować coraz bardziej gryzącemu odorowi. Zbliżyli się do szczeliny w skale, przez którą prowadziła droga. Teraz słyszeli już trzepotanie skrzydeł i skrzeczenie walczących o łup sępów.

Kiedy kopyta koni zadudniły w skalnym korytarzu, w ich twarze uderzyła fala smrodu rozkładających się trupów. Sivitria zakrzuszyła się i podniosła rękę do ust. Chociaż wcześniej hardo mówiła o stole śmierci, teraz jej twarz stawała się coraz bledsza. Droga w tym miejscu była wąska, po obu stronach mieli strome, kamienne ściany. Cymmerianin podziwiał zalety tej naturalnej fortyfikacji; każdy, kto chciał dostać się na wzgórze, musiał przejść przez korytarz, którego skutecznie mogła bronić nawet garstka wojowników.

Conan ostrożnie posuwał się naprzód po zakręcającej ścieżce. „Na kości Zandru”, wymamrotał. Kilka kroków przed nim, tam gdzie ścieżka otwierała się na płaskowyż, naliczył przynajmniej dwadzieścia martwych ciał. Sępy, niezadowolone, że ktoś przeszkadza im w uczcie, zaskrzeczały i odrzuciły od stosu zrzuconych na kupę zwłok. Pryzmę, sięgającą powyżej pasa dorosłego mężczyzny, tworzyła płatnina nadjedzonych kończyn i rozerwanych brzuchów, z których wypływały wnętrzności. Z zakrwawionych twarzy ślepo patrzyły puste oczodoły, dzioby padlinożerców wydłubały z nich oczy. Sępy wyżarły już dużo mięsa, tu i tam widać było odsonięte kości poległych. Muchy nie były tak płochliwe jak padlinożerne ptactwo, i nad stosem trupów unosiły się całe ich roje.

Fetor rozkładających się w popołudniowym słońcu ciał był nie do wytrzymania nawet dla Conana. Wyjął z juków chustę i zawiązał ją sobie tak, by zakrywała mu usta i nos. Sivitria pośpiesznie zrobiła to samo. Wstrzymali konie. Z przerażeniem i ciekawością patrzyli na zwłoki.

— Kim oni byli? Jak zginęli? — dopytywała się Sivitria. Chustka na twarzy tłumiła nieco jej głos.

— To Shemici, chociaż trochę ciemniejsi. Zginęli nie dawniej niż wczoraj. Inaczej już by ich żarły larwy much. Niektórzy z nich byli ubrani w skórzane kaftany i mieli przy sobie broń — zauważył Conan. Zsiadł z konia i podszedł bliżej stosu, by lepiej przyjrzeć się ciałom. — Dziwne — mruknął. Wyjął miecz i przewrócił nim jednego z trupów na plecy.

— Co takiego? — spytała Sivitria, która wciąż siedziała na koniu. Potarła się po szyi i ziewnęła, jakby była bardzo zmęczona.

Conanowi wydawało się, że jest zbyt błada; to pewnie niezbyt ostry udar słoneczny, chociaż dziś nie było aż tak gorąco. On wiele razy wędrował w bardziej upalne dni. Obserwować dziewczyna nie była zaprawiona w tego rodzaju podróżach. Uznał, że musi obserwować, czyjej stan się nie pogarsza, i znów zwrócił myśli ku stosowi trupów.

— Te wyszyte na kaftanach znaki — trzy trójkąty w kole — odpowiedział obojętnie.

Odwrócił jeszcze kilka ciał i przyglądał im się uważnie.

— Większość wojowników, nie licząc najemników, nosi jakieś znaki. I co z tego?

— Nigdzie na południe od stolicy Nemedii nie widziałem symboli podobnych do tych tutaj

— odparł Conan. — Jeśli się nie mylę, to byli wyznawcy Ibisa.

— Masz rację, młody człowieku. — Nie wiadomo skąd dobiegł ich łagodny głos.

— Na Croma! — Conan odskoczył do tyłu. Uniósł miecz.

Sivitria syknęła ze zdziwienia, również wyjęła z pochwy miecz i trzymając go w pogotowiu przyglądała się przejściu za nimi.

Conan zauważył, że pada na niego wydłużony cień człowieka... osoba ta stała na wzniesieniu za jego plecami. Odwrócił się i spojrzał do góry na szczyt skały. Tam, gdzie kończyło się przejście, ściany nie były tak strome.

Zobaczył przygarbionego, chudego starca odzianego w tunikę z długimi rękawami i spodnie ze lśniąco białego jedwabiu. Jego skąpa, długa broda wyrastała z pomarszczonej twarzy i sięgała do wyblakłych rzemieni sandałów. Na dole była lekko wywinęta do przodu.

W guzowatej pięści nieznajomy trzymał cienką, wykonaną z drewna laskę, białą jak alabaster. Przepasany był wyblakłym pasem ze splecionego sznura. Pas spinała srebrna klamra ze

znakiem podobnym do tych, jakie widniały na kaftanach pomordowanych. Klamra stanowiła jedyną ozdobę na skromnych szatach starca.

— Crom? — Starzec powtórzył zawołanie Conana i pokręcił głową. Stuknął laską o kamień i zniknął.

Conan obracał się, obserwując szczyty skał, ścianę okalającą osadę kamiennego wału i przejście, którym się tutaj dostali. Nic nie znalazł.

— Zniknął! — Sivitria, zdeorientowana, popatrzyła na swego towarzysza i wzruszyła ramionami. — Jak? Przecież to niemożliwe!

— Owszem, możliwe — znów odezwał się ten sam głos. Tym razem sędziwy nieznajomy stał na ścieżce przy wyjściu z osady. — Nie ufajcie tak bardzo swoim oczom, to co widzicie, może być złudne. — Szurając nogami po ziemi, podszedł do nich i zatrzymał się na długość miecza przed stosem trupów.

Conan stał z opuszczoną bronią. Nagle wokół nich zapanowała cisza. Cymmerianin zauważył, że muchy przestały brzęczeć. Spojrzał na makabryczny stos i włosy zjeżyły mu się na głowie. Muchy leżały na ziemi, wszystkie były martwe.

— Cromie! Co za...

Kiedy starzec uśmiechnął się, na brodatej twarzy pojawiły się tuziny nowych zmarszczek.

Ale jego brwi wciąż pozostawały ściągnięte, tak jakby był smutny albo zakłopotany.

— Nie Cromie, młody człowieku, ja nim nie jestem. On siedzi zadumany w zamglonych komnatach pod szarą, kamienną górą i nigdy nie zagląda w ten zakątek świata. Jakże wy, Cymmerianie, jesteście do niego podobni. Jak twarde są wasze mięśnie, umysły i dusze. — Starzec westchnął.

Sivitria zeskoczyła z konia. Otarła czoło i podeszła do Conana. Stała u jego boku.

— Masz twarz Caran... — Nie, to przez ten upał, to nie mógłby być on. — Starcze, mam już dość twojej gadaniny! Powiedz, kim jesteś i co tu robisz, a jeśli jesteś duchem, to odejdz i zostaw nas w spokoju. Mamy ważną sprawę do załatwienia, ale tobie nic do tego.

— Nie jestem duchem... Moje zużyte ciało i stara krew tworzą człowieka znanego jako Caranthes, kapłan Ibisa.

— Caranthes? Więc przybywasz tutaj ze swej świątyni w odległym Hanumar? Czy raczej zwodzisz nas czarodziejskimi sztuczkami? — wypytywał Conan podejrzliwie.

— Można by powiedzieć, że i jedno, i drugie. Choć widzicie mnie tutaj, przy bramie do Kaetty, stoję teraz, skapany w słońcu, w Siódmym Kręgu Modlitwy na dachu świątyni w Hanumar. Z niechęcią włączam w te sprawy osoby trzecie, ale nie ma wiele czasu. Do tej pory nic nie zapowiadało nieszczęścia, jakie niebawem może spaść na nas wszystkich. Lecz teraz wezwał mnie Święty Ibis, gdyż z długiego i głębokiego snu wyrwały go śmiertelne jęki jego wyznawców. Ponieważ tutejsza świątynia została zbezczeszczona, nie mógł zapobiec rzezi swego ludu. Przyszedł do mnie gdy spałem i rozkazał, bym udał się w duchową podróż do naszej siostrzanej świątyni, w której wydarzyło się tyle okropności i bluźnierstw.

Conan wyraźnie odczuwał promieniującą od nieznajomego życzliwość, nie miał jednak pewności, czy ten człowiek naprawdę jest świętym kapłanem, czy podstępny czarownikiem.

— Duchowa podróż? — zapytał z niedowierzaniem. — Ludzie mówią, że duchy nie rzucają cienia, a ja niedawno stałem w twoim.

— Już ci mówiłem, żebyś nie wierzył wszystkiemu, co widzisz. Widziałeś cień, bo byłeś pewien, że stoję na skale. Nalegam, żebyśmy nie trwonili resztek dnia na do niczego nie prowadzące dyskusje. Kiedy zajdzie słońce, będę musiał powrócić do Hanumar i pozostać tam do następnego wschodu.

Ból głowy, o jaki przyprawił Conana widok starca, stawał się coraz mocniejszy.

Cymmerianin przetarł ręką twarz i jego oczy napotkały przeszywające spojrzenie Caranthesa. Conan natychmiast zauważył różnicę między oczami kapłana. Prawe błyszczało jak bursztyn w jasnym świetle pochodni, lewe mieniło się błękitem, głębokim jak zimne wody na północnym Morzu Vilayet. Conanowi przypomniały się plotki, zasłyszane dawno temu w Numalii. Ponoć Caranthes urodził się z jednym okiem niebieskim, a drugim pomarańczowym. Jak daleko sięga pamięć ludzka, ów fenomen wyróżniał kapłanów Ibisa.

— Sam nie wiem dlaczego, ale wierzę, że naprawdę jesteś Caranthesem. Musisz wiedzieć, że my nie mamy z tą rzezią — Conan, zakreślając mieczem łuk, wskazał na poległych — nic wspólnego.

— Tylko chcieliśmy tędy przejechać — dodała Sivitria. — Na Bela! Ty naprawdę wyglądasz jak Caranthes.

— Zapewniam was, że nim jestem. I że — Caranthes mówił kiwając głową — wasze „pilne sprawy” bardzo mnie obchodzą, chociaż wy twierdzicie co innego. Chciałbym powiedzieć, że to Święty Ibis was tutaj skierował, ale żaden kapłan Ibisa nigdy nie skłamał.

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

Nie jesteście też tutaj z woli waszych bogów — samotnik Crom i Ibis nie mają wspólnych trosk. — Powiedziawszy to, zwrócił się do Sivitrii. — A przesłanki, jakimi kieruje się kapryśny Bel, rzadko są zbieżne z motywami Jedynego Prawdziwego Boga Słońca. — Przerwał i spojrzął w górę. — Nie, przybywacie tutaj z własnej woli i, chociaż nie przemawia przez was prorocstwo Ibisa... nie przysłał was też przeklęty Set. To jest naszą przewagą, możemy zaskoczyć...

— Chwila, Caranthesie — zaprotestował Conan. — Naszą przewagą? Kogo mamy zaskoczyć, i dlaczego? Czy przybyłeś tu, by zemścić się na tych, którzy dokonali tej rzezi? Caranthes cofnął się o krok.

— Zemsta nie jest przyczyną ani celem dla prawdziwego wyznawcy Świętego Ibisa. Nigdy jej nie szukaliśmy. — Mówił wolno, jego słowa przepojone były smutkiem. — Opłakuję tych, którzy tutaj zginęli, ale wierzę, że dzięki śmierci wypełnili cel swojego życia. Zapewne teraz spoczywają w pokoju i świetle. Ta zbrodnia ostrzegła Ibisa, że ten, kto jej dokonał, ma jeszcze nikczemniejsze plany. Gdyby nie tragedia tych ludzi, moglibyśmy nie zdażyć powstrzymać palców zła przed zawładnięciem bóstwem i wykorzystaniem go do niecných czynów.

— Nie, Cymmerianinie. Przybywam, by zapobiec temu, co nie ma prawa się zdarzyć, by osłonić świecę dobra przed podmuchem czarnych mocy, który zdmuchnąłby jej płomień na zawsze. W czasie snu Święty Ibis przedstawił mi obrazy z przeszłości, pokazał miejsce, które było uważane za zaginione na wieki... błyszczące mosiężne iglice, gładkie marmurowe ściany. Przed wiekami, przed początkiem Acheronu, moi przodkowie czcili Świętego Ibisa w świątyni, z której wspaniałością nie może się równać żadna z dzisiejszych. Ów gmach miał podwójne przeznaczenie. Było to miejsce modlitwy i skarbiec, w którym przechowywano talizman starożytnych mocy.

— Szalony Bóg — wtrącił Conan. Był nachmurzony. Sivitria obrzuciła go spojrzeniem.

— Na Bela! Czy nie pozwolisz mu dokończyć? Caranthes nie zwrócił uwagi na jej wybuch gniewu.

— W Nithii, a nazwa ta oznacza Mosiężne Miasto, miejsce gdzie tryskało Siedem Fontann Ibisa, władzę sprawowali kapłani—królowie. Solnarus był ostatnim w moim zakonie, który nosił ten tytuł. On i wszyscy inni Nithianie zginęli. Przeżył tylko jego syn. Solnarus wiedział o zbliżającym się upadku Nithii i potajemnie odesłał chłopca z miasta. To właśnie on, syn ostatniego króla—kapłana, wznosił mniejszą świątynię w Hanumar, tę w której dzisiaj ja służę Ibisowi.

— Syn Solnarusa nigdy nie ujawnił lokalizacji Nithii, nie zdradził jej też swoim potomkom. Wierzymy, że zmarli śpią snem spokojnym, kiedy żywi o nich zapominają. Ale inne siły, tak stare jak sam Ibis, zapragnęły odkryć miejsce spoczynku moich przodków.

— Święty Ibis wskazał mi lokalizację Nithii. Ostrzegł mnie, że to miejsce zna ktoś jeszcze: najpodlejszy ze sług Seta, okrutny Thoth—Amon.

— Thoth—Amon! — warknął Conan. Jego palce zacisnęły się na rękojeści miecza. — Miałem nadzieję, że już nigdy nie usłyszę tego imienia. Co ten bękart węża ma wspólnego z całą sprawą?

— Nic, jeśli dotrzecie do Mosiężnego Miasta na czas — odparł Caranthes. Jego pomarańczowe oko zamigotało. — Choć Ibis nie powiedział mi, jak upadła Kaetta, wydaje mi się, że patrzmy na makabryczne dzieło tego czarnoksiężnika. Wciąż czuć tutaj woń Czarnego Pierścienia.

— Całkiem możliwe — zgodził się Conan. Położył dłoń na ramieniu Sivitrii. — Przypatrzmy się śladom. Przy niektórych ciałach nie ma zbrój ani broni. Popatrz na to. — Szturchnął jednego z trupów czubkiem sandała.

Sivitria pochyliła się, by obejrzeć zwłoki. Nie było na nich ani kawałka ciała.

— Pewnie sępy oczyściły kości — powiedziała to tak, jakby chciała przekonać samą siebie. — Ale one leżą pod innymi...

— No, właśnie. Na tych kościach już od dawna nie ma ciała, ale nie zostało wydziobane przez sępy, raczej uległo rozkładowi. — Końcem miecza Cymmerianin wskazał palce szkieletu. Kostki obejmowały rękojeść okrwawionej zakrzywionej szabli. — To może być robota Thoth—Amona. Ci ludzie nie zginęli w bitwie z pustynnymi rabusiami.

Caranthes pogłaskał się po brodzie.

— Do Kaetty przybędą ludzie szukający Nithii. Tak powiedział mi Ibis. Będą znać drogę. Jeśli ich stopy staną na piasku Pustyni Nithijskiej przed zachodem słońca, pokonają kata Kaetty, a los Szalonego Boga spocznie w ich rękach.

— Przed zachodem słońca? — Conan wskazał rubinowy krążek nad horyzontem. — Twoja opowieść już kosztowała nas pół obrotu klepsydry. Jeśli twa przepowiednia jest

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

prawdziwa, musimy natychmiast pędzić galopem. Na Croma i Badba! Skoro Thoth–Amon chce nas zniszczyć, trzeba zrobić wszystko, by go powstrzymać. Stałą zwyciężymy wroga z krwi i kości, ale stawać przeciw tej larwie diabła tylko z mieczami i przepowiednią z twojego snu... nie masz nam nic więcej de zaoferowania?

— Thoth–Amon jest z krwi i kości, nie miejcie co do tego żadnych wątpliwości.

— Caranthesie... jeszcze jedno — wtrąciła się Sivitria. — Musimy wiedzieć więcej o Szalonym Bogu. Dlaczego poszukuje go stygijski czarnoksiężnik? Z tego co o nim słyszałam, nie interesują go skarby. Raczej ceni rzeczy, które inni uważają za bezwartościowe.

— Przy statuetce Szalonego Boga jego Czarny Pierścień jest jak dziecinna zabawka. Mamy szczęście, że pełne imię perłowego bóstwa zaginęło wraz z upadkiem Acheronu. Znam trzy z jego sześciu imion. To wystarczy, by go obudzić, ale aby go zniszczyć, trzeba wypowiedzieć wszystkie sześć wyrazów w odwrotnej kolejności. Pozostałe trzy imiona były zapisane w księgach, jednak po upadku Acheronu zaginały po nich wszelki ślad. Krążą plotki, że owe księgi wciąż istnieją, ale ja ich nie widziałem. Thoth–Amon jest bardzo niebezpieczny i przebiegły. Jeśli statuetka wpadnie w jego ręce, to możliwe, że pewnego dnia odkryje prawdziwe imię bóstwa, obudzi siły Chaosu i na nowo rozpęta między bogami wojnę, która zatopiła Atlantyde i niewiele brakowało, by pochłonęła resztę świata.

— Więc nie jest to tylko wielka perła — odezwała się Sivitria z zadumą.

— Masz rację — odrzekł Caranthes. Przełożył laskę do lewej ręki i rozprostował palce, którymi ją wcześniej obejmował. — Przypuszczam, że wiedzieliście albo domyślaliście się, iż nie jest to zwykły klejnot. Ale nie mogę od was wymagać, byście zdobyli statuetkę.

Bez względu na to, jakie pobudki wami kierują, niskie czy szlachetne, musicie sami dokonać wyboru. Jeśli nie macie odwagi stawić czoła czarnemu słudze przeklętego Seta, opuście to miejsce śmierci i powróćcie tam, skąd przybywacie.

Rozsadzający głowę Conana ból potroił się. Konfrontacja z Thoth–Amonem oznaczała podróż wprost do piekła, ale jeśli istniała szansa... jeżeli bóg Ibis naprawdę przepowiedział śmierć tego potwora, to cóż, dla Cymmerianina zemsta była pobudką i celem. Skoro mógł zlikwidować przeklętego Stygijszyka i jeszcze miał na tym skorzystać finansowo, to czemu nie?

— Więc jeśli się pośpieszymy, statuetka trafi w nasze ręce. I twoje, kiedy ci ją oddamy.

Caranthes wolno pokręcił głową.

— Tego jeszcze nie wiem. Bóstwo nie było bezpieczne w Nithii, więc nie będzie też bezpieczne w Hanumar. Muszę się nad tym zastanowić. O zachodzie słońca omówię tę kwestię z braćmi zakonnymi. Dużo zależy od tego, co się jeszcze wydarzy.

Sivitria włożyła miecz do pochwy.

— Czy jutro znów... odbędziesz wędrowkę duszy i spotkasz się z nami?

— Jeśli Święty Ibis da mi siły, to przybędę tu raz jeszcze.

— Tylko nie przychodź zbyt wcześnie — prosił Conan. — Zabicie czarnoksiężnika i znalezienie figurki w zaginionym mieście to praca na całą noc. Wsiadajmy więc na konie, i ruszajmy do Nithii. — Wytań ostrze miecza o podeszwę sandała, wsunął oręż za pas i wspiął się na swego rumaka.

Caranthes podniósł rękę:

— Zanim odjedziecie, chcę wam zadać jedno pytanie. Jak się nazywacie?

— Conan z Cymmerii.

— Kyla... — zaczęła Sivitria i przerwała. — Sivitria z Zamory — powiedziała po chwili milczenia.

Twarz Caranthesa posmutniała. Czyżby był zawiedziony? Ale zaraz pojawił się na niej ciepły uśmiech.

— Dobrze było was spotkać, Conanie i Sivitrio. Niech Święty Ibis ma was w swojej opiece, moi młodzi przyjaciele. Musicie zawrócić i objechać płaskowyż dokoła. Wasze konie stoją na jedynej drodze z Kaetty.

Conan i Sivitria spojrzeli na siebie, chwycili wodze i obrócili konie. Caranthes machał im ręką. Na jego starczej twarzy malował się smutek, Ani Cymmerianin, ani Zamoryjka nie odzywali się póki nie dojechali do połowy skalnego korytarza.

— Wierzysz, że przed nami naprawdę pojawił się Caranthes? — odezwała się w końcu Sivitria.

— A jakie to ma znaczenie? Czy to była złuda czy nie, moje plany i tak się nie zmieniły.

— Conan odnosił wrażenie, że ktoś go obserwuje. Instynktownie spojrzął na szczyty skał otaczających drogę, następnie obejrzał się za siebie. Poruszył ramionami, jakby chciał otrząsnąć się z tego krępującego uczucia. Uznał, że to efekt zakońzonego przed chwilą spotkania z intrygującym starcem.

— Czy nie sądzisz, że to może być podstęp? Możliwe, że komuś zależy, żebyśmy dotarli na miejsce później? Najpierw długo mówił o pośpiechu, a później kazał nam okrążyć płaskowyż, i znowu opóźniał nasz odjazd.

— Możliwe — uprzejmie odpowiedział Conan.

— I to gadanie o Thoth–Amonie. On jest dobrze znany naszym cechom. Moja pani wiele razy zdobywała dla niego różne dziwne przedmioty. Kiedy czegoś bardzo potrzebuje, a brak czasu nie pozwala mu szukać tego osobiście, nie liczy się ze złotem. Według posiadanych przez nas informacji Thoth–Amon przebywa teraz w Oazie Khajar, której już od dość dawna nie opuszcza. Nasi agenci ze stygijskiego cechu, choć z daleka, obserwują go bez przerwy. Niedawno słyszałam, że pochłonięty jest jakimiś niezgłębionymi poszukiwaniami i że zajmą mu one kilka lat.

Conan pociągnął haust wody z worka.

— Gdybyś go znała... wystarczy powiedzieć, że jego czarodziejskie ręce sięgają bardzo daleko. Odległość nic nie znaczy dla tego stygijskiego diabła. Niektórzy mówią, że robi magiczne szwindle nigdy nie opuszczając swego gniazda.

— Zachowujesz się, jakbyś już się z nim zetknął. Powiedz, co może łączyć Thoth–Amona, który ma w swoich rękach los całych narodów, z barbarzyńskim korsarzem.

— Nic, i wolałbym, żeby tak zostało. Tylko głupiec miesza się w sprawy stygijskich czarowników. Ale kiedy byłem młodszy, przez pewien czas mieszkałem w Nemedii. Zdarzyło się, że jakiś próżny elegancik z Numalii zapłacił mi za pożyczenie od miejscowego szlachcica pewnej rzeczy, oczywiście bez jego wiedzy. Kiedy przekłęty stróż przyłapał mnie na gorącym uczynku, na mojej szyi już prawie zacisnęła się nemedyjska pętla. W trakcie ucieczki zabiłem poczwarę, która wylęgła się w najciemniejszej norze Seta. Pokrzyżowało to plany Thoth–Amona. — Conana przeszły dreszcze, gdy przypomniał sobie okropności, jakie widział, zanim wziął nogi za pas. Miał nadzieję, że już nigdy nie spotka na swojej drodze takiego potwora. Do tej pory nie zapomniał bestii o pięknej ludzkiej głowie osadzonej na migoczących zwojach węża.

— Więc nie widzisz nic podejrzanego w tym, że kiedy zostaliśmy sprytnie zwabieni do osady, Caranthes osobiście wyszedł nam na spotkanie? — Sivitria odgarnęła z czoła lok i uniosła brwi. — Nie przyszło ci do głowy, że to, co widzieliśmy, to były czary jakiegoś maga — może nawet samego Thoth–Amona? Kogoś, kto chciał, żebyśmy zawrócili. Kto inny uciekłby na samo wspomnienie o Thoth–Amonie.

Conan wolną ręką masował sobie skronie. Na próżno, ból głowy nie ustępował.

— Na Croma, kobieto! Czy ty wszędzie musisz widzieć ukryte cele i zdradzieckie spiski?

— One są wszędzie. Gdybyś znał choć jedną dziesiątą intryg, które ja...

— Nie będę zaprzętał sobie głowy żadnymi gdyby — warknął Conan. — Niech Thoth–Amon i wszyscy łysi kapłani Seta czekają na nas w Nithii. Nakarmimy ich stałą i wyślemy do piekieł, zanim zdążą nam cokolwiek zrobić. Natomiast jeśli chodzi o Caranthesa, to myślę, że w zamian za statuetkę można by oczyścić jego skarbiec. Moim zdaniem nic nie stracimy, jeśli pośpieszymy do Mosiężnego Miasta. Chwyć jedną ręką lejce, a drugą złap się za pałak siodła. I trzymaj się blisko mnie. — Conan wbił pięty w boki swego ogiera. Popędzany koń przeszedł do kłusa, a po chwili już galopował.

Za parą jeźdźców kłębiły się tumany kurzu. Cymmerianin z Zamoryjką pędzili ku niepewnej przyszłości, jaka czekała ich pośród wydm Pustyni Nithijskiej.

XV

WYKOPALISKA

Toj zsunął się ze skarpy i strzepał ze swego ubrania w kolorze indygo grubą warstwę kurzu. Przez chwilę stał w cieniu skalnego korytarza. Chciał, żeby nagrzone na słońcu ciało nieco ochłonęło. Miał szczęście, że Conan i kobieta — teraz już wiedział, że naprawdę nazywała się Sivitria — zwolnili tempo, kiedy przejeżdżali przez przesmyk w skalistej ścianie otaczającej ten pustynny płaskowyż.

Tropienie ich od Saridis nie było łatwym zadaniem. Na wydmach nie miał gdzie się skryć, musiał więc jechać za nimi w większej odległości niżby sobie życzył. Na szczęście dla niego jechali drogami uczęszczanymi przez kupców i odnajdywanie śladów kopyt ich koni nie stanowiło dla niego problemu. Ale chcąc za nimi nadążyć, nie spał już od kilku nocy; jego koń był najwyraźniej słabszy niż ich rumaki, a na dodatek wiele razy musiał się zatrzymywać i upewniać, czy istotnie jest na ich tropie, co bardzo go nużyło. Tylko kiedy zapadała noc i para śledzonych zatrzymywała się na postój, podjeżdżał na tyle blisko, że mógł ich widzieć. Dopiero wtedy pozwalał sobie na odpoczynek.

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

Assasyn ziewnął i przeciągnął się, rozprostował nogi i ręce. Wcześniej widział, jak wjeżdżali do szczeliny między skałami u podstawy płaskowyżu. Wtedy zaryzykował i podjechał bliżej. Do skał przypędził pełnym galopem. Wprawdzie mogli go zobaczyć, ale istniało niebezpieczeństwo, że zgubi ich w przejściu. Mimo to uznał, że gdyby wjechał za nimi w korytarz, popełniłby wielki błąd. Byłaby to wręcz głupota. Kierując się rozsądkiem, ukrył konia za skałą przy wejściu do korytarza, a sam wspiął się na szczyt urwiska. Kiedy Cymmerianin z kobietą jechali klusem wąską dróżką, Toj biegł po skałach wzdłuż głębokiej drogi. Dzięki kurzowi, jaki osiadał mu na ubraniu, jego postać zlewała się z otoczeniem. Ponieważ nie chciał, by go zobaczyli, biegł za nimi kierując się słuchem. Nie zaryzykował nawet jednego spojrzenia w dół szczeliny. Gdy zbliżył się na tyle, że słyszał, o czym Conan i Sivitria rozmawiają, podczołgał się do krawędzi urwiska i leżał w bezruchu w miejscu, z którego widział, co dzieje się na dole.

Pojawienie się osobliwego kapłana wywarło na nim wrażenie nie mniejsze niż na śledzonej przez niego parze. Toj słuchał z zainteresowaniem. Od razu zrozumiał, dlaczego Jade tak bardzo pragnie Szalonego Boga. Teraz nie dziwił się, że robiła wszystko, by je zdobyć. Czerwona Żmija, w porównaniu z owym rarytasem, była dla Jade tylko niewiele znaczącym drobiazgiem. Natomiast on sam nie przykładął większej wagi do błyskotek i skarbów o wartości muzealnej, z wyjątkiem tych, które mogły mu być przydatne w pracy. Doszedł już do zadowolającej pozycji zawodowej. Będąc tym, kim był, mógł do woli oddawać się swemu ulubionemu zajęciu: zabijaniu. Po cóż miałby rezygnować z wolności i wikłać się w problemy imperium?

Obecność w tym miejscu Sivitrii była zaskakująca, a zarazem interesująca. Znał ją tylko ze słyszenia, wiedział, że w organizacji Jade zajmuje wysokie stanowisko. Mówiła o sobie, że jest siostrą Jade, choć nikt nie wiedział tego na pewno, może oprócz nich samych. Był zadowolony, że nie nadarzyła mu się jeszcze okazja, by ją zabić. Przecież Sivitria mogła być dla niego doskonałym zabezpieczeniem. Porywając ją miałby pewność, że kiedy dostarczy Jade statuetkę, ona uwolni jego ciało od żuka kalb. Tak, Sivitria byłaby idealną zakładniczką. Toj zmarszczył nos i z zawodową wnikliwością przyglądał się leżącym przy wejściu do korytarza ciałom. Gdy doszedł do niego odór unoszący się z wąwozu na płaskowyż, nałożył sobie między górną wargę a nos maść unjjaj. W przeszłości owa maść nieraz okazała się przydatna. Używał jej, kiedy smród otoczenia groził osłabieniem bądź w inny sposób utrudniał mu wykonanie zadania. Tym razem fetor był na tyle silny, że odczuwał go mimo użytej maści.

Conan miał rację. Ci żołnierze dokonali żywota niedawno. Chociaż sępy zdążyły już zmasakrować zwłoki, bystre oko Toja dostrzegło na ciałach mężczyzn ubranych w skórzane kaftany dziwne obrażenia. Wielu z nich miało pokiereszowane gardła. Na brzegach ran widać było cztery równoległe zadrapania, ślady tej wielkości pozostawiały jedynie ludzkie palce. W jednym z rozszarpanych gardeł Toj dostrzegł wystającą kość palcową.

Jeszcze bardziej zastanowiło go kilka szkieletów zupełnie pozbawionych ciała. Ich żebra, kończyny i czaszki nosiły na sobie białe plamy i rysy, tak jakby żołnierze pokaleczyli ją mieczami. Jedna koścista dłoń ścisnęła zakrwawiony oręż. Na nogach innego przetrąconego szkieletu Toj dojrzał strzępy ciemnoszarej tkaniny... wyglądającej na resztki starego całunu. Teraz zrozumiał, dlaczego ci na dole mówili o czarownikach i wspominali o Thoth-Amonie. Było tylko jedno wyjaśnienie: jakiś czarnoksiężnik napełnił szkielety mocą zadawania śmierci. Toj uznał to za ciekawy sposób zabijania. Ofiara, widząc przed sobą wroga, który powstał z grobu, mogła ze strachu nie być w stanie wykonać nawet najmniejszego ruchu. Ożywiony trup, myślał Assasyn, jest posłuszny jak każde inne narzędzie zbrodni w ręku zabójcy i skuteczny jak ten, kto nim kieruje. W tym wypadku, nawet bardzo skuteczny.

Jednak Toj nie mógł długo podziwiać dzieła nekromanty. Conan i Sivitria odjechali już dość daleko, a słońce zbliżało się do horyzontu. Kiedy biegł do konia, zdał sobie sprawę, że może i on będzie musiał stawić czoło czarnoksiężnikowi. Jeśli kapłan mówił prawdę i jeśli Cymmerianin nie zdoła dotrzeć do Mosiężnego Miasta przed zmierzchem, to wtedy statuetka bóstwa zapewne dostanie się w ręce owego czarnoksiężnika.

Tylko raz w swojej długiej karierze zawodowej Toj dostał zlecenie na zabicie maga. Był nim Czerwony Gajaq, okrutny jasnowidz z zamboulańskiego Khan. Miał wielu wrogów, tak wielu, że wzywał stróża-demon, by strzegł go dniem i nocą oraz udaremniał wszelkie próby zamachu na jego osobę. Żeby ustrzec się przed zatruciem, rzucał na jedzenie i wodę oczyszczające zaklęcia. Toj podpatrzył Gajaq, kiedy ten w swej wieży dokonywał obrządku wezwania demona. Gdy jasnowidz wraz ze swym strażnikiem opuścili komnatę, Toj w namalowanym krwią na podłodze ochronnym kręgu wyciął wąską jak włos linię.

Kiedy Gająq stanął w kole i usiłował zmusić do posłuszeństwa innego demona, spotkała go okrutna śmierć. Niewielkie nacięcie pozbawiło krąg jego właściwości i demon–stróż nie był w stanie powstrzymać swego pobratymca. Toj dobrze pamiętał, co się wtedy stało; nigdy wcześniej nie widział, żeby ktoś otrzymał tak potężny cios w głowę. Gałki oczne wyskoczyły czarownikowi z oczodołów, przeleciały przez komnatę i rozbiły się o ścianę. Tak jak powiedział stary kapłan, czarnoksiężnika zawsze można pokonać, bo za osłoną magii kryją się zwykłe ludzkie ciała. Gdyby okoliczności zmusiły Toja do zlikwidowania następnego czarnoksiężnika, na pewno znalazłby na to sposób. Musi zdobyć Szalonego Boga i szybko dostarczyć go Jade, zanim żuk kalb zakończy swą wędrówkę przez jego organy.

Jeśli idzie o Conana, to Tojowi było obojętne, czy mu się powiedzie, czy nie. Bez względu na to, kto pierwszy położy ręce na bóstwie, barbarzyńca czy mag, to i tak tylko on, Mistrz Cechu Assasynów, opuści Pustynię Nithijską żywy.

Z wolna zapadał zmierzch. Tevek Thul obszedł dół, który stawał się coraz szerszy i głębszy. Jego kościści niewolnicy pracowali bez wytchnienia. Podnieśli piaskowe wieko z trumny, w której leżała nithijska świątynia i już całkowicie odsłoniли wieżę. Zajęło im to dużo więcej czasu, niż Tevek przypuszczał. Z początku nie przeszkadzały mu wolne postępy przy wykopaliskach, zajęty był bowiem przesłuchiowaniem trupa Czamomicznika, niegdysiejszego Naczelnego Wodza Acheronu.

Później jednak, kiedy z żarzącego się języka w naczynku pozostał tylko szary popiół, zaklęcie zmuszające zmarłych do mówienia straciło moc i Czarnomicznik zapadł w milczenie. Tevek nie miał drugiego języka i nie mógł odnowić zaklęcia. Ale i tak udało mu się wyciągnąć z trupa sporo nieocenionej wiedzy. Stał teraz obok olbrzymiego szkieletu Czamomicznika i patrzył na postępy w pracach. Obserwując poszerzającą się w piasku dziurę, obchodził dół dokoła. Kościotrup z mieczem w dłoni nie odstępował go nawet na krok.

Mosiężna iglica wznosiła się nad jednym z rogów marmurowego dachu, który był już całkowicie oczyszczony z piasku. Odsłonięty budynek miał kształt kwadratu i był na tyle duży, że przy każdej ścianie można by położyć dwunastu mężczyzn tak, żeby palce u nog jednego dotykały głowy poprzedniego. Dach nie był zbudowany wyłącznie z marmuru. Znaczną jego powierzchnię zajmowały kryształicznie przejrzyste okna. Choć większość z nich została zbita, przy brzegach ram zachowały się fragmenty przezroczystych tafli, które teraz, w promieniach zachodzącego słońca, błyszcząły niczym szklane sztylety.

Zniecierpliwiony powolnością swoich robotników Tevek szukał w pamięci zaklęcia, które pomogłoby przesunąć masę piasku. Dokuczało mu poczucie uciekającego czasu. Coraz więcej myślał o śmiertelnej kłątwie Thoth–Amona. Jego świeca życia z każdym obrotem klepsydry stawała się coraz krótsza. Thoth–Amon z pewnością szybciej uporałby się z wykopaliskami. Niestety, w repertuarze Teveka nie było zaklęć, które poruszałyby ziemię. Niemal cały swój czas poświęcił studiom nad zmarłymi i światem dusz. Sądził, — że takiej właśnie wiedzy mu potrzeba, by osiągnąć cel swego życia i dokonać zemsty na Khyryjczykach. To, czego dokonał wczoraj w pustynnej wiosce zwanej Kaetą, było miłosierne w porównaniu z planami wobec potomków morderców jego przodków. Tevek zmarszczył brwi i przerwał obchód. Nie znalazł lepszego sposobu na usunięcie piasku. Gdyby jeszcze raz skierował swą energię do Czarnego Pierścienia, zupełnie opadłby z sił. W żaden sposób nie wycisnie nic więcej ze służących mu achemońskich żołnierzy. Nie pozostawało nic innego jak tylko czekać, kiedy skończą. Żeby czas mijał szybciej, wyteżył swój nekromantyczny wzrok i zajął do częściowo odkrytej świątyni. Rozglądał się za śladami znajdującego się w niej bóstwa. Czarnomicznik potwierdził, że statuetka jest w gmachu. Co więcej, powiedział, że miał ją w rękach kiedy kłątwa kapłana–króla pogrzebała Nithię. Niestety, figurka była za duża nawet dla niego. Nie mógłby jej trzymać i jednocześnie przekopywać się na powierzchnię.

W trakcie koncentracji umysł Teveka dotknął pięciu trupów, które były pozbawione głów. Nie zawierały ani krzty nekromantycznej esencji, nie przedstawiały więc dla niego żadnej wartości; ale w szóstym ciele... wciąż obecny był strach. Nekromanta natknął się na nie już wcześniej. Umysł pięciu Nithian był przed nim zamknięty, ich uszy głuche na jego szepty. Jednak szósty trup wart był zachodu. Nekromanta zamierzał zedrzeć z jego duszy strup niepokoju i zająrzeć do jątrzącej się pod nim rany. Żałował, że nie ma jeszcze jednego języka dziewczycy, zmusiłby wtedy trupa do mówienia. Ten Nithianin mógł sporo wiedzieć. Oczywiście, były jeszcze inne sposoby na wydobycie informacji od bezgłowego kościotrupa. Tevek zszedł po stromej ścianie wykopu na dół, po czym uniósł się na dach świątyni.

Krzyżując nogi, usiadł na marmurze, odrzucił do tyłu kaptur i zamknął oczy, by je uchronić przed promieniami zachodzącego słońca. Następnie, niczym sztyletem, z całej mocy cisnął swoim umysłem w duszę zmarłego w strachu Nithianina.

PRZEBUDŹ SIĘ — zażądał bezgłośnie. Dusza zmarłego na próżno broniła się przed wolą nekromanty. POWSTAŃ!

Nithianin wykonywał polecenia, choć trwało to długo. Tevek wzmocnił swe rozkazy siłą Czarnego Pierścienia. Dusza zmarłego rzucała się jak śliska ryba w uścisku umysłu nekromanty. Ale ryba została nadziana na patyk i przestała się bronić. WZYWAM CIĘ, BYŚ POWSTAŁ Z PIACHU — rozkazał Tevek. Kończyny zagrzebanego w piasku szkieletu odpowiedziały na wezwanie; czuł jak powoli, z oporem do kości napływa życie, a wraz z nim powraca ból i trwoga. Ale Nithianin wciąż stawiał mu opór. Acheronscy żołnierze — wszyscy oprócz Czarnomicznika — nie wymagali bezustannej kontroli ze strony Teveka. Ta dusza, przepełniona strachem, była inna.

Nekromanta nie ustawał w wysiłkach, uparł się, że zmusi te kości do posłuszeństwa. W końcu szczątki człowieka wypełzły przez wybite okno w suficie. Tevek otworzył oczy i mrugnął. Podczas gdy powoli wydobywał zwłoki, słońce jeszcze bardziej zbliżyło się do zachodniego horyzontu. Za jeden, a najdalej dwa obroty klepsydry miał zapasć zmrok. Tevek oczekiwał tego momentu z utęsknieniem. Znienawidzone słońce przez cały dzień nadwierało jego siły.

Natychmiast dostrzegł część przyczyn, dla których jego nowy poddany tak wolno przedzierał się na powierzchnię. Górna część tułowia kościotrupa była odcięta, klatka piersiowa i kręgosłup roztrzaskane. Brak ramion utrudniał przesuwanie się w górę. Tevek zamierzał wyposażyć trupa w kawałek węgla drzewnego i zmusić go do opisanego wydarzeń poprzedzających jego śmierć. Trup bez rąk był dla nekromanty bezużyteczny. Sprawę przesłuchania trzeba było odłożyć na później, kiedy wnętrze świątyni zostanie oczyszczone z piasku.

Tevek rozluźnił uścisk na drzemających w kościotrupie pozostałościach duszy. Opuszczony szkielet zamienił się w kupkę kości. Nekromanta narzucił na głowę kaptur i otrzepując z piachu szaty wstał i rozejrzał się. Kiedy urozmaicał sobie czas wywoływaniem kościotrupa, prace przy wykopaliskach posunęły się do przodu. Znaczna część piasku zakrywającego jedną ze ścian gmachu była już usunięta. Robotnicy mieli wkrótce dotrzeć do wejścia świątyni. Nagle Tevek poczuł dziwny ból. Niemal zgiął się wpół. Boleści rozchodziły się ze środka jego ciała... to samo przekleństwo, które dosięgło zamoryjskiego przemytnika, Harraba! Nekromanta zbeształ sam siebie. Jak mógł zapomnieć o klątwie Solnarusa. Sądził, że choroba nie zaatakuje kogoś, kto jest chroniony tak jak on przez czarne moce. Jednak zaklęcie było zbyt silne. Mimo to mag z doświadczeniem Teveka mógł się uchronić przed zarazą, chyba że choroba zdążyła się już rozwinąć. Na szczęście jego organizm na czas ostrzegł go o groźnym niebezpieczeństwie.

Z tobołka, w którym trzymał wiele fiolek ze sproszkowanymi kośćmi, wybrał jedną, zaznaczoną specjalnym znakiem runicznym. Wysypał znajdujący się w niej proszek na paznokiec, wyciągnął rękę przed siebie do góry i zaczął wykonywać obroty wokół własnej osi, opuszczając w tym czasie wyciągnięte ramię. Wkrótce otoczyła go spiralnie ukształtowana zielona mgiełka. Jej zwoje, niczym powstały z pary pyton, zacieśniły się i wniknęły w skórę nekromanty. Gdy mgiełka dotknęła jego ciała, poczuł palące kłucie, które jednak szybko zaczęło słabnąć. Po chwili zielona otoczka zniknęła, wraz z nią, odszedł ból, spowodowany klątwą Solnarusa.

Tevek podszedł do ściany w miejsce, gdzie za chwilę miało ukazać się wejście do świątyni. Kiedy trupy-robotnicy usuną z wnętrza gmachu piasek, bóstwo będzie jego. Spojrzał na zachód, tam gdzie nad dołem pochylała się olbrzymia postać Dhurkhana Czarnomicznika. Tevek zaplanował już swą zemstę nad Khyfyjczykami, a Dhurhan Czarnomicznik miał w niej odegrać kluczową rolę. Oczami wyobraźni nekromanta widział, jak ulicami khyfyjskich miast płynie krew czczącego Ibis motłochu po tym, jak skieruje przeciw nim rzeszę wojowników — szkieletów z Czarnomicznikiem na czele. Nawet armia potężnej Aquilonii nie będzie tak liczna jak zastępy kościotrupów pod dowództwem Dhurkhana.

Ale najpierw musi rozprawi się z Thoth-Amonem. Kiedy uwolni się od kleszczy Stygijszki, nikt go już nigdy nie zaskoczy i nie będzie musiał służyć komuś takiemu jak Thoth-Amon. Książę Magów? Ten pacholek Seta może mieć wielką moc i używać swojego tytułu teraz, ale nawet i on pewnego dnia będzie musiał oddać pokłon komuś innemu.

Wkrótce wszyscy mieli uznać wyższość Teveka Thula — posiadacza nie tylko potężnego Czarnego Pierścienia, ale i najwyższej mocy, jaką miał mu dać Szalony Bóg. To właśnie jemu

będzie się należał się tytuł Króla Magów. Moc rozgniewanego Teveka najpierw dosięgnie Khyfyjczyków, później nekromanta poszukałby innych, zasługujących na bezwzględną karę. Każdy potomek, każda gałąź, jaka wyrosła z khyfyjskiego pnia, dozna cierpień za grzechy swych przodków.

W gruncie rzeczy, myślał Tevek, czyż nie wszystkie ludy zamieszkujące ziemie hyboryjskie wywodzą się z tego samego rodu co Khyfyjczycy? Czy w związku z tym nie powinien ukarać wszystkich żyjących na północ od Styksu i na zachód od Pustyni Turańskiej? Tylko w ten sposób splamiony krwią honor Dumahka może zostać oczyszczony.

Nikt nie dotrzyma pola jego legionowi. Nieprzeliczone rzesze trupów, posłuszne nekromantycznym zaklęciom wzmocnionym cudowną mocą Czarnego Pierścienia, maszerowałyby naprzód. Góry, doliny i lasy zaleje fala krwi i kości, cały kontynent pokryją rozkładające się zwłoki.

Zrealizowanie planu takiej kampanii zajęłoby długie lata, ale cóż znaczą lata dla Teveka Thula. Czym jest upływ czasu dla kogoś, kto wkrótce miał osiąść władzę nad mocami bóstwa?

Na dole żołnierze wynosili na tarczach piasek. Byli coraz bliżej wejścia do świątyni. Już niedługo, pomyślał nekromanta. Przeszedł na drugą stronę marmurowego dachu i ostrożnie zsunął się po stromej ścianie wykopu. Okrążył świątynię i zatrzymał się przed wejściem. Już niedługo.

Na trupiej twarzy Teveka malował się grymas zniecierpliwienia.

Kapturem skutecznie chronił oblicze nekromanty przed słabnącym ciepłem wolno zachodzącego słońca.

XVI

PRZEBUDZENIE WĘŻA

Gorący i suchy wiatr szeleścił liśćmi palm, marszczył powierzchnię ciemnej sadzawki i szeptał między ścianami kamiennego gmachu w Oazie Khajar. Powiew upalnego powietrza przetoczył się przez długi hol z pokrytymi runami kolumnami, i łagodnie poruszył luźnymi szatami Thoth–Amona. Po podłodze, tuż obok obutej w sandały stopy czarnoksiężnika, małymi krokami poruszał się śmiertelny skorpion cesarski. Jego brązowawe ciało było prawie tak długie jak stopa Stygijczyka. Szczypce pajęczaka dotknęły ciemnej skóry kapłana, jego czerwony pancerz mienił się złowroźnie w niesamowitym blasku komnaty. Zakończony kolcem jadowym ogon podniósł się niespokojnie, ale skorpion nie zaatakował. Po chwili pustynny drapieжник oddalił się.

Czarnoksiężnik siedział w bezruchu na swym tronie. Nie czuł ani powiewu wiatru, ani gorąca. Nie poruszył się, nawet nie drgnął, kiedy skorpion dotknął jego nogi. Całą uwagę skierował gdzie indziej. Zaciśnięte zęby zdradzały burzę szalejącą w jego umyśle. Patrzył przed siebie, jego oczy wyglądały jak dwie zamglone sadzawki ciemności. Koncentrował się na tym, co się wydarzyło daleko na północ i wschód od oazy.

Ze szczeliny w ścianie wychylił się okryty łuskami pysk. Rozdwojony język badał otoczenie. W wąskich szparkach błyszcząły oczy. Podczas gdy wąż pełzł do przodu, jego głowa spłaszczyła się przyjmując kształt kaptura, a uzbrojona w kły paszcza szeroko się otworzyła. Skorpion nie zdawał sobie sprawy z nadchodzącego końca. Zginął przeszyty przez jadowite zęby węża. Gdyby ta kobra była podobna do innych węży swego gatunku, zjadłaby zdobycz. Ona jednak ominęła ofiarę i pełzła dalej. Ułożyła się okręcając zwoje na kamieniu przed tronem Thoth–Amona.

Jej błyszczące ciało zaczęło rosnąć, głowa w kształcie kaptura poszerzała się i wyciągała do przodu, póki nie znalazła się nad siedzącym w bezruchu Stygijczykiem. Ciało węża było teraz grube jak tułów mężczyzny, a przerażające oczy wielkie jak kurze jaja. Kiedy otwierała się jego paszcza, strzelał z niej purpurowy język.

— Posłuchaj mnie, sługo — syknął wąż w ostrym języku starożytnych Stygijczyków. Jego głos przypominał szelest zeschniętych liści, pędzonych przez wiatr po zimnych kamieniach. Mętne oczy Thoth–Amona powracały do normalnej postaci, w atramentowych gałkach powoli zaczynały zarysowywać się źrenice. Jeśli przerażająca zjawa poruszyła go, to nie dlatego po sobie poznać. Zaciśnął tylko palce na kamiennych podłokietnikach tronu. Wizytacje zdarzały się rzadko, więc to niespodziewane pojawienie się węża bardzo go strapiło. Mógł się powiązać tylko z tym, co teraz działo się na Pustyni Nithijskiej. Tam właśnie było przed chwilą jego ka. Tevek Thul wspaniale wywiązywał się z powierzonego mu zadania.

— Ojczyce Secie, mój panie. — Z pokorą pochylił głowę. — Co chcesz, by zrobił dla ciebie twój marny sługa?

— Byłeś dobrym i wiernym sługą, czyż nie?

Thoth–Amon pokiwał głową. — Nie spocznę, mój panie, póki nie ziści się twój plan obalenia przeklętego Mitry.

— Za twoje zasługi obdarzyłem cię czarną mocą. Uczyniłem też twoje ludzkie życie dłuższym niż żyje przeciętny człowiek. — Syczący głos stawał się coraz głośniejszy i groźniejszy. — A tobie i tak zachciewa się więcej! Czyżby w czarnych zakamarkach twego mózgu pojawiła się myśl, że zdołasz cokolwiek ukryć przed swym panem?

Thoth–Amon poruszył się niespokojnie na kamiennym tronie. Poczutł, jak w dół, po kręgosłupie wędruje nieznanе mu dotąd uczucie. To był strach. Rozgniewał Seta.

— Błagam cię, mój panie, powiedz mi: czym ja, niegodzien, zasłużyłem na twój gniew?

— Twoja chciwość i żądza władzy mogą cię zniszczyć. Jeśli wciąż będziesz tkwić we własnej głupocie i nie porzucisz zamiarów wykorzystania Szalonego Boga do własnych celów, uśmiercę cię. Dlaczego, zanim podjąłeś tak ważną operację, nie skonsultowałeś swych planów z twoim panem?

— Najpotężniejszy panie, nie pragnąłem niczego innego jak tylko pomóc w sprawie, której poświęciłem całe swe życie.

Spozierające przez szpary powiek oczy węża błysnęły gniewem. — Co ty wiesz o sprawie? Czy myślisz, że jesteś bogiem? Ja jestem twoim bogiem i panem, i ja wyznaczam ci cele! Obdarzyłem cię czarnymi mocami po to, żebyś mi służył jak najlepiej. A twoja chciwość odciągnęła cię od ważniejszych zagadnień.

Thoth–Amon uznał, że dalsze próby wyjaśnień mogły tylko przedłużyć wizytację. A żaden człowiek, nawet stygijski Książę Czarodziej, nie chciał pozostawać zbyt długo w obecności jednej z form Węża–Boga. Poza tym nie mógł zaprzeczyć, że pojawienie się Teveka przeszkodziło mu w skomplikowanej i czasochłonnej magicznej operacji, której poświęcił już wiele czasu. Chociaż natychmiast po wyjeździe Teveka usiłował powrócić do poprzednich zajęć, to jednak przerwany rytuał zakończył się niepowodzeniem. Thoth–Amon nie mógł natychmiast zacząć od początku. Przez wizytę nekromanty przedsięwzięcie odwlekło się o lata. Teraz Stygijszyk musiał czekać na odpowiedni układ gwiazd. Dopiero wtedy będzie mógł rzucić właściwe zaklęcie i rozpocząć operację na nowo.

— Twoje starania i tak pójdą na marne. Dla kogoś, kto nie zna jego prawdziwego imienia, Szalony Bóg jest tylko pozbawioną życia bryłą. A żaden pergamin, tablica ani księga nie zawierają jego prawdziwego imienia. Słowo „chaos” z samej swojej natury doskonale oddaje rodzaj metod, jakie wynaleźli śmiertelnicy na zapisywanie takich informacji. Wiedz, że obecnie można wypowiedzieć tylko trzy części jego imienia. Znają je jedynie wysocy kapłani Nithii i pewien od dawna nie żyjący komendant achemońskich wojsk. Pochłonęła go ta sama burza piaskowa, która pogrzebała Szalonego Boga. Nawet twój pan nie zna pozostałych trzech imion.

To wyznanie zaskoczyło Thoth–Amona. Jego bezcenne Roczniki Acheronu, choć w połowie zwęglone, podawały trzy imiona bóstwa. Owa księga była dziełem samego Xaltotuna. Potężny Mistrz Cechu Złodziei z Messancji wykradł ją autorowi na zlecenie Stygijszyka. Choć miejscami nie można jej było odczytać, Thoth–Amon uważał, że znajdują się w niej informacje szczególne i znaczące. Kapłan miał nadzieję, że pozostałe trzy imiona pozna od samego Seta. Wąż znów się poruszył.

— Co więcej, poczynania twego pachołka w bezludnej Nithii przebudziły tego, który był moim wrogiem w czasach, gdy twój gatunek jeszcze nie istniał, gdy twoi przodkowie byli jedynie piszczącymi zwierzętami paprającymi się w prehistorycznym błocie. I nie chodzi tu o przeklętego Mitrę. Mówię o kimś starszym, o kimś kto ma więcej sił, by udaremnić nasze dążenia.

— Chyba nie mówisz, panie, o Ibisie — oby zginął w twych zwojach i popadł w zapomnienie — wymamrotał Thoth–Amon.

— Właśnie o nim — syknął Wąż–Bóg. — Powinieneś wiedzieć, jakie czyny twego sługi przebudziły go.

Thoth–Amon przypominał sobie, co Tevek robił w Mosiężnym Mieście. Żałował teraz, że wyposażył nekromantę w Czarny Pierścień i wysłał go na poszukiwania. Uważał, że Ibis został pozbawiony większej władzy. Jego wyznawcy byli rozproszeni i o wiele mniej liczni niż czciciele bardziej popularnego Mitry. Co więcej, żadne zapiski nie mówiły o interwencji Ibisa. Wielu było zdania, że ów bóg jest fałszywy; uczeni wysuwali przypuszczenia, iż Ibis poległ w walkach między bogami jeszcze w czasach Atlantydy. Od upadku Nithii, co zdarzyło się wieki temu, kult Ibisa zanikał. Niewielu ugięło kolano przed bogiem, który pozwolił na masową rzeź swych wyznawców. Nie licząc kilku żyjących na pustyni grupek, ostami wyznawcy Ibisa skryli się w odległym Hanumar.

Owej resztkę przewodził Caranthes, jeden z niewielu kapłanów Ibisa, którym w ciągu wieków rywalizacji między bogami udało się uniknąć śmierci z rąk najemników na usługach Seta. Nawet spisak, którym kierował sam Thoth–Amon, zakończył się niepowodzeniem. Jednak od tamtego czasu Caranthes nie odważył się opuścić swych dekorowanych kością słońową komnat.

Oczywiście Thoth–Amon nie obserwował Teveka, póki ten nie dotarł do Mosiężnego Miasta. Zapewne nekromanta po drodze popełnił jakiś błąd.

— Byłem zajęty czym innym, panie — odrzekł Thoth–Amon po długiej chwili milczenia.

— Nie śledziłem postępów mego sługi, póki nie przybył do ruin Nithii.

— Więc prześledź je teraz — głos Seta zgrzytnął jak potarty osetką sztylet. Wąż otworzył szeroko paszczę, jego gardziel przypominała korytarz do piekła. Zaczęły się z niej wydobywać kłęby mdlącej pary koloru żółci i cuchnącej odorem trupiarni. Z wyziewów uformowała się kula o średnicy zbliżonej do wysokości Thoth–Amona. Kiedy żółty odcień ustąpił, Stygijski dostrzegł wewnątrz jakieś postaci. — Poznaj głupotę swego sługi i dowiedz się, co przebudziło śpiącego tytana.

Stygijski mag patrzył z zainteresowaniem na zamknięte w mglistej kuli kształty.

Wyczarowany przez Seta przedmiot nie był czymś w rodzaju kryształowej kuli służącej do przepowiadania przyszłości, ale raczej lustrem, w którym odbijały się wydarzenia z przeszłości. Thoth–Amon obejrzał przybycie Teveka do Kaetty i natychmiast rozpoznał widniejące na budynku symbole.

— Jeszcze jedna świątynia Ibisa? Wiedziałem tylko o norze Caranthesa w Hanumar...

— Zaiste, teraz jest już ostatnia. Patrz, co się stało z przedostatnią. Spójrz, jaki los przyniosła temu stadu moc Czarnego Pierścienia, a co za tym idzie moja moc.

Thoth–Amon w milczeniu patrzył na rozgrywające się w kuli sceny. Jego obojętne, pozbawione wszelkiego wyrazu oczy przyglądały się rzezi w katakumbach, korytarzach i kaplicy. Widział, jak na ołtarzu Ibisa Tevek bierze zamordowaną kobietę. W końcu obraz stał się niewyraźny, aż wreszcie znikł.

— Totalne zbezczeszczenie — skomentował. — Ale w nieodpowiednim czasie i zupełnie pozbawione subtelności.

Kula rozpadła się i mgiełka wpłynęła z powrotem do paszczy węża.

— Teraz wiesz, co spowodowało na ciebie kłopoty — wysyczał potwór. — Tymi czynami twój pacholek dał Caranthesowi znać o swoim istnieniu. Nie mam wątpliwości, że Caranthes znalazł ludzi, którzy będą współzawodniczyć z twoim sługą o zdobycie Szalonego Boga.

— Ale oni też nie znają jego prawdziwego imienia — z rozważą powiedział Thoth–Amon.

— Mam jedyny egzemplarz Roczników Acheronu i jest on obłożony śmiertelnymi klątwami na wszystkich wyznawców Mitry i Ibisa, którzy odważą się na niego spojrzeć. Czy w związku z tym powinienem zniszczyć mego sługę i pozwolić im, by odnaleźli bóstwo?

— Nie obchodzi mnie, co zrobisz ze swym sługą, ale jeśli idzie o bóstwo, nie może się ono dostać w ręce Caranthesa. Jeśli on lub któryś z jego następców odkryją prawdziwe imię, to z pomocą bóstwa zetrą cię w proch. Co więcej, przez swoją głupią chciwość rozstałeś się z pierścieniem, który ci ofiarowałem w prezencie. Gdyby twój sługa został pokonany, pierścień dostanie się w nieodpowiednie ręce.

Thoth–Amon spokojnie popatrzył na palec, na którym niedawno jeszcze nosił pierścień.

— Czarny Pierścień nasycony jest zaklęciami, które rozerwą duszę Caranthesa i jego sługusów. Niech odnajdą bóstwo, a wtedy je im odbiorę.

— Myślisz, że Caranthes jest na tyle głupi, by dotykać pierścienia? Sądzisz, że nie zna sposobów na obejście zaklęć? Chociaż to tylko żalosna, zabłąkana owca, sprzyja mu bóg, którego obudził twój nekromanta. I może otrzymać od niego moc zniszczenia pierścienia.

Czyniąc to, zaszkodzi mnie, gdyż częśćka mojej mocy spoczywa w pierścieniu. Masz zrobić wszystko, żeby do tego nie doszło. Odzyskaj pierścień i strzeż Szalonego Boga przed Caranthesem. Inaczej twój pan będzie bardzo... niezadowolony. — Między zakrzywionymi kłami błysnął rozdwojony język. — Jeżeli nie spełnisz mego rozkazu, nie minie cię kara.

Thoth–Amon zacisnął zęby. Siedział z łokciami opartymi o podłokietniki tronu. Złożył dłonie i stuknął o siebie palcami wskazującymi obu rąk.

— Zaufaj mi, Najgroźniejszy Panie. Pierścień wróci do mnie. Kobra powoli zmniejszyła się do normalnych rozmiarów. Kapturowata głowa spłaszczyła się i wąż wpełzł do szczeliny, z której się wyłonił. Thoth–Amon spojrzał na cesarskiego skorpiona. Pajęczak leżał na plecach. Jego zakończony kolcem jadowym odwłok zawinięty był do tyłu, a ugięte w śmiertelnym podrygu nogi przyciśnięte do brzucha.

„Kara cię nie minie”.

Stygijski mag powstał z tronu i kopnął zdechłego skorpiona. To Tevek zostanie ukarany.

Jego świeca życia wciąż płonęła, a Thoth–Amon nie miał najmniejszego zamiaru odwołać śmiertelnego zaklęcia. Gdyby ktoś inny odważył się wtrącić, roznieś go w pył. Co do Caranthesa, to ten wścibski staruch już niedługo będzie mamrotał modlitwy do Ibisa. Jeśli ów żaloszny kapłan odważy się wyjść ze swego sanktuarium, Thoth–Amon wyrwie z niego duszę i rzuci ją na pożarcie demonicznym mieszkańcom najciemniejszych zakamarków piekła. Ten stary głupiec już nie będzie przysparzał mu problemów.

Okoliczności wymagały poważnych czarów: obrzędu translokacji. Był to najszybszy sposób na dostanie się do Nithii. Thoth–Amon pośpieszył do ukrytej pod wielką salą komnaty, gdzie przechowywał swe najcenniejsze magiczne substancje i przybory do odprawiania czarów.

— Wkrótce Nithię ogarnie burza śmierci — zamruczał. Jego syczący głos pełzył po kamieniach. — Nikt nie ujdzie z życiem.

XVII

UDERZENIE CZERWONEJ ŻMII

Słońce zapadało za horyzont. Przyciemniony, pomarańczowy krążek malował niebo nad nithijską pustynią odcieniami miedzi i złota. Zbliżał się zmierzch. Promienie wciąż padały na mosiężną iglicę wieńczącą wzniesioną z białego marmuru wieżę. Na szeroki, załamany dach kamiennego budynku padał długi, zwięzający się cień.

— Mosiężne Miasto — wychrypiał Conan. Po wielu godzinach wyczerpującej jazdy w kurzu przez suchą pustynię, zaschło mu w gardle. Oboje z Sivitrią siedzieli na zmęczonych wierzchowcach. Podjechali na szczyt wysokiej wydmy, jednej z wielu, jakie otaczały przykryte piaskiem miasto. Cymmerianin przetaił wysuszone oczy i jeszcze raz spojrzął na dziwną scenę w oddali.

Sivitria, nie opuszczając siodła, pochyliła się do przodu.

— Na Bela! Popatrz przed gmach, tam gdzie nie ma już piasku. — Zmrużyła oczy i wpatrywała się w długi cień wieży. Usiłowała rozróżnić leżące na ciemniejszym podłożu kształty. — Następne trupy, podobne do tych, które widzieliśmy dziś na płaskowyżu.

Conan zbadął wzrokiem pobliskie wydmy. Następnie przyjrzał się leżącym przy ścianie formom. Nie poruszały się.

— Będzie ich ze dwieście, może nawet więcej. Stąd trudno policzyć. Ale kto to może być? Nie widzę nawet śladu obozu. Nie ma też koni ani wielbłądów. — Zmarszczył brwi. — Chociaż z takiej odległości nie widać dokładnie. Podjechałbym bliżej, ale na tej przeklętej pustyni nie ma gdzie się ukryć. Jeśli jest tutaj Thoth–Amon, od razu zauważy, że się zbliżamy.

— Nawet teraz możemy być w zasięgu jego wzroku. — Uczyniwszy tę uwagę Sivitria odjechała za szczyt wydmy i zsiadła z konia.

— Rzeczywiście. — Conan w duchu przeklinał swoją nieostrożność. Szybko zeskoczył z siodła, podprowadził konia do wierzchowca Sivitrii i związał ich lejce. Następnie podczołgał się na szczyt i, leżąc na brzuchu, obserwował odkryte ruiny.

Sivitria odetchnęła i otarła mokre czoło. Zlane potem twarz i szyja błyszcząły w zachodzącym słońcu.

— Ty chyba masz skórę zamoryjskiej jaszczurki. Od piasku i kurzu swędzi mnie całe ciało. Będę szczęśliwa, gdy zdobędziemy statuetkę bóstwa i powrócimy do łaźni w Saridis. Weźmiemy długą kąpiel.

Conan nic nie odpowiedział. W przeszłości przemierzał pustynie o wiele gorsze od tej. Kurzące się wydmy były łagodniejsze niż gorące, ostre piaski wichrowego Shan–e–Sorkh na wielkiej Pustyni Wschodniej albo spękana ziemia na Pustyni Wuhuan w południowej Hyrkanii. Tam z człowieka robił się zeschnięty kawałek skóry. Mimo to podzielał tęsknoty Sivitrii. Ostatnio przyzwyczał się do wilgotnego morskiego powietrza, które nie wysuszało gardła i nie piekło w oczy.

Sivitria przykucnęła obok Conana.

— Widzisz tamtą tarczę? — Wskazała wymieniony przedmiot. — Tam, leży daleko od ciał, znacznie bliżej nas. Na obwodzie ozdobiona jest podobizną węża.

— Stygijska — stwierdził Conan. — Kształtem przypomina tarcze używane przez stygijskie wojsko z Luxuru. Ale ich tarcze są z żelaza i brązu, natomiast ta wykonana jest z brązu i miedzi.

— To na pewno są ludzie Thoth–Amona. — Sivitria zniżyła głos do szeptu. — Jak myślisz, gdzie on teraz jest?

Cymmerianin zastanawiał się przez chwilę, zanim udzielił odpowiedzi.

— Możliwe, że go tu nie ma. Słyszałem opowieści o jego sposobach działania. Ponoć woli odprawiać czary z dala od miejsca akcji. Ale nigdy nic nie wiadomo. Może nawet teraz czai się w swojej oazie i widzi nas dzięki sztuczkom czarnej magii. Chociaż wątpię, by tak było. Tutaj są ślady przeprowadzonych na wielką skalę wykopalisk. Widzisz wydeptaną drogę? Prowadzi do tamtych pryzm piasku i ziemi. Pozostawione w piasku ślady są głębokie. Ci, którzy je zostawili, musieli dźwigać spore ciężary. Thoth–Amon musiał już tutaj być. Ktokolwiek wykopał ten dół, chciał się dostać do budynku. — Conan podniósł się na łokcie. Choć powietrze było jeszcze ciepłe, Sivitria trzęsa się, jakby przemarzła do szpiku kości.

— Miejmy nadzieję, że jeszcze tego nie znalazł. Bóstwo z całą pewnością jest zagrzebane głęboko. Caranthes powiedział, że jeśli dotrzemy do Mosiężnego Miasta przed zachodem słońca, zdołamy pokrzyżować plany Thoth–Amonowi. Na Bela! Popatrz, ile piasku już wydobyli. Jeżeli statuetka bóstwa naprawdę leży w tym gmachu, to mamy szczęście, że ci ludzie wykonali taką robotę. Nie wiem, co byśmy zrobili, gdybyśmy przyjechali tutaj przed nimi.

Conan wzruszył ramionami.

— Stare powiedzenie zamboulańskich złodziei mówi, że najcenniejsze skarby ukryte są najgłębiej. Próbowałbym wejść do świątyni przez tę wieżę z mosiężną iglicą. Jeśli budynek został przysypany na skutek burzy piaskowej, jakie tutaj zrywają się nagle, to możliwe, że piasek nie dostał się do wnętrza. Ale chyba dach się zapadł... Na Croma! — syknął nagle. Oczy zmieniły mu się w szparki.

— Co? — Sivitria rozejrzała się po wydmach. — Co zobaczyłeś?

— To jest na pewno dzieło Thoth–Amona — wybełkotał i wskazał palcem na odległy cień wieży, gdzie leżały wyciągnięte postacie. — Popatrz tam, na tego, który wystaje z cienia. Ważniejsze jest, czego nie zobaczysz — ciała i krwi.

— Na brodę Bela — wyszeptła Sivitria. — Czyżby mag, wyznawca węża, wykonał tę pracę rękami zmarłych?

Conan poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie. Patrzył na rozłożonego na piasku kościotrupa. W zachodzącym słońcu błyszczały białe kości i ponuro uśmiechająca się czaszka. Obok leżała duża tarcza. Znajdował się na niej ładunek, przyzma piasku wymieszanego z ziemią. Klatkę piersiową kościotrupa przepasywał wykonany z brązu łańcuch, do którego przymocowana była zmatowiała miedziana pochwa. Wystawała z niej rękojeść miecza.

— Nie czuję się tutaj dobrze — stwierdziła Sivitria. Splotła ramiona. — Może to z powodu tych trupów. Kiedyś przechodziłam przez królewski cmentarz w Arenjun. Tam czułam się podobnie. Czy samo powietrze nie jest tutaj ciężkie? Z trudem mogę oddychać.

Conan podniósł się z ziemi. Przykucnął i otrząpywał z piasku ubranie.

— Ciężkie czy nie, trzeba ruszać dalej i zanim zajdzie słońce, musimy się dowiedzieć, co kryje ten budynek. Zapewne Thoth–Amon zebrał armię trupów i przeprowadził ich tutaj ze Stygii, bo jak inaczej stygijscy wojownicy znaleźliby się na tej pustyni? Ten czarnoksięski pies musiał wiedzieć, że wydobywanie statuetki wymaga wielkiego nakładu pracy. Na Croma, co za widok! Armia trupów rozkopuje wydmy, by odkryć ruiny.

— Pewnie wcześniej byli we wsi na płaskowyżu. Masakra i zbezczeszczenie, które widzieliśmy, są zapewne ich dziełem.

— W tej chwili to nie ma znaczenia — zastanawiał się głośno Conan. — Teraz leżą, co znaczy, że spełnili już swoje zadanie. Chyba że Thoth–Amon zastawił pułapkę — dodał. — Wchodząc do środka musimy mieć oczy szeroko otwarte.

— Jeśli Thoth–Amon naprawdę tutaj jest, to jak go pokonamy? — spytała Sivitria i z pochwy wyjęła długi, cienki miecz.

Conan również dobył swego miecza. Popatrzył na lśniące ostrze, a w jego oczach błysnęło okrucieństwo.

— Stałą — odrzekł. — Stałą i siłą wyrwiemy kły z paszczy stygijskiego węża. Chociaż włada mocami, jest przecież tylko zwykłym człowiekiem. Ale jeśli się z nim spotkamy, nie patrz mu w oczy. Wzrokiem może rozerwać ci duszę. Przekonałem się na własnej skórze, że czarnoksięskie praktyki w wykonaniu ludzi takich jak on to tylko iluzja. Nie daj się nabrać na takie sztuczki, odwróć twarz w drugą stronę i zakryj uszy, żebyś nie słyszała jego zaklęć.

— Stałą — powtórzyła, jakby chciała przekonać samą siebie. — Szkoda, że nie ma tutaj Toja. Teraz przydałyby nam się jego umiejętności. Ach, nie wątpię, Cymmerianinie, że nieraz stałą i siłą pokonywałeś czary. Siła rozwścieczonych lwów nie dorównuje twemu duchowi walki. Ale obawiam się, że oni mają znaczną przewagę liczebną, chyba że to, co mówił Caranthes, jest prawdą i bogowie nam sprzyjają.

— Właśnie wysłuchali waszych życzeń. — Za ich plecami rozległ się cichy głos. Słowa

zostały wypowiedziane z turańskim akcentem.

Conan i Sivitria, obydwoje tak samo zaskoczeni, poderwali się na równe nogi.

— Na demony Croma! — wykrzyknął Conan. Odwrócił się z mieczem gotowym do zadania ciosu.

— Toj! — jęknęła Sivitria. Zrobiła krok do tyłu i przyjęła postawę do walki.

— Odejdź stąd, psie — huknął Conan. — Ocaliłeś mi skórę w Saridis, ale jeśli teraz podniesiesz na nas rękę, to wypłujesz swoje czarne serce na mój miecz i...

— Oszczędź sobie gróźb — spokojnym, aksamitnym głosem odpowiedział Toj. Wyciągnął przed siebie ręce i otworzył dłonie.

Chciał w ten sposób pokazać, że nic w nich nie kryje. — Mamy wspólny cel, przynajmniej na razie. Po dłuższym namyśle doszedłem do wniosku, że byłoby rozsądnie połączyć nasze siły. Thoth–Amon nie będzie dla was łatwym przeciwnikiem, nawet ja mogę mieć z nim kłopoty.

Oczy Conana zwęziły się. Denerwowało go, że zamachowiec tak łatwo ich podszedł.

Nawet wychowany w lesie piktyjski zwiadowca nie mógłby go zaskoczyć tak, jak uczynił to Turańczyk. Toj umazał swoje indygowe okrycie kurzem i ziemią, dzięki czemu jego postać znakomicie zlewała się z pustynnym otoczeniem. Cymmerianin spojrział na niskie, miękkie buty Assasyna. Zauważył, że Toj dostosował całe ubranie do skradania się. Na wierzchu nie było żadnego metalu, ani żadnej innej rzeczy, która mogłaby zabrzączeć bądź zgrzytnąć — nic, tylko miękka tkanina. Zbroją Turańczyka była jego niebywała szybkość i zręczność. Conan miał już okazję zobaczyć go w akcji. Jeśli Toj nie byłby w stanie zaskoczyć Thoth–Amona, to nie mógł też tego dokonać nikt inny.

— Nic nie mówisz, Conanie? Nie masz dla mnie żadnej dowcipnej riposty? Sivitrio — jestem zaskoczony, widząc cię w towarzystwie mężczyzny, a zwłaszcza tego bezmyślnego, gburowatego stosu mięsa. Ciekaw jestem, co na to powiedziałyby Jade.

— Ty mordercza świni! — Sivitria splunęła. — Nie odważyłbyś się opowiedzieć jej o tym, co robię. A nawet gdybyś to zrobił, to i tak by ci nie uwierzyła. — W jej hardych słowach wyczuwało się ton niepewności.

— Postawiłabyś na to swoje życie? Nie sądzę.

— Nie potrzebujemy pomocy od zarozumiałego podrzyncza gardeł, ty zamboulański śmieciu — odezwał się Conan z sarkazmem i zapalczywością. — Ale ktoś tak sprawny jak ty potrafi bez większego wysiłku uśmiercić takiego patałacha jak Thoth–Amon. Nawet byś się przy tym nie spocił. A może jednak potrzebujesz naszej pomocy?

— Masz rację, Cymmerianinie. Zamierzam sam zakraść się do wieży, zabić maga i zbiec z bóstwem. Wtedy ty z Sivitrią rzucicie się w pościg i nie będę miał innego wyjścia, jak tylko was zabić.

— Spróbuj — warknął Conan, zręcznie przerzucając z ręki do ręki miecz Balvadeka.

— Jeszcze nie teraz, Cymmerianinie, jeszcze nie teraz. Najpierw mnie wysłuchaj, a potem zdecyduj, co zrobisz. Ja tylko... — zadrżał, jakby nagle ogarnął go ból. Wziął głęboki oddech, jego ręka szybko podniosła się do klatki piersiowej.

Conan sądził, że zamachowiec zachowuje się w ten sposób, gdyż chce zaskoczyć go nagłym atakiem. Ruszył do przodu i uniósł ramię, by zadać Turańczykowi cios.

Toj zrobił dwa szybkie kroki do tyłu. Mrugnął i jeszcze raz powoli wyciągnął przed siebie otwarte dłonie.

— Ja tylko próbuję oszczędzić sobie trochę czasu. Ty, Cymmerianinie, jesteś tępym, ale użytecznym narzędziem. Przy twojej pomocy szybciej odbiorę Thoth–Amonowi skarb. Wtedy będziesz mógł próbować mnie go pozbawić. A ty, Sivitrio, nie możesz tutaj zginąć. Moje życie może zależeć od twego. Ujawniłem swoją obecność, by cię powstrzymać przed szaleńczymi czynami. Nie pozwolę ci iść dalej.

Sivitria ze zdziwieniem uniosła brew. Conan, wciąż gotów do skoku, patrzył podejrzliwym wzrokiem.

— Jade dostarczyła mi bodźca, bym powrócił do niej ze statueta — ciągnął Toj. — Boleści, których przed chwilą doznałem, właśnie mi o tym przypomniały.

— Kłątwa? — spytała Sivitria. — Ona nie jest czarownicą! I nie mów mi, że podała ci truciznę. Toj Akkhari mógłby spać w gnieździe kobry i nie ucierpiałby od jadowitych ukąszeń węża. Nie istnieją ziola ani jad, na które nie miałbyś antidotum.

— Zgadza się. Ale nic nie mogę zdziałać przeciw żukowi kalb. Wszczepiła mi go podczas ostatniego spotkania. Robak zabrnął już głęboko w moje ciało i poszukuje serca. Ostry ból, jaki odczuwam w klatce piersiowej, zwiastuje koniec jego wędrówki. Tylko Jade potrafi usunąć żuka z organizmu. Obiecała, że to uczyni, kiedy dostarczę jej figurkę bóstwa.

— Żuk kalb? Tak, to jeden z jej najbardziej przekonujących argumentów. I zdaje mi się,

że ty absolutnie wierzysz jej słowom. — Głos Sivirii był oschły, ton sceptyczny.

— Ja tylko nie chcę... zniknąć, jak w przeszłości się stało z wieloma spośród jej męskich najemników.

Conan rzucił porozumiewawcze spojrzenie na Sivitrię i szybko przeniósł wzrok z powrotem na Toja.

— Dlaczego miałabym się wtrącać do planów Jade? — kpiła Sivitria. — Znaczysz dla mnie mniej niż niestrawione resztki jedzenia w jelicie Shadizara. Niewielu ludzi zasługuje na śmierć bardziej niż ty!

Toj wzruszył ramionami.

— Wtrącisz się, żeby ocalić samą siebie — powiedział pewnym tonem. — Choć bezsilna wobec mnie, trucizna może być całkiem skuteczna przeciw innym. A na tobie, Sivitrio, już zaczyna działać. Czy nie przechodzą cię dreszcze, nie masz kłopotów z oddychaniem? W winie, które piłaś w Saridis...

— Na Croma — mruknął Conan. — Piliśmy je razem.

— To prawda — przyznał Toj. — Ale trucizna uaktywnia się tylko w połączeniu ze specyfiką, który wsypałem do worka na wodę Sivirii. Ty, Cymmerianinie, jesteś mi potrzebny zdrowy... podczas gdy ta kobieta będzie mi służyć lepiej w stanie osłabienia. Zanim powrócę do Jade, ukryję cię, Sivitrio, w sobie tylko znanym miejscu. Ciebie i perłowego bożka. Zdradzę Jade miejsce waszego pobytu dopiero wtedy, kiedy uwolni moje ciało od żuka kalb. Nie obawiaj się. Istnieje antidotum na truciznę, którą ci podałem. Mam przy sobie wszystkie niezbędne zioła i olejki, ale tylko ja wiem, jak sporządzić z nich pożądaną miksturę.

— Świnia! Oblesne bydlę! — wybuchnęła Sivitria. — Oby Derketo jeszcze bardziej zmniejszył twoją drobną męskość! — Rzuciła się do przodu. Wymachiwała mieczem jak szalona, ale Toj zręcznie kopnął ją w ramię i oręż wypadł jej z ręki.

Conan zasymulował atak. Zwiedziony ruchem Cymmerianina Turańczyk wymierzył kopnięcie w jego stronę. Kiedy stopa zamachowca była w powietrzu, Conan uchwycił ją i pozbawił Toja równowagi.

— Głupcy! — syknął Toj. Przekreślił się i wyszarpnął nogę z uścisku Conana. Włożył rękę do rękawa i szybko ją wyjął. W tym samym momencie kopnął Cymmerianina w ramię i uchronił się przed zabójczym ciosem jego miecza. — Potrzebujesz mnie, psie — powiedział zadyszczonym głosem podrywając się na nogi. Wymachiwał groźnym sztyletem o purpurowym ostrzu. — Zaatakuj mnie jeszcze raz, a poczujesz ukąszenie Czerwonej Żmii. Jej jad powoduje natychmiastową śmierć.

Nastąpiła chwila przerwy. Conan przyglądał się Tojowi. Czy chytry Turańczyk naprawdę miał antidotum na spożytą przez Sivitrię truciznę? Cymmerianin nie mógł posłać go do krainy zwanej Gehanną, póki nie pozna odpowiedzi na to pytanie. Wprawdzie nie był związany przysięgą niesienia pomocy Sivirii, ale nie potrafił pozwolić umrzeć kobiecie, z którą dzielił łożo.

Assasyn nie ustępował z pola walki. Na przemian spoglądał to na Conana, to na Sivitrię. Stał w pozycji doświadzonego miotacza noży. W każdej chwili był gotów cisnąć śmiertelnościami sztyletem w tego, kto go zaatakuje.

Sivitria zajęczała i opadła na jedno kolano. Obok niej leżał jej miecz. Dziewczyna otarła czoło. Jej ciałem znów wstrząsnęły dreszcze.

Conan wolno przemówił.

— Sporządź antidotum teraz i przedstaw mi resztę swojego planu. Jeśli zobaczę, że jej stan się poprawia, to razem pójdziemy w ruiny.

— Razem... W ruiny? — Toj pokręcił głową. — Ja mam inny plan. Ty pójdziesz sam, prosto między szkielety, tak żeby Thoth–Amon cię zobaczył. Na pewno zechce cię powstrzymać, ale nic nie będzie wiedział o mnie. Kiedy będzie zajęty tobą, ja zakradnę się do gmachu i zanurzę Czerwoną Żmiję w jego plecach. Później rozstrzygniemy między sobą, co się stanie z bóstwem. Czy zgadzasz się na takie rozwiązanie, Cymmerianinie?

— Sporządź miksturę — burknął Conan, opuszczając miecz. — Przysięgam na Croma i Badba: jeśli zdobędziesz statuetkę i nie oddasz mi jej, to dosięgnie cię stal mojego miecza. Teraz zabieraj się do roboty. Zaraz zapadnie zmierzch, a noc sprzyja Stygijczykowi.

— I mnie. — Toj wsunął swój krwistoczerwony sztylet między zwoje grubej tkaniny, przewiązanej sznurkiem przez pierś. Uśmiechnął się nieznacznie i zaczął przeszukiwać swój ekwipunek. Złoty Lotus mógł z łatwością zneutralizować truciznę, ale zamachowiec nie miał zamiaru podawać kobiecie prawdziwego antidotum. Otworzył słoiczek z gęstą, jasnozieloną maścią i nałożył odrobinę specyfiku na wieczko. Z torebki wyjął mały, czerwono-brązowy liść, który skruszył w proch. Wysypał proszek na maść i zrobił pastę. Następnie rozpiął swoje

szaty. Przepasany był szerokim pasem z tkaniny. W przyszytych do pasa kieszonkach miał jakieś pół tuzina kryształowych fiolek. Wybrał jedną z nich. Odetkał mały korek i wytrząsnął z buteleczki na pastę kilka kropli różowego olejku. Przez chwilę mieszał trzy składniki. Sivitria otarła bladą, zlaną potem twarz. Nie próbowała podnieść miecza do góry, nawet nie wzięła go do ręki.

— Gotowe — powiedział Toj podając Sivitrii wieczko. Odwrócił się w kierunku Conana i zmierzył go chłodnym wzrokiem. — Żaden mężczyzna nie jest w stanie mnie pokonać, Cymmerianinie. Będiesz głupcem, jeśli spróbujesz. O, Bel! — Zgiął się w nagłym ataku bólu.

Sivitria przełożyła wieczko do jednej ręki, a drugą chwyciła za wystającą spod szat Toja rękojeść sztyletu. Skierowała ostrze w pierś Assasyna i nacisnęła ze wszystkich sił. Grot przeszedł przez szmaciany pokrowiec, koszulę i zanurzył się w ciele Turańczyka.

Conan ze zdziwienia otworzył szeroko usta.

Zamachowiec zacharczał i upadł, palce wbił w powiększającą się czerwoną plamę na tunice. Zastygł w tej pozycji. W jego oczach widać było śmierć.

Sivitria wyjęła rękę z szat Toja. Jej palce były zaciśnięte na rękojeści Czerwonej Żmii. Dziewczyna splunęła na bladą, nieruchomą twarz zamachowca.

— Może i żaden mężczyzna nie był w stanie cię pokonać — powiedziała otwierając dłoń, w której trzymała podane jej przez Toja wieczko. — Ale tam gdzie zawodzi mężczyzna, sukcesy odnosi kobieta. — Nabrała na palec pasty, podniosła ją do ust i krzywiąc się przełknęła lekarstwo.

— Śpij snem wiecznym — burknął Conan. Przewrócił ciało Toja na plecy i uklęknął obok zwłok, by zbadać puls na szyi. Jeszcze dobrze nie dotknął skóry Turańczyka, kiedy szybko cofnął rękę i wymamrotał przekleństwo.

— Ukąszenie Czerwonej Żmii powoduje śmierć przez zamarznięcie — wyjaśniła Sivitria, cmokając ustami. — Gdybym nie zabiła Toja podstępnie, to całkiem możliwe, że ty doznałbyś tego chłodzącego uczucia. Nie mam pojęcia, jak ten sztylet dostał się w rękę Turańczyka. Wiedziałam tylko, że został on wykradziony ze świątyni w Luxurze i przekazany cechowi w Messancji. Opuściła puste wieczko i potarła skronie.

Conan podejrzliwym wzrokiem przyglądał się czerwonemu sztyletowi.

— Z Luxuru? Nie wątpię, że tak niewiarygodnie groźna przepojona jest stygijskimi zaklęciami śmierci — powiedział. — I dopełniła losu Toja. Przynajmniej z jego strony już nam nic nie grozi! Wciąż jednak musimy uporać się z czarnoksiężnikiem — a już prawie zapadła noc. — Wyciągnął do Sivitrii dłoń. — Dasz sobie radę?

Sivitria westchnęła, kiedy Conan pomógł jej podnieść się na nogi i znów opadła na piasek.

— Jeszcze nie — odparła krzywiąc się. — Jeśli to obrzydliwe antidotum szybko zneutralizuje truciznę, to może przed świtem odzyskam siły.

— Jego plan mógł się powieść — z zadumą powiedział Conan. — Ta Czerwona Żmija — choć niebezpieczna tak dla właściciela, jak i dla wroga — może być doskonałym narzędziem do uśmiercenia czarnoksiężnika. Sam mam ochotę wbić jej ostrze w bebechy Thoth–Amona. — Conanie, co będzie, jeśli on wymknie się ze statuetką, a my nie potrafimy mu w tym przeszkodzić? Co wtedy zrobimy? Głowa mi płonie w gorączce, nie będę mogła za nim jechać.

— Na Croma, kobieto! Czy ty zawsze musisz wymyślać jakieś „co jeśli”? Mężczyzna robi to, co podpowiada mu jego rozum bądź serce i niech licho porwie późniejszą konsekwencję! Ja nie zaprzęgam sobie głowy żadnymi „co jeśli”. Odpoczywaj tutaj i nabieraj sił — nakazał, schylając się po rubinowy sztylet — a ja tymczasem wykorzystam plan Toja. Muszę dotrzymać zawartej z tobą umowy, a żadna stygijska świnka nie zamknie przede mną drzwi do komnaty pełnej złota. Jest sposób na sprawdzenie, czy Thoth–Amon wciąż czai się w tamtych murach, czy też w ruinach pozostały już tylko kości i piasek.

— Żadne złoto nie jest warte, by za nie umierać, Conanie. A jeśli Stygijczyk zdobył statuetkę, to Jade i tak już jej nie dostanie.

Jeśli ktoś ma dzisiaj umrzeć, to tym kimś jest Thoth–Amon. Czekaj tu na mnie do rana. I nie zapominaj słów Caranthesa, jeszcze mogą okazać się prawdziwe. Zanim wzejdzie słońce, będę wracał z tobą do Saridis albo będę już w piekle! — Mówiąc te słowa wskoczył w siodło i skierował konia ku stosowi szkieletów, które leżały w cieniu białej, marmurowej wieży i popędził galopem.

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

W żrenicach Teveka odbijały się marmurowe, białe jak alabaster ściany. Upływ wieków nie umniejszył ich świetności. Dla ochrony oczu nekromanta owinał twarz cienką chustą i głęboko nasunął kaptur. Gdyby tego nie zrobił, panujący wewnątrz świątyni blask oślepiłby go. Jednak dla zdobycia skarbu, od którego dzieliło go już tylko kilka kroków, był gotów znieść znacznie więcej.

Szalony Bóg! Przez plecy Teveka przebiegł lodowaty dreszcz, kiedy Szakał ostrożnie zmiatał piasek z perłowej statuetki. Gdy acheronscy wojownicy skończyli swą pracę, nekromanta wycofał z nich moc swojej woli. Przy sobie zatrzymał tylko Szakała. W pobliżu stał jeszcze jeden ożywiony szkielet. Był to jedyny Nithianin, który usłuchał jego rozkazu i wyszedł z piasku. Nekromanta jeszcze raz zbadał pobieżnie kości pozostałych sześciu mieszkańców Mosiężnego Miasta. Ich szczątki leżały rozrzucone na podłodze przed statuetką. Tylko jeden z owych nieboszczyków zachował jakąkolwiek łączność duchową ze swą fizyczną formą. Czaszka tego trupa leżała w odległości wyciągniętego ramienia od jego szyi. Teveka dziwiło, że pomimo nagłej i okrutnej śmierci kości promieniowały spokojem. Kontakt z duszą zamieszkującą te szczątki doprowadzał nekromantę do mdłości. Szybko więc przerwał seans. Cokolwiek wydarzyło się tutaj przed wiekami, miało dla niego drugorzędne znaczenie. Nekromanta dążył tylko do jednego: zdobycia statuetki bóstwa i wprowadzenia w życie swego planu. Milczący Nithianin miał mu się przydać później. Czarnomicznik powiedział mu, że to niższy kapłan Ibisa i jako taki zna trzy imiona Szalonego Boga. Tevek zamierzał niebawem wydobyć od niego te informacje.

Przez prowadzący na zewnątrz świątyni, zwieńczony półkolistym sklepieniem korytarz, do uszu Teveka doszedł odległy, równomierny tupot. Czy ktoś nadjeżdża? Nie, nie teraz! Tevek zaklął po cichu i z tęsknotą popatrzył na dziwnie wyrzeźbionego bożka. — Surowo rozkazał Szakalowi czekać i ponownie napełnić swą wolą porzucone przed świątynią szkielety. Chwilę później patrzył przez ich puste oczodoły.

Silnie umięśniony, opalony na brąz mężczyzna pędził w dół stoku wydmy. U biodra podskakiwał mu miecz. Wysunięta do przodu dolna szczęka zdradzała hardość i determinację. To nie był jeden z pustynnych rozbójników. Ten człowiek dobrze wiedział, po co tu przyjechał. Zbliżył się już do cienia wieży. Pokryty pianą koń przegalopował obok najdalej leżących szkieletów. Jeździec najwyraźniej kierował się do bramy świątyni, którą wieki temu ogromny taran zamienił w kupę gruzu.

Przy wejściu wciąż leżała olbrzymia głowica taranu. Był to kawał zmatowiałego żelaza w kształcie czaszki żmii. Zakończenie głowicy stanowił żelazny pręt, którego długość równała się wzrostowi mężczyzny. Zapewne kiedyś pręt wbity był w ciężki drewniany bal, który w tym suchym otoczeniu już dawno zamienił się w proch. Tevek ponownie wyteżył siłę woli i rozkazał czterem Acheronczykom, by niepostrzeżenie podczołgali się do głowicy. Przebudził też pozostałych. Poleciał im nie poruszać się, póki przybysz ich nie minie i nie wpadnie w zastawioną na niego pułapkę. Likwidacja kłopotliwego intruza miała zająć tylko chwilę. Tevek, zadowolony z poczynionych przygotowań, patrzył na zbliżającego się jeźdźcę i czekał z niecierpliwością.

Sivitria długo piła z worka Toja. Uznała, że jej wino wciąż jest skażone. Przez krawędź wydmy spoglądała na kurz, jaki pozostawił za sobą koń Conana. Odwaga Cymmerianina urzekła ją, ale jednocześnie doprowadzała do szału. Był taki dzielny i honorowy, a mimo to nieokrzesany i bezduszny.

Od czasów swej koszarnej młodości miała mężczyzn w głębokiej pogardzie. Były to okrutne, egoistyczne bestie, które w kobietach widziały tylko niewolnice. Jej żaloszny ojciec pozwalał na... Chociaż nie akceptował raczej okrucieństwa, jakich w pałacu dopuszczali się wobec niej mężczyźni. Przeklęła go za to. Spoczone, szydercze twarze wciąż od czasu do czasu pojawiały się w jej snach i nie pozwalały wygasnąć żarzącej się w sercu nienawiści do wszystkich mężczyzn. Tylko wykorzystując ich i manipulując nimi, mogła ochłodzić serce i przewyciężyć koszarne sny.

Czemu więc tak łatwo oddała się Conanowi? Czyżby ten muskularny barbarzyńca jedną ręką rozpruł kobierzec goryczy, który tkąta prawie przez dwie dekady? Znała odpowiedź, jeszcze zanim zadała sobie to pytanie: nie. Spędziła z nim noc, żeby go wykorzystać. Ostatecznie udowodnił, że nie jest lepszy od innych. Obchodziło go tylko złoto. Jak wszystkie potwory jego rodzaju, on też nie był zdolny do miłości. I pomyśleć, że prawie powstrzymała go przed wjechaniem do ruin! Wysuszająca zaraza miała tam dopełnić jego losu.

Niewiele brakowało, by ten dziwny Cymmerianin rozbudził w niej uczucia, które uważała za stracone na zawsze. Czy to trucizna Toja spowodowała, że zaczęła żałować decyzji o

wysłaniu Conana na działanie śmiertelnej zarazy? Ale przecież Conan nie musiał jej ratować, a zrobił to wiele razy, mimo że była wobec niego bardzo nieuprzejma. Wciąż tkwiła jej w pamięci noc, którą spędziła z nim w łaźni w Saridis. Choć szalał jak dzika bestia, nie poturbował jej. Nie pozostawił też na jej ciele sińców. Już nigdy nie przeżyje takiej nocy. Wszak przywiodła go tutaj na śmierć... A wszystko to dla władzy, dla zdobycia talizmanu, który na zawsze miał wymazać z jej okropnych snów wstrętne, lubieżnie uśmiechnięte twarze.

Kiedy patrzyła na szerokie plecy Cymmerianina, na jego rozwiane na wietrze długie, czarne włosy, bolała, że nie jest Sivitrią, kobietą, która kochała Conana i która mogła go uratować, póki jeszcze nie było za późno. Ale nią nie była. Była Jade, dziewczyną, która ciężko pracowała nad opanowaniem sztuki władania mieczem, dziewczyną, która ostrze swojego oręża skierowała przeciw własnemu okrutnemu i sadystycznemu ojcu, zamoryjskiemu księciu, bratu króla Tiridatesa. Była Jade, kobietą, która zdobyła pozycję wyższą niż wielu królów — Jade, o której nikt nie znał prawdy.

W kontaktach z ludźmi ze swych cechów wcielała się w trzy różne osoby. Jedną z nich była kobieta zwana Sivitrią; drugą — Jade, której twarzy nikt nigdy nie rozpoznał; a kiedy zachodziła taka potrzeba, przebierała się za mężczyznę. Miała jeszcze wiele innych wcieleń: w Messancji była Rubinią, posługaczką w gospodzie; w Zingarze Isvarą, szwaczką; w Koth baronową Hypatią; w Nemedii Sephir, czytającą przyszłość z dłoni; a w Aquilonii pod imieniem Androclea handlowała ziołami.

Jednak zawsze pozostawała Jade. Nie potrafiła zaufać żadnemu mężczyźnie, nawet takiemu, który dowiódł, że można na nim polegać. Choćby Toj. Próbował okłamać ją w sprawie mapy, w związku z czym musiała użyć żuka kalb. Później, kiedy uznała, że nie może sobie pozwolić na najmniejsze ryzyko niepowodzenia bądź zdrady, zdecydowała, że podąży za Conanem pod imieniem Kylanny. Następnie stała się Sivitrią.

Leżące za jej plecami ciało Toja lekko zadrżało. Zamachowiec przeniósł mętny wzrok na niczego nieświadomą kobietę. Jego kończyny były sparaliżowane, ale przebiegły umysł pracował na pełnych obrotach. Pchnięty przez Sivitrię sztylet zanurzył się w jego ciele może na głębokość palca, lecz nie trafił w serce. Ostrze przebiło pęcherz, w którym trzymał najcenniejszy ze swych medykamentów, Złoty Lotus. Była to błędna nazwa. Chociaż liście tej rośliny miały złocistą barwę najcenniejszych aquilońskich monet, to jej nektar był czerwony. Zapewne Conan i kobieta pomyśleli, że jego koszulę splamiła krew.

Czerwona Żmija istotnie na chwilę zamroziła serce Toja, a w jego pamięci powstała luka. Nie wiedział, co się działo, gdy stracił przytomność. Ale szkarłatny nektar dostał się do rany i na efekty nie trzeba było długo czekać. Krwotok ustał, rozcięte ciało zagoiło się, serce odżyło, a zamrożone żyły powoli tajały. Wkrótce popłynie w nich krew. Wówczas znów będzie mógł zadawać śmierć. Oczywiście z zabijaniem miał zamiar poczekać na Cymmerianina. Sivitria wciąż była mu potrzebna jako żywa zakładniczka. Fałszywe antidotum, które jej podał, mogło co najwyżej na chwilę osłabić symptomy zatrucia. Miała wytrzymać wystarczająco długo, by za jej życie mógł wykupić się od żuka kalb. Gdyby tylko Złoty Lotus mógł pokonać żuka... zaraz. Czy to możliwe?

Kiedy zdał sobie sprawę z tego, co się stało, na moment opuściły go wszelkie myśli. Czerwona Żmija zamroziła jego ciało; to oznacza, że zamarzył też żuk. Czy chwilowe zamrożenie mogło zniszczyć pasożyta? Skoncentrował się na tej części swojego ciała, gdzie odczuwał drażniące łaskotanie i gdzie z zatrzaskującą częstotliwością atakował go klujący ból. Nic nie czuł. Po zamrożeniu wciąż był odrętwiały. Ciepło powróciło najpierw do klatki piersiowej i stamtąd powoli rozchodziło się na resztę ciała.

Jeśli śmiertelne zagrożenie zniknęło, to żywa Sivitria do niczego nie była mu już potrzebna. Zwrócona do niego plecami byłaby łatwym celem.

Po niedawnym spotkaniu ze śmiercią myśli Toja gnały jak oszalałe. Zdecydował, że następną ofiarą będzie Cymmerianin. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie udał się barbarzyńca. Zapewne popędził do ruin, by stawić czoło stygijskiemu magowi i zdobyć statuetkę. Lekkomysłny dureń. Gdyby w jakiś sposób mu się udało, to pewnie powróci do kobiety. A nawet jeżeli nie wróci, to wysuszająca zaraza i tak pośle go do piekieł.

Toj nie wymyśliłby lepszego rozwiązania, nawet jeśli kombinowałby przez całe dni. Tak czy inaczej dotrzymałby umowy zawartej z Jade. Co więcej, Jade dostałaby niespodziankę od Mistrza Assasynów.

Powoli odzyskiwał czucie w ramionach i dłoniach. Palce swędziały go, by ująć rzutkę. Przy tak małej odległości mógł trafić dokładnie tam, gdzie chciał, rzucając nawet z niedogodnej pozycji.

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

Conan ostrożnie kierował swego rumaka w gąszczu kościotrupów. Z uwagą patrzył, czy szkielety wojowników nie poruszają się. Był świadom, że w każdej chwili mogą się podnieść i zaatakować, ale jadąc na koniu, przebiłby się przez ich szeregi bez większego trudu.

Zamierzał wdrzeć się do budynku przez szeroki otwór w ścianie i wbić magiczny sztylet w Thoth–Amona, zanim Stygijczyk zdoła go powstrzymać. Gdyby to mu się nie udało, sprawdziłby, czyjego miecz nadaje się do zadania śmiertelnego ciosu. Na Croma, człowiek nie może przez całe życie chować się przed sztuczkami czarowników!

Pędząc między stosami ludzkich szczątków, przed ruinami marmurowej bramy zauważył olbrzymią głowicę taranu. Wydało mu się podejrzane, że kilka szkieletów leżało z rękoma wciśniętymi pod ten upiornie wyglądający kawał żelaza.

Gdy zorientował się, do czego miała posłużyć głowica, było już za późno, by zatrzymać galopującego z brzuchem przy ziemi rumaka.

Nagle cztery szkielety zerwały się na nogi i skierowały pręt taranu na szarżującego Conana. Cymmerianin nie miał innego wyjścia jak tylko wyskoczyć z siodła. Udało mu się ominąć wymierzone w niego ostrze. Spadając otarł się o żelazo i z boku tułowia zdarł sobie naskórek.

Runął na twardo ubity piasek. Jego wystraszony koń gwałtownie skręcił w bok. Zabrakło szerokości dłoni, by wierzchowiec nadział się na pał. Uciekające w popłochu zwierzę zgniotło pod kopytami dwa szkielety. Dziesiątki innych kościotrupów podskoczyły jak szarpnięte nićmi kukielki w teatrze lalek. Poderwały się na równe nogi, miecze i tarcze trzymały w pozycji do walki.

— Na zęby Croma! — wykrzyknął Conan. Zmusił potłuczone nogi do udźwignięcia ciężaru ciała. Uważnie przyglądał się przerażającej hordzie, szukając miejsca, gdzie było najmniej trupich wojowników. Zamierzał uderzyć w najłabszy punkt. Miał nadzieję, że uda mu się przebić przez ich szeregi.

Kościotrupy powoli zbliżały się do Cymmerianina. Chociaż poruszały się niezdarnie, to i tak wyglądały przerażająco. Conan mógł kosić je tuzinami. Zdał sobie jednak sprawę, że walka z nimi będzie trudniejsza niż z żywymi przeciwnikami. Kościotrupom trzeba by obciąć głowy, a może nawet rozbić ich kości na kawałki. Gdyby trupich wojowników było kilkadziesiąt, poradziłby sobie z nimi bez problemu. Ale nie mógł dotrzymać pola dwustu, a może i więcej wrogom; pod ich rąbiącymi na oślep mieczami wykrwawiłby się i opadł z sił. Trupy, jak dobrze wyszkoleni żołnierze, podchodziły do niego w zwartym szyku, jednocześnie go otaczając. W ich szeregach nie było słabego punktu, której mógłby zaatakować.

— Stygijczyku, Erlik rozerwie twoją parszywą duszę! — zawołał Conan. — Możesz nasłać na mnie tysiąc swoich bezmyślnych sług, a ja i tak, zanim wstanie słońce, splunę na twojego okrwawionego trupa.

Po tych słowach w pustynnym powietrzu rozległ się jeżący włos cymmeryjski okrzyk bojowy i Conan rzucił się w gąszcz nacierających wojowników.

Stygijczyku? Tevek uniósł brew. Więc ten rabuś dobrze wiedział, za kim tutaj przyjechał. Oczywiście, teraz nie miało to żadnego znaczenia. Nekromanta wydał swoim sługom proste, konkretne polecenia i całkowicie wycofał z nich wzrok. Mieli zabarykadować wejście do świątyni i otoczyć intruza. Żaden zwykły rycerz nie mógłby wytrzymać ich szturm. Nie mając najmniejszych wątpliwości co do losu barbarzyńcy, Tevek skierował całą uwagę na przewróconą statuetkę. Szakal podniósł z podłogi dziwnie wyrzeźbionego bożka. Ważył go w rękę, jakby chciał ocenić jego wartość. — Szszaaall — ze szczęki Acheronczyka wydobył się ostry, warczący głos. — Bbóóg.

Tevek, ze zmarszczonymi brwiami szedł w jego kierunku. Mowa bez pomocy nekromanty? Czy to możliwe?

— Rooou. — Szakal uniósł statuetkę wysoko nad głowę, jakby prezentował trofeum. — Szszaaalloony... Bbóóg.

Przez załamany dach do mrocznej już sali wpadała ciemnobłękitna poświata nadchodzącego zmierzchu. Nekromanta zdjął z oczu cienką szmatkę i mrugał z niedowierzaniem. Fascynowała go rozgrywająca się przed nim niewytłumaczalna scena.

— Szalony Bóg jest... mój! — wycharczał Szakal.

Na zewnątrz, cienki pasek tarczy słońca skrył się za horyzontem. W świątyni robiło się coraz ciemniej.

— Szalony Bóg jest mój!

— Niewiarygodne — wymamrotał wpatrzony w Szakala Tevek. Czarnomicznik nie był już wskrzeszonym kościotrupem. Organy wewnętrzne, mięśnie i skóra okryły olbrzymi

szkielet. Był nagi. Miał na sobie tylko pancerz i miecz. Jego bicepsy prężyły się, ogromne ręce wciąż trzymały bożka nad głową. Okrutne, nabiegłe krwią oczy rozglądały się z nienawiścią. Ospowata twarz była przerażająco czerwona. Grube, bydlęce wargi ułożyły się w głodny mord uśmiech.

Nekromanta przełknął ślinę.

— Odłóż statuetkę i zaśnij — powiedział stanowczym tonem.

Szakal ostrożnie postawił figurkę na podłodze, po czym wyprostował się i zrobił krok w kierunku Teveka.

— Zaśnij — powtórzył Tevek. — Śpij! — Zerwał nić spektralną, jaka łączyła go z duszą trupa. Nie przypuszczał, że duch Szakala okaże się aż tak silny. W jego kościach wciąż tkwiła siła życia. Był to niezwykle rzadki przypadek. O takim zjawisku wspominała tylko jedna, najmniej znana i odrzucana przez uczonych, starożytna księga. No jasne! Przecież w trakcie przeszukiwania piasku wyczuł silne promieniowanie. Już wtedy powinien był się domyśleć, że Czarnomicznik jest upiorem.

W duszy Szakala było tyle najczystszej zła, że kiedy coś go zaniepokoiło lub przebudziło, jego duch na jakiś czas mógł odzyskać materialny kształt i w odrodzonej postaci powracać do miejsca swej śmierci. Przebudzenie mogła spowodować statuetka bóstwa, mogły też do tego doprowadzić rozkazy Teveka. Wprawdzie nekromanta wyczuł w tym trupie jakąś moc, ale nawet do głowy mu nie przyszło, że mógł to być upiór.

Tevek przeklinał owo przeoczenie. Upiory można było zniszczyć, ale nie można go było ujarzmić. Upiory przekraczały granicę między trupami a żywymi, wykorzystując siłę własnej woli. Potrafiły odtworzyć organy wewnętrzne wraz z resztą ciała i powrócić do postaci, jaką posiadały za życia. Czarnomicznik znów należał do żywych.

Oplecione żyłami grubymi jak liny mięśnie nóg napięły się, kolana się ugięły. Olbrzymi Acheronczyk zrobił jeszcze jeden krok do przodu.

Nekromanta szybko skoncentrował siłę woli. Jego ciało napełniła energia z Czarnego Pierścienia.

— Ereskigalu, Panie Królestwa Cieni, zabierz duszę tego, który zwał się Dhurkhanem — aach!

— Czarnomicznikiem — zgrzytnął głęboki, ostry głos. Szakal trzymał w dłoni rękojeść swego ciężkiego miecza. Czubek ostrza wystawał spomiędzy łopatek Teveka na odległość wyciągniętego ramienia. Po całej długości czarnego żelaza kapłała ciemna, gęsta krew. Jej krople rozpryskiwały się na podłodze. Czerwone strugi zboczyły pokryte bliznami olbrzymie ręce.

Czarnomicznik zaśmiał się. Jego śmiech przypominał odgłos kamiennej lawiny.

Następnie odwrócił się od Teveka tak, jakby nekromanta nie zasługiwał już na jego uwagę.

Kopnął czaszkę, która kiedyś należała do Solnarusa. Kości rozsypały się. Na podłodze leżały białe szaty.

— I co były warte twoje groźby, twoje tchórzowskie sztuczki i żalosne modlitwy do tego słabowitego boga-mięczaka? — W sali znów zagrzmiął złośliwy śmiech.

Z gardła Teveka dobył się wilgotny gwizd. Nekromanta uniósł rękę, by skierować na Szakala pełną moc Czarnego Pierścienia. Wyzwolił tyle energii, ile tylko mógł. Kompletnie wyczerpało to jego ciało. Skierował w pierścień nawet te siły, dzięki którym pozostawał przy życiu.

Na wydany przez Teveka odgłos Czarnomicznik odwrócił się. Jeszcze raz wbił w niego swój ogromny miecz, gruchocząc mu żebra. Następnie wyrwał żelazo z drobnego ciała, zrobił krok do przodu i przewrócił nekromantę na pokrytą piaskiem podłogę.

Po upadku Teveka rozległo się echo głuchego uderzenia. Runął na podłogę z długim, przeciągłym westchnieniem. Więcej się już nie poruszył.

Conan, trzymając oburącz swój olbrzymi miecz, wymachiwał nim jak oszalały drwal.

Ostrze przebijało się przez kruche tarcze i nieudolne bloki, przecinało żebra i kręgosłupy. Po dwóch pchnięciach otrzymanych od tyłu walczył ślaniając się, przed oczyma jak na karuzeli wirowały mu ciała poległych wojowników. Każdy cios groził utratą i tak już zachwianej równowagi i powaleniem na ziemię, a wtedy klingi wrogów zanurzyłyby się w jego ciele i, ryczącego z wściekłości, posłałyby w otchłań piekiel.

Za szybko tnącym mieczem w powietrzu unosiły się koła czerwonej mgiełki; szła bitwy gotował Conanowi krew w żyłach i dodawał furii sztychom. Na miejsca każdego pokonanego wroga natychmiast wyrastał tuzin nowych. Z licznych ran Conana wypływała krew, jej purpurowe strugi mieszały się z potem zalewającym rozdarcia ciała przynosząc ból, który jeszcze bardziej wzmagał w nim ogień szału.

Moore Sean U - Conan i szalony Bóg

Miecz wojownika ugodził Conana w plecy poniżej łopatek. Conan odwrócił się i, uderzając na odlew, roztrzaskał żebra atakującego. Kościotrup rozpadł się na dwie części. Szczątki poleciały do tyłu, jednak ręce wciąż wymachiwały na osłep. Conan mógł rozbijać swych kościanych przeciwników, ale oni i tak nie przestawali się poruszać. Cymmerianin musiał uważać, gdzie staje. W najgorszym stanie były jego łydki. Powaleni wrogowie, nie mogąc podnieść się z ziemi, atakowali mu nogi.

Ostatnie uderzenie z obrotu zachwiało ciałem Conana. Chcąc odzyskać równowagę, odwrócił się do poprzedniej pozycji, ale jego kolano ugięło się, poleciał w bok i upadł na twarde żelazo głowicy taranu.

Zziębnięty podniósł się na łokcie. Potrząsając głową, strzepnął z oczu krew i pot.

Ujrzał przed sobą makabryczną scenę. Setki podrygujących szkieletów, wiele z nich wciąż dzierżących miecze, leżało bezsilnie na piasku i kamieniach. Cymmerianin wciągnął do płuc ogromny haust powietrza. Kiedy powstał, kręciło mu się w głowie, a serce waliło tak mocno, jakby zaraz miało pęknąć.

Na Croma! Żołnierz, który zadał mu cios w plecy, był ostatnim walczącym kościotrupem. Cymmerianin poczekał, aż wyrówna mu się oddech. Rozprostował obolałe ramiona. Na pamięć odszukał wiszący u boku pokrowiec, w którym trzymał Czerwoną Żmiję. Sztylet był na swoim miejscu.

Wykrzywił twarz w ponurym uśmiechu.

Ze swych wcześniej szczyh przygód wiedział co nieco o czarach. Pamiętał, że możliwości czarowników są ograniczone. Nawet Thoth–Amon musiał zużyć dużo energii, żeby podporządkować sobie armię trupów. Zapewne Stygijczyk nie był w lepszej formie niż Conan. Może był na tyle wyczerpany, że nie miał już sił, by się bronić.

Jeden rzut. Jeden celny rzut Czerwoną Żmiją — to wszystko, czego teraz potrzebował Conan.

Żeby pozbyć się śliskiego potu i krwi, Cymmerianin potarł piaskiem ręce i rękojeść sztyletu. Z marszem na czole przeszedł przez gruz, jaki pozostał po marmurowych wrotach i zniknął w mrocznym korytarzu.

Tevek leżał na plecach z szyją boleśnie zgiętą do przodu. Patrzył na powiększającą się czerwoną plamę, zakurzona tunika nasiąkała wypływającą z klatki piersiowej krwią. Czas włócił się jak ślimak; nekromancie zdawało się, że z każdym tuzinem ciężkich uderzeń zwalnającego serca Szakał oddala się zaledwie o włos.

Serce Teveka skurczyło się jeszcze raz i przestało bić.

Z płuc uwolniło się ostatnie westchnienie.

Ale jego umysł, choć zmacony i owiany mgłą, wciąż funkcjonował.

Zabił mnie. Taka myśl powoli dotarła do jego zamglonej świadomości. Nie wykorzystana siła woli, którą w sobie zebrał zanim przeszył go miecz Szakała, zatrzymała w nim energię przejętą z Czarnego Pierścienia. Ów stan powodował uczucie mrowienia.

Miał w sobie moc, i wiedział, co z nią zrobić.

— Teveku Thulu, wzywam cię — cicho wyszeptala jego dusza do martwego ciała.

Zwłoki usłuchały; Tevek wszedł w nie umysłem i mógł nimi kierować, jak wcześniej robił to z wieloma innymi. Do jego świadomości doszło jednak, że jest ślepy i głuchy. Co więcej, nie miał czucia. Zmysł dotyku opuścił go w chwili śmierci. Nie odczuwał bólu w rozdartej raną klatce piersiowej. Natychmiast zdał sobie sprawę, że poruszanie się bez odbierania bodźców z otoczenia jest o wiele trudniejsze. Trząsł się jak w gorączce. Przez chwilę był w stanie wykonywać tylko nierównomierne, szarpane ruchy.

Jednak to dziwne stadium szybko minęło. Wkrótce mógł już kontrolować zeszywniałe mięśnie. Poprawie uległ też jego wzrok. Mgła zakrywająca mu oczy uniosła się. Kilka kroków przed sobą widział wolno poruszające się olbrzymie cielsko Szakała.

Chwilę później przysła Tevekowi do głowy pewna radosna myśl. Był martwy. Co do tego nie miał wątpliwości. Jego ciało składało się tylko z bezwiednej kupy mięsa i martwych organów. Wkrótce jego zwłoki zaczną gnić i nie pozostanie po nim nic prócz kości. Ale umysł miał przetrwać. Esencja jego osoby, choć pewnie nieco przytępiona, miała trwać wiecznie. Odczuwał te same emocje, jakich doznał, zanim Szakał przerwał jego fizyczne życie.

Perspektywa nieśmiertelności przywróciła mu wiarę w sens istnienia. Teraz, jak nigdy wcześniej, okoliczności sprzyjały realizacji planu zemsty. Było nad czym się zastanowić, ale miał zamiar rozważyć wszelkie możliwości. Nieskrępowany ograniczonymi możliwościami ludzkiego ciała mógł przez wieki — przez tysiąclecia — zadawać cierpienia śmiertelnikom, którzy jak larwy much wili się w świecie żywych.

Teraz odzyskiwał również słuch.

Na początku słyszał tylko nieharmonijne dzwonienie. Odgłosy były przytłumione, jakby dochodziły z dużej odległości. Później jego słuch nagle się wyostrzył. Uszy Teveka wypełniły słowa wypowiedziane z wielkim przejęciem przez niemal nieludzki głos.

Pierwsze trzy z sześciu słów, które składały się na prawdziwe imię bóstwa, zostały wypowiedziane... przez Szakala!

Czarnomicznik wzywał Szalonego Boga.

Gdy Jade zobaczyła, jak w oddali Conan zeskakuje z siodła i ledwie się ratuje przed wymierzonym w niego żelaznym prętem, serce skoczyło jej do gardła. Postąpiła źle wykorzystując Cymmerianina, ale jeżeli zacznie działać natychmiast, może jeszcze naprawić popełniony błąd. Podpierając się rękami wstała z ziemi, by podnieść swój miecz i pojechać za narażonym na niebezpieczeństwo Conanem.

Zastygła widząc, że Toj leży na brzuchu.

Toj żyje! Jego ręka szukała czegoś w rękawie... ale jak to możliwe? Między palcami trzymał cienki, najeżony zębami metalowy krążek. Stała nieruchomo, a zamachowiec uniósł rękę do góry.

Turańczyk uśmiechnął się do niej szyderczo i potrząsnął nadgarstkiem.

Zanim pocisk wysunął się spomiędzy jego palców, z tyłu za Jade rozbłysło oślepiające

światło. Obydwoje, złodziejka i Assasyn znaleźli się w nieznośnym blasku.

Śmiertelne ostrze zadrasnęło tylko szyję Jade i poleciało dalej. Po eksplozji światła miotacz stracił z oczu swój cel.

Toj, pojękując, jedną ręką zasłonił oczy. Drugą dobył z rękawa następną rzutkę. Uniósł ramię i gotów do rzutu czekał, aż powróci mu wzrok.

— Nie możesz zawieść — zabrzmiał głos za plecami Jade. W pełni blasku stał tam pochylony Caranthes. Biła od niej ogromna światłość. — Nie pozwól, by zostało wypowiedziane prawdziwe imię bóstwa. Inaczej wszystko będzie stracone. Przesłałem swój obraz do Nithii, ale mogę tylko mówić. Jedynie ty albo Conan możecie powstrzymać walkę bogów.

Jade zakłęta i podniosła miecz. Zamachowiec wciąż oślepiiony cisnął rzutkę w kierunku, skąd doszło go przekleństwo. Ale pocisk tylko z brzękiem uderzył o ostrze miecza wywołując iskry.

— Gad — syknęła. Tak jak kat unosi topór, tak ona uniosła miecz. Wszystkie jej mięśnie były napięte. — Niech twoja parszywa dusza smaży się w piekle ze wszystkimi nieszczęśnikami, których zabiłeś!

Toj odruchowo podniósł do góry rękę. Ze wszystkich sił próbował odtoczyć się od Jade, ale lodowaty uścisk Czerwonej Żmii opóźniał jego ruchy.

Ostra klinga opadła na przedramię assasyna i odcięła mu nadgarstek. Furia wyzwoliła w Jade nowe siły. Z całą mocą pchnęła koniec miecza w dół.

Z gardła Toja wyrwał się okrzyk śmierci. Stał przeszyła jego serce. Zdrową ręką chwycił miecz, ale nie czuł, że ostrze wrzyna mu się w dłoń. Odczuwał tylko ból porażki, ból śmierci, którą wcześniej on sam tyle razy zadawał. Teraz już nie mogła mu pomóc żadna sztuczka ani odtrutka.

Ciało Toja zadrżało i znieruchomiło.

— Pośpiesz się! — huknęła błyszcząca postać. — Jedź szybko. Prawdziwe imię jest już na niegodnych ustach. Ty i Conan musicie sprawić, by zamilkły. Nie mogę ostrzec Cymmerianina ani przenieść się w ruiny, gdyż z bóstwa promieniuje zbyt silna aureola Chaosu. Jedź!

Jade wskoczyła na siodło. Zapomniała o gorączce. — Conan! — krzyknęła i wbiła obcasy w boki rumaka.

Pędząc ku marmurowym ścianom zobaczyła, że nad ruinami tworzy się wirująca trąba, jakby cienie prądów cyklonu, choć pogoda była bezwietrzna. Wydawało się, że niebo drży pod naporem wzbierającej energii zła. Z przerażenia wibrowały w niej wszystkie nerwy. Koń cwałował ku stosom roztrzaskanych kości, do czarnej gardzieli świątyni, w której zniknął Conan.

— Nadszedł czas, bym wypowiedział resztę imienia. — Głos Czarnomicznika wprawiał w drżenie powietrze wypełniające ogromną świątynię. Każda wypowiedziana przez niego sylaba brzmiała jak ogłuszające uderzenie młota. Z wielkim mieczem w jednej ręce i bóstwem w drugiej, wyglądał jak należący do świątyni posąg, jak dzieło opętanego rzeźbiarza. — Skaoa... Utlagi... lolagi — warczał, z trudem wymawiając słowa, jakie nie

miały się już nigdy wydobyć z krtani człowieka. Były to imiona, które Xaltotun wieki temu wydarł torturami z gardła kapłana Ibisa.

Nagle do sanktuarium wbiegł Conan. — Daruj sobie te czary, Thoth—Amonie! — ryknął. Rozejrzał się po pomieszczeniu. U jego stóp, twarzą do podłogi leżało stłamszone, okryte szatami ciało. Przed sobą miał giganta — kolosa w zbroi — który w wyciągniętej do góry ręce trzymał niewiarygodne arcydzieło. Wyrzeźbiona z nieprawdopodobnie wielkiej perły figurka mieniła się wszystkimi kolorami tęczy. Skąd wziął się tutaj ten tytan? Czy to on zabił Thoth—Amona? Zdezorientowany Conan stał jak słup, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. — Czego? — Zaczerwienione oczy Czarnomicznika z wściekłością zwróciły się ku temu, który odważył się przerwać mu trans. Ze statuetki emanował już dziwny, mroczny wir, wznosił się do góry, i przez dziurawy dach wydostawał się na zewnątrz. — Jak śmiesz mi przeszkadzać? Uciekaj stąd szybko albo zginiesz, zgnieciony jak robak pod butem Dhurkhana Czarnomicznika, największego wojownika, jaki się kiedykolwiek narodził! — Postawił na podłodze perłowego bożka i z wyciągniętym przed siebie mieczem ruszył do przodu. Z gardła Conana dobył się chłodny śmiech. Prawą ręką podniósł do góry miecz. — Już niejeden tak mówił, chwalię się. Dołączysz do nich w piekle! — Trzymając Czerwoną Żmiję w lewej dłoni przygotowywał się do rzutu.

Leżące u jego stóp poskręcane ciało poruszyło się. Trup wyciągnął przed siebie ręce. Z jego ust wydobywał się bełkot. Czyżby Thoth—Amon odżył?

Na palcu wyciągniętej ręki Conan zauważył znane mu zwoje miedzianego pierścienia. Cymmerianin uznał, że Thoth—Amon jeszcze nie umarł. W tej sytuacji nie mógł ryzykować rzutu Żmiją. Wbił sztylet w plecy leżącego na brzuchu człowieka i, schodząc z drogi nacierającemu gigantowi, odchylił się w bok.

Po pierwszym ciosie Czarnomicznika rozległ się ogłuszający brzęk metalu.

Conan o mało nie wypuścił z ręki miecza. Drgania przepłynęły wzdłuż ramienia do barku i odrzuciły mu głowę do tyłu. Jego miecz rozpadł się na dwa kawałki. Opadający kawałek hartowanej stali rozciął mu twarz.

Conan zorientował się, że Czarnomicznik całkowicie polega na zwierzęcej sile i natychmiast zmienił taktykę. Wykonał rozpaczliwy blok i podskoczył Acheronczykowi pod rękę. Spodziewał się dzikiego powtórzenia ataku.

Kiedy miecz Szakala opadał na niego po raz kolejny, Conan rzucił się na podłogę. Poczut powiew poruszonego olbrzymim ostrzem powietrza. Wyciągnął przed siebie nogi i nożycowym kopnięciem pozbawił Czarnomicznika równowagi. Gigant zachwiał się; ugięły się pod nim kolana, ale kiedy się padał, zdołał jeszcze podnieść do góry miecz.

Conan z całych sił ścisnął resztki swojej klingi, kierując wyszczerbiony koniec do góry. Czarnomicznik zwałił się na wymierzone w niego żelazo. Ciężar giganta sprawił, że ostrze przebiło zbroję i zanurzyło się w jego boku. Olbrzym zawarczał i opadł na kolana, przygniatając Conana do podłogi. Cymmerianin obrócił ostrze i usiłował pchnąć tors Szakala, ale ten wypuścił z dłoni swoją broń i chwycił ręce Conana. Odepchnął je od rękoiści złamanej głowni.

Ogromny Acheronczyk spojrział złośliwie na Conana i wyszarpnął sobie z brzucha kawał stali. Zaśmiał się, kiedy na zbroję trysnęła krew. Mocniej ścisnął rękoiść dłońmi i podniósł miecz do góry. Mięśnie jego ramion drżały, z ust ciekła mu czerwona piana.

— Kąsas jak pchełka — zachichotał.

Ostrze opadło.

Conan przekręcił się na bok i wyciągnął przed siebie ręce. Chwycił grube nadgarstki Czarnomicznika. Wyszczerbiony, umazany w krwi koniec miecza zatrzymał się na odległość dłoni do jego oka.

Szakał zaśmiał się szyderczo i splunął. Napiął grube jak uda Conana bicepsy i pchał w dół ostrą krawędź stali. Ramiona Cymmerianina powoli ugiwały się.

XIX

KREW I KOŚCI

Thoth—Amon czuł emanującą z wnętrza ruin świątyni Ibisa energię. Podobnie jaj zmarszczki na twarzy starca zwiastują śmierć, tak fale magicznej energii zapowiadały uwolnienie uwięzionego od setek pokoleń Boga Chaosu. Bóstwo budziło się do życia. Czyżby jego prawdziwe imię zostało już wypowiedziane? A jeżeli tak, to czy Szalony Bóg objawicie i połknie ogromną paszczą całe to miejsce? Thoth—Amon uznał, że do tego jeszcze nie doszło. Ale w zamku więziennej furty bóstwa znajdował się już klucz. Teraz trzeba go tylko przekręcić. Tevek pograży ich wszystkich jeśli on, Thoth—Amon go nie powstrzyma.

Zabicie nekromanty nie rozwiązywało problemu — jeszcze nie teraz. Najpierw należy odebrać mu Czarny Pierścień. Następnie sprawdzić, czy Tevek poznał prawdziwe imię bóstwa, a jeśli tak, to dowiedzieć się, jakim sposobem dokonał tego odkrycia. Po uzyskaniu wszystkich interesujących go informacji skończy z tym głupcem. Wystarczyło tylko ścisnąć palcami knot jego Świcy Śmierci. Na nieszczęście dla Thoth–Amona, translokacja nadwerżyła jego zapasy magicznej energii w większym stopniu, niż się spodziewał. Nie zdecydował się bezpośrednio zaatakować Teveka, gdyż nekromanta mógł zwrócić przeciw niemu moc Czarnego Pierścienia. Bez miedzianego węża możliwości Thoth–Amona były ograniczone.

Stygijczyk stał na dachu świątyni. Jego czarne jak węgiel źrenice zbadały popękane sklepienie i zerknęły w dół. Wewnątrz budynku ujrzął dziwną scenę. Na pokrytej piaskiem posadzce leżało opatulone w ciemne szaty ciało. Był zbyt wysoko, by zeskoczyć na podłogę, ale rozpoznał Teveka.

Nie spodziewał się zobaczyć rozciągniętego na brzuchu nekromanty, ale jeszcze bardziej zaskoczyła go obecność dwóch wojowników, którzy walczyli ze sobą zaledwie o kilka kroków od perłowego bożka.

W tej sytuacji niełatwo mu będzie zdobyć statuetkę. Po chwili zastanowienia uznał, że najpierw sprawdzi, czy oprócz tych dwóch zabijaków nie ma w świątyni nikogo więcej. Jeśli byłiby sami, zamierzał uśmiercić obydwu i zabrać perłę. Jeszcze raz, uważniej, przyjrzał się wojownikom. Kiedy zorientował się, kim są walczący, jego ciemna twarz zbladła.

Zobaczył, że żaden z nich nie był zwykłym wojownikiem. W jednym z siłującym się rozpoznał samego Conana z Cymmerii. W przeszłości już nieraz zeszyli się ich ścieżki i cele. Ten człowiek miał diabelskie szczęście. Ale bardziej szokujące było odkrycie, że Conan walczy z wysokim dowódcą martwej od wieków armii Acheronu. Stygijczyk nie mógł pomylić znaków wrytych na plecach pancerza — należały one do Dworu Ixiona, ojca najbardziej podstępного maga Acheronu.

To jego obwieszczał Set. Ten starożytny wojownik znał pełne imię Szalonego Boga! Thoth–Amon pojął, że musi natychmiast zniszczyć Acheronczyka. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, potrzebny mu był Czarny Pierścień.

Thoth–Amon skupił myśli i rytmicznie zawodząc mamrotał szeleszczące sylaby. Zakłęcie miało zamienić jego fizyczne ciało z krwi i kości w ciało astralne. Wtedy przez dziurę w dachu przedostałby się do środka, powrócił do formy fizycznej i odzyskał pierścień.

Po zdobyciu pierścienia zamierzał wysłać duszę acheronskiego komendanta w zapomnienie i posiąść statuetkę. Set znów byłby zadowolony ze swego wybrańca.

Kiedy umilkły ostatnie słowa zaklęcia i duchowa transformacja dobiegła końca, na dachu, w niewielkiej odległości od niego, rozblęsknęło oślepiające, białe światło. Thoth–Amon, mrużąc oczy, wejrzał w jasność. Na jego wąskich wargach pojawił się ponury uśmiech.

— Caranthesie, ty pastuchu beczących głupców, którzy korzą się przed najmniejszym z dawno zapomnianych bóstewek. Caranthesie, te wody są zbyt głębokie dla kogoś, kto nie umie pływać!

— Nie dostaniesz bóstwa — odpowiedziała świetlista forma. W łagodnym, melodyjnym głosie nie było nawet cienia strachu. — Ty degeneracie, nie pozwolę ci wyzwolić Chaosu.

— Zapluty głupcze! Ojciec Set pragnie dla świata porządku, nie Chaosu.

— Daruj sobie te kłamstwa. — Świetliste widmo pokręciło głową. — Tylko kapłani mojej religii znają imię bóstwa.

— Słuchaj, ty wykastrowany pachółku Ibisa. Bóstwo ma sześć imion, a wy znacie zaledwie połowę. Popełniłeś błąd, udając się tutaj w duchową wędrówkę. Twoja dusza należy teraz do mnie. Dzięki czarnym mocom, jakimi obdarował mnie Ojciec Set, zdobędę bożka...

A twego ducha pošlę w najgłębszą otchłań! — Mówiąc to, Thoth–Amon wyciągnął przed siebie ręce i ruszył w kierunku Caranthesa. Palce Stygijczyka były wygięte jak szpony. Z jego dłoni, niczym pętle sieci, wyskoczyły drobne włókna zielonych płomieni.

Chwilę później objawienie Caranthesa znalazło się w szmaragdowej siatce. Sieć kurczyła się i zginała świetlistą postać kapłana Ibisa. Caranthes nagle zniknął i pojawił się kilka kroków dalej.

— Nie obawiam się twoich magicznych sztuczek, Stygijczyku — powiedział. Tym razem wyciągnąłeś swoją węzową szyję zbyt daleko... Poczuj, jak święty ogień Ibisa wypala twą zgniłą duszę!

— Aureola świetlistej postaci wyciągnęła się do góry i raptownie, niczym płomień białego ognia, buchnęła w kierunku Thoth–Amona.

Stygijczyk pośpiesznie wykonał ręką jakiś znak. W powietrzu przed nim pojawił się przezroczysty, zielony dysk. Magiczna tarcza ledwie wytrzymała atak.

Pojedynek trwał dalej. W tym samym czasie dziwne, mroczne wiry zataczały coraz szersze kręgi. Ciemna ściana powietrznej trąby zbliżała się do Wysokiego Kapłana Ibisa i stygijskiego Księcia Magów.

Mięśnie Conana drżały. Spod masywnych bicepsów wystąpiły twarde jak stalowe liny ściągna. W garściach ścisnął grube przedramiona Czarnomiecznika. Z zakutego w czarną zbroję olbrzyma kapąły na niego pot i krew. Ostrze złamanego miecza powoli zbliżało się do twarzy Cymmerianina.

Acheroński komendant zaśmiał się triumfalnie.

— Słabowity robaku Ziemi Pomocnych! Zanim trafisz do krainy Gehanny, rozłupię ci czaszkę twoim własnym mieczem!

Krew kipiała w Conanie niczym woda w wodospadach wezbranej rzeki. Miotając się, zdołał odwrócić ruch miecza. Jego twarde mięśnie skutecznie stawily opór nadludzkiej sile Czarnomiecznika. Z zakrwawionych ust Conana wydarł się cymmeryjski okrzyk bojowy. Do mięśni barbarzyńcy napłynęły siły dotychczas głęboko ukryte w jego wnętrzu.

Łokcie Szakala ugięły się. Przez okrzyk bólu słysząc było trzask kości.

Kiedy złamany miecz spadł na podłogę, do sali wbiegła Jade. Kilka kroków przed sobą miała Teveka, który usiłował wyrwać sobie z pleców Czerwoną Żmiję.

— Conan! Za tobą! — krzyknęła zdyszana.

Cymmerianin odwrócił głowę.

— Na Croma! — Nacierający nekromanta oberwał od Conana pięścią.

W tym czasie Szakal podniósł swój wielki miecz i wziął zamach.

Teraz rozpętała się walka między trzema wojownikami. Uderzeniem ręki Conan skierował ramię Teveka pod miecz Acherończyka. Stał napotkała na swej drodze żywe ciało.

Nekromanta stracił połowę dłoni, został mu tylko kikut kciuka. Odcięty kawałek ręki spadł na podłogę. Na marmurowej posadzce zadzwonił Czarny Pierścień.

Tevek, nagle pozbawiony pierścienia, poczuł, jak opuszczają go siły. Robiło mu się ciemno w oczach, tracił słuch. Spróbował po omacku odnaleźć utracone źródło energii.

Conan kątem oka dostrzegł, co robi Tevek, i kopnął odciętą dłoń daleko od właściciela.

Chłód wnikający w każdą szczelinę martwego ciała i przesywający je do szpiku kości,

wstrząsnął trupem nekromanty. Rozdygotany Tevek tracił kontrolę nad swymi kończynami.

Runął na marmur, ale nie widział, nie słyszał i nie poczuł uderzenia. Śmierć jest taka zimna

— to była jego ostatnia myśl — taka zimna.

Czarnomiecznik wolno podniósł się z podłogi. Z rany w tułowiu sączyła mu się krew.

Duże czerwone krople spadały na posadzke. Utykając, podszedł do statuetki i bezwiednie,

zwisającymi ramionami, przycisnął ją do siebie. Z trudem utrzymywał się na nogach.

Salę oświetliły dostające się przez dziurę w dachu błyski białych i zielonych płomieni.

Conan popatrzył do góry.

— Thoth–Amon — warknął.

— I Caranthes — dodała zdyszana Jade.

Acherońskiego komendanta nie interesował pojedynek kapłanów. Chichotał pod nosem.

Zjawa Caranthesa spojrzała rozkazująco na Conana i kobietę.

— Zabierzcie mu bóstwo, zanim zdąży wypowiedzieć cokolwiek więcej. — Kiedy na alabastrową aureolę opadła zielona sieć, zjawa przerwała i zniknęła.

— Na Croma i Mitrę! — Conan chwycił miecz Acherończyka, który wydał mu się cięższy od kowalskiego młota. Musiał wyżyć wszystkie siły, by go podnieść. Naprężając obolałe mięśnie, ledwie udało mu się unieść ostrze i zadać niezdarny cios.

Miecz przebił przednią płytę pancerza i zagłębił się w boku Szakala. Acherończyk zachwiał się. Okryte czerwonym słuzem wewnętrzne organy Czarnomiecznika wypadły na podłogę. Mimo to nie wypuścił z rąk bóstwa.

Conan jeszcze raz zmusił ramiona do podniesienia miecza, ale trwało to długo, zbyt długo. Wypływająca ze statuetki spirala wirującego cienia sięgała coraz wyżej i stawała się coraz szersza.

Cymmerianin czuł na sobie niewidzialne ręce, które łagodnymi szarpnięciami próbowały wciągnąć go do środka cyklonu.

W górze znów pojawiła się postać Caranthesa. Tym razem jego kształty były, mniej wyraźne, a biel aureoli przeszła w kolor kości słoniowej.

— Uciekajcie! — krzyknął. Ratujcie swe życie ucieczką, obydwójcie! — Odwrócił się od nich i spojrział na Stygijszczyka. — Thoth–Amonie! Musimy razem zniszczyć bóstwo!

Wypowiedz wspak trzy znane ci imiona. Następnie ja wypowiem te, które znam!

Wygięte jak szpony palce Thoth–Amona wystrzeliły jeszcze jedną salwę zielonego ognia.

Wątle nici płomieni wolno przemierzały zagęszczone mrocznymi siłami powietrze. Sieć lekko opadła na postać Caranthesa i zsunęła się ze świetlistego widma.

— Ty mów pierwszy — nakazał Stygijczyk. — Potem ja wymienię wszystkie sześć imion i zniszczę bóstwo raz na zawsze.

Conan jeszcze raz uderzył Acheronczyka wielkim mieczem. Głos giganta przeszedł w charczenie. Czarnomiecznik upadł, ale wciąż kurczowo ścisnął statuetkę.

Niewidzialne ręce szarpały coraz mocniej. Wciągany do powietrznej trąby Conan upuścił miecz.

— Nie, stygijska żmijo, ty mów pierwszy — sprzeciwił się Caranthes.

— Uparte bydlę lbisa...

— Wypowiedzcie imię! — piskliwie wołała Jade. — Teraz! — Usiłowała wydobyć się z cyklonu, jaki otoczył perłową statuetkę.

— Na Croma, wypowiedzcie je! — zagrział Conan.

— Dreifa — wymamrotał Thoth–Amon.

Conan wyrwał się ze zniewalających uścisków powietrznej spiralki i popędził do wyjścia.

Jade uchwyciła się jego mocnego ramienia i pobiegła za nim.

— Avitun, Nauoga — ciągnął Stygijczyk.

Conan z Jade przemknęli przez korytarz i wypadli z rozpadającej się bramy.

— lolagi...

Zbiegli po schodach, przebrnęli przez stosy kości i razem wskoczyli na grzbiet wierzchowca Jade.

— Utlagi...

Chociaż końskie kopyta galopowały po twardo ubitym piasku, oddalali się od świątyni w zastraszająco wolnym tempie.

— Skaoa!

Rozległ się huk, od którego zatrzęsała się ziemia. Zjawa Caranthesa błysnęła i zniknęła.

Oczy Thoth–Amona zwężyły się. Jego ciało astralne spłynęło na podłogę w miejsce, gdzie leżała okrwawiona dłoń. Powrócił do swojej fizycznej formy. Podniósł miedziany pierścień i

z okrzykiem radości nałożył go na palec. Potem rzucił ostatnie spojrzenie za uciekającym Cymmerianinem. — Jeszcze się kiedyś spotkamy, psie! — wykrzyknął ze śmiechem. Udałby

się w pościg, ale energii i czasu starczyło mu już tylko na wydostanie się na dach i

przeniesienie w odległe miejsce. Barbarzyńca i tak nic już nie znaczył.

Chwilę później Thoth–Amon zniknął w blasku zielonego ognia.

Z oddali, siedząc już w siodłach Conan i Jade patrzyli z przerażeniem, jak mosiężna iglica, marmurowa wieża i wysokie ściany, cały kompleks przedwiecznego miasta — zawijają się do środka niczym topiący się na słońcu воск. Wszystko razem wirowało, mieszając się z opadającą mroczną mgiełką.

Po świątyni, wieży, iglicy i tych, którzy się tam znajdowali, nie zostało nic prócz białego głazu, który skryły nieruchome piaski nithijskiej pustyni.

Umysł Teveka rozjaśnił się. Od razu poznał, że nie znajduje się już w ruinach świątyni.

Miejsce, w którym się przebudził, było nieznośnie jasne. Spróbował zamknąć oczy, ale nie mógł. Kiedy podniósł dłoń, by zakryć nią twarz, spostrzegł, że odpadło z niego całe ciało; pozostały tylko kości. Dotknął głowy i wyczuł, że nie ma powiek ani oczu. Zostały jedynie puste oczodoły.

Obok niego poruszały się odziane w przyprawiający o ból biały kolor ludzkie postacie. Ich posępne twarze wydały mu się znajome.

Tak, to byli wieśniacy z Kaetty. Tłoczyli się wokół niego, cisnęli się do przodu, chwyтали go za ręce. Było ich coraz więcej. Przyszli wszyscy, którzy zginęli w masakrze.

Jasność nasilała się w miarę, jak do kręgu otaczających go postaci przybywało coraz więcej jego ofiar.

Nie mógł odejść ani podnieść ręki, by zakryć oczy. Przypiekał go morderczy, biały ogień; fale rozdzierającego bólu pozbawiły go wszelkiej świadomości.

Tevek marzył o chwili, kiedy cierpienia ustana, ale wiedział, że to się nigdy nie stanie.

Wszak złożona z kości i duszy istota, którą się stał, uwięziona była w piekle, jakie zbudowała mu jego własna nekromancja.

Był nieśmiertelny.

Nie wydając najcichszego dźwięku, Tevek Thul jęczał... I jęczał.

I jęczał.

EPILOG

NA „JASTRZĘBIU”

Conan spoglądał na lśniąca powierzchnię niebieskiego oceanu. Ciepły, tropikalny wiatr rozwiewał mu włosy.

— Na Croma, Rulvio, dobrze jest być znów między kamratami, mieć wiatr w żaglach i płynąć w dal na „Jastrzębiu”. Nasz statek wygląda teraz jak nowy.

— Na jelita Dagona, masz rację — przytaknął Rulvio. Pokiwał głową, klepnął Conana w szerokie, opalone na brązowo plecy i mrugnął porozumiewawczo. — Przywiozłeś ze sobą z pustyni nielichy skarb. Gdyby takie piękności były pospolitsze, to pewnie chłopcy porzuciliby korsarstwo i zajęli się łupieniem karawan.

Sivitria zgodziła się spędzić z Conanem jakiś czas na pokładzie „Jastrzębia”. Stała teraz przy relingu. Spod głęboko wyciętej tuniki i krótkich spodenek wyglądały jej obfite wdzięki. U pasa miała cienki miecz. Dziewczyna odwróciła się w stronę rozmawiających mężczyzn i piorunującym wzrokiem zbesztła Rulvia. Z oburzeniem odrzuciła do tyłu włosy.

Conan w szerokim uśmiechu pokazał zęby i potarł ręce. Sivitria i on wciąż mieli na dłoniach plamy po soku Złotego Lotusa. Zanim jeszcze pojawiły się pierwsze symptomy nithijskiej zarazy, obydwój, chcąc uchronić się przed wysuszającą chorobą, palcami wybrali resztki owej życiodajnej ambrozji z pęcherza, w którym zamachowiec przechowywał swój cenny nektar. Ta sama, czyniąca cuda substancja, oczyściła również ciało Sivitrii z podanej jej wcześniej przez Toja trucizny.

— Teraz rozumiem, dlaczego lubisz życie na morzu — powiedziała w zamyśleniu Sivitria.

— Masz tutaj wolność, za którą nie musisz płacić zbyt wysokiej ceny.

Cymmerianin popatrzył na nią wilczym wzrokiem. Spierali się; sobą przez całą drogę z pustyni do Saridis. W osadzie dowiedzieli się, że Narsur zaginął bez śladu, a wraz z nim zniknęło złoto ze skarbcza.

W zamian, Sivitria dała Conanowi olbrzymie ametysty, którymi ozdobione były drzwi.

Ukoilo to jego żal za straconym złotem tyle, że wróciła mu ochota na jeszcze jedną kąpiel w łaźni Balvadeka. Wspomnienia owych wodnych igraszek i wszystkich nocy, jakie później ze sobą spędzili, wywołały na twarzy Cymmerianina szeroki uśmiech.

Niech lichy porwie czarowników i wszystkie zakłętę relikwie! Jemu pisane było życie pocziwego łajdaka, życie, w którym nie brakowało dobrego wina, silnych i gotowych na wszystko kompanów, no i oczywiście wyładowanych towarami statków handlowych, które aż się prosiły, by je obrabować. Do tego u boku kobieta, której pięknu dorównywał tylko temperament, i mnóstwo czekających i dalekich wodach przygód. Conan objął Sivitrię i błogo się uśmiechnął. Za mieniącym się tysiącem barw oceanem zachodziło słońce.